



Miranda Jarrett



Rzymskie wakacje

Rozdział pierwszy

Rzym, październik 1784 roku

- Jakież to nudne i bezbarwne miasto - szepnęła z westchnieniem lady Diana Farren.

Wyglądała przez okno w gospodzie przy Piazza di Spagna. Rzęsiste krople deszczu spływały po listowiu, kołyszając gałęziami drzew w ogrodzie. Przed wyjazdem obiecywano lady Farren moc rozrywek. Rzym miał być fascynujący i urokliwy, nieporównywalny z innymi europejskimi metropoliami. Po tygodniu ulewnej pogody, spędzonym w mało zajmującym towarzystwie, Dianę zaczynała ogarniać czarna rozpacz. Dni były nieprzerwanym pasmem nużących eskapad. Dość już miała zwiedzania starych kościołów, świątyń oraz pałaców, podziwiania obrazów, antycznych rzeźb i posągów.

Gdyby sprawy potoczyły się zgodnie z jej nadziejami i projektami, przebywałaby teraz w rodowej posiadłości przy Grosvenor Square w Londynie. Okrzyknięto by ją już zapewne gwiazdą sezonu. Jako ozdoba salonów miałaby u swych stóp gromadę zalotników ubiegających się o jej rękę lub choćby dowody atencji. Zabiegający o jej względy młodzi lordowie prześcigaliby się w pomysłach, jak przypodobać się swej wybrance. Nie miała wątpliwości, że gotowi byliby nawet stawać do pojedynków, byle tylko zdobyć miejsce w jej karneciku. Liczyła zaledwie osiemnaście lat i była wyjątkową piękną. Nie chełpiła się swą nadzwyczajną urodą, przyjmowała ją jedynie za oczywisty pewnik. Faktem było również to, iż jako młodsza córka księcia Astona była warta fortunę wysokości co najmniej dwudziestu tysięcy funtów.

Nie uchroniło jej to, niestety, przed zesłaniem do odległej Italii. Nie pomogły prośby i perswazje. Pewnego czerwcowego wieczoru ojciec przyłapał ją w stajni na rozmowie z parobkiem i wpadł w

furie. Postanowił wymierzyć pannie dotkliwą karę, skazując ją na banicję. Diana na próżno próbowała go ubłagać; rozgniewany rodzic pozostał nieugięty.

Początkowo bawiła jakiś czas we Francji. Niefortunnym zbiegiem okoliczności podczas pobytu w Paryżu została napadnięta, ogłuszona uderzeniem w głowę i porwana z rozkazu podstarzałego szubrawca i libertyna w osobie hrabiego de Archambeault.

Szcęściem, złożony śmiertelną chorobą niegodziwiec okazał się zbyt słaby, by wyrządzić jej krzywdę. Niemniej wybuchł skandal, na którym ucierpiała reputacja lady Farren, a plotkom nie było końca.

W rezultacie co najmniej do wiosny czekała księżniczkę tułaczka po obczyźnie pod okiem pryncypialnej guwernantki. Panna Wood nie odstępowała wychowanki na krok, strzegąc niczym Cerber wrót Hadesu. Nim wróca do Londynu, wszystkie najlepsze partie mogą umknąć jej sprzed nosa. Konkurenci znajdą inne posażne panny lub, co gorsza, odstręczy ich nadwerężona opinia Diany. Ostaną się jedynie fircykowaci słabeusze lub głupcy z pokraczonymi nogami. Nigdy nie zazna smaku wielkiego, dozgonnego uczucia, takiego, jakie znalazła jej siostra u boku świeżo poślubionego męża. Czy pragnąć miłości to aż tak wiele? Co pocnie, jeśli straci szansę na zamążpójście i zostanie skazana na przepełnioną pustką, smętny żywot starej panny? Wzdrygnęła się na samą myśl o pozbawionej emocji egzystencji, podobnej do tej, jaką wiodła panna Wood.

Lady Farren zaczerpnęła głęboko tchu, próbując stłumić łzy. Wolałaby już cierpieć z powodu nudy, niż tęsknić za domem, lecz przy tak ponurej aurze nostalgia wzięła górę. Brakowało jej nie tylko siostry, ojca i kuzynek, lecz również młodych paniczów, którzy rozśmieszali ją, prawiąc komplementy i flirtując przy każdej sposobności. Oddałaby wszystko, by móc znaleźć się z powrotem w Anglii, w swej ukochanej komnacie w Aston Hall. Tęskniła za krajem i ojczystą mową, którą rozumiała bez pomocy słownika, i ludźmi, których bawiły te same rzeczy co ją. Pragnęła poczuć się znów swojsko i bezpiecznie, otoczyć się znajomymi przedmiotami i delektować smakiem znajomych potraw.

Pograżona w smutku i zajęta rozmyślaniami, Diana nie spostrzegła w porę dżentelmena, który pojawił się raptem u jej boku. Gdy zorientowała się, że nie jest sama, było za późno, aby ratować się ucieczką.

- Buongiorno, mia gentildonna bella - zaczął uprzejmie.. - Mi scusa, non posso a meno di...

- Per favore, signore, no - odparła stanowczo, nie odwracając się od okna. Panna Wood byłaby niewątpliwie rada z tak kategorycznej odmowy. Jej podopieczna zyskała w tym niemałą wprawę w trakcie podróży przez Italię. Wiedziała z doświadczenia, że Włosi potrafią być bardzo natarczywi i wytrwali w umizgach. Jeśli chciała ujrzeć ponownie Londyn, musiała skutecznie zniechęcać ewentualnych adoratorów. - Grazie, no.

- Hmm - odchrząknął, wyraźnie skonfundowany. - No speranza, mia gentildonna?

Dziewczyna zmarszczyła podejrzliwie brwi. Sądziła, że pytał, czy może mieć nadzieję na zawarcie znajomości. Nie była jednak do końca pewna. Zbyt słabo władała językiem włoskim. Mogła go źle zrozumieć. W przeszłości zdarzyło jej się popełnić podobną gafę. Gdy była przekonana, iż pewien służący proponuje jej herbatę, on bezwstydnie domagał się pocałunku.

- Sono spiacente, signore, noi non sono stato introdotto. Bardzo mi przykro, ale nie zostaliśmy sobie przedstawieni - uraczyła go przeciwioną kwestią, którą odpowiadała na wszystkie pytania. - Grazie, no.

Westchnęła ze znużeniem, nadal wyczuwając za plecami obecność intruza. Wydawało jej się, iż wraz z panną Wood są jedynymi gośćmi palazzo signora Silvaniego i że salon pozostaje wyłącznie do ich dyspozycji. Jeśli ten impertynent nie zostawi jej w spokoju, będzie zmuszona udać się do swoich apartamentów, które dzieliła z guwernantką oraz służbą.

Złożywszy w dłoni wachlarz z kości słoniowej, odwróciła się.

- Arrivederci, signore - rzuciła z zamiarem odejścia.

- Chwileczkę, proszę nie odchodzić... Parla inglese, mia

gentildonna?

Zatrzymała się, wciąż na niego nie patrząc. Tych kilka wypowiedzianych przez nieznanego słów kazało jej przypuszczać, że jest młody, czarujący i przystojny, o ile można ocenić to po głosie.

- Naturalnie, że mówię po angielsku - odezwała się ostrożnie. - Jakimż innym językiem miałyby mówić Angielka?

- W takim razie, niech mi wolno będzie zauważyć, iż łączy nas ta sama ojczyzna. Ja również pochodzę z Anglii.

- Doprawdy? - Wypadało się odwrócić. Zignorowanie rodaka byłoby niewybaczalnym brakiem dobrych manier.

Przywołała na usta uprzejmy uśmiech i stanęła z nim twarzą w twarz. Nie myliła się, odgadując, że jest urodziwy. Miał jasne, kręcone włosy i błękitne oczy o czarującym spojrzeniu. Choć nie odznaczał się dużym wzrostem, pod nienagannie skrojonym surdudem rysowała się krzepka sylwetka, charakterystyczna dla przywykłych do obcowania z naturą właścicieli majątków ziemskich. Był bardzo młody, zaledwie kilka lat starszy od Diany. Jej grzecznościowy grymas zamienił się po tej konstatacji w szczerzy uśmiech.

- Miło mi pana powitać. - Wprawdzie nie dygnęła, przypuszczając, że jest od niej niższy stanem, lecz wciąż uśmiechała się do niego z życzliwością, zdradzając zainteresowanie. Poszukała wzrokiem panny Wood w nadziei, że posłuży im za przyzwoitkę. Poza nimi dwojgiem w salonie nie było jednak żywej duszy. Jedynie deszcz dudnił głucho o wysoki strop. Panna Farren bez trudu potrafiła przewidzieć reprimendę ze strony opiekunki. Przebywanie sam na sam z mężczyzną, nawet Anglikiem, było ze wszech miar niedopuszczalne, zwłaszcza bez uprzedniej prezentacji.

Doskonale wiedziała, że nie wolno jej było zamienić z nim ani słowa więcej. Jeśli chce powrócić rychło do Londynu, powinna zmrozić go spojrzeniem pełnym godności i rezerwy, po czym natychmiast udać się do swoich komnat.

Z drugiej strony, w czymże może jej zaszkodzić kilka minut spędzonych w towarzystwie tego dżentelmena? Wnosząc z jego

akcentu i nieskazitelnym manier, była pewna, że ma do czynienia ze szlachcicem. Poza tym palazzo należało do najbardziej elitarnych stacji w mieście, zatrzymywała się tu niemal wyłącznie podróżująca brytyjska arystokracja. Jeśli zatem jej rozmówca jest gościem signora Silvaniego, musi mieć nieposzlakowane referencje oraz odpowiednio gruby portfel.

A co za tym idzie... ceni sobie honor i można go uznać za osobę godną zaufania. Ktoś z tak miłym uśmiechem z pewnością nie okaże się łotrem. Przeciwnie, zrozumie podekscytowanie, jakie odczuwała na myśl o tym, że za moment zrobi coś, czego tak kategorycznie jej się zabrania.

- Wystraszyłem panią, nieprawdaż? - zapytał, błędnie interpretując jej milczenie. - Zakradłem się tak nikiemnie za pani plecami. Pokornie proszę o wybaczenie, milady.

- Nie jestem aż tak bojaźliwa. Potrzeba znacznie więcej, by mnie nastraszyć. Skąd wniosek, iż jestem szlachcianką?

- Och, pozwoliłem sobie odgadnąć - wyznał. - I nie myliłem się, mam rację?

- Owszem. Nie mylił się pan. - Uniósłszy dłoń, uderzyła go wachlarzem w ramię, lekko, lecz na tyle zdecydowanie, by dać mu do zrozumienia, że wciąż ma nad nim przewagę. Och, to spotkanie było tysiącokrotnie ciekawsze niż skostniałe rzymskie galerie sztuki. - Wnoszę, jak mniemam słusznie, iż pan również jesteście szlachcicem?

- Szlachcicem, ale nie arystokratą? - zapytał przekornie.

- Kto wie? - Zmrużyła powieki, mierząc go żartobliwie od stóp do głów. - Być może. Pański krawiec i nauczyciele z pewnością by za to poręczyli. Jeśli zatrzymał się pan tu z błogosławieństwem signora Silvaniego, nie mam wątpliwości co do pańskiego szlacheckiego urodzenia.

- Rozczaruję panią co do kwatery. Nie mieszkam w palazzo. Odwiedzam tu jedynie wuja.

- Ach, tak. - Otworzywszy z wolna wachlarz, przysłoniła nim usta.

- Wuja, powiada pan? A mnie się zdaje, że teraz odwiedza pan także i mnie.

- Lady Farren? - Dobiegł z oddali głos panny Wood. - Gdzież to się jaśnie panienka podziewa?

- To moja guwernantka - wyjaśniła pospiesznie Diana. - Nie mogę pozwolić, by tu pana ze mną zastała. Prędko, musi się pan ukryć!

- Ukryć? - Młodzian uśmiechnął się pobłaźliwie. - Ależ, zapewniam panią, milady, nie ma takiej potrzeby.

- Owszem, jest. - Rozejrzała się po komnacie w poszukiwaniu kryjówki, po czym chwyciła go za rękaw. - Tam, za zasłonę! To nie potrwa długo, natychmiast ją odprawię.

Nieznajomy przytrzymał jej dłoń, nie ruszając się z miejsca.

- Nie wstydzę się swojej obecności, milady.

- Och, nie w tym rzecz, drogi panie... - urwała w pół zdania. - A, panno Wood, znalazła mnie pani! - Uśmiechając się promiennie, niepostrzeżenie oswobodziła rękę. - Zamierzałam właśnie wracać, lecz powstrzymał mnie ten oto dżentelmen.

Guwernantka nie odezwała się od razu. Tkwiła bez ruchu z rękoma splecionymi na pospolitej szarej sukni, dając sobie chwilę do namysłu. Im dłużej przeciągało się jej ponure milczenie, tym większe były szanse na to, iż wyda osąd niekorzystny dla podopiecznej. Mimo że stosunkowo młoda, gdyż nie przekroczyła nawet trzydziestu lat, w oczach Diany zawsze uchodziła za typową starą pannę: niska, przysadzista i mało efektowna. Ponadto wykazywała chorobliwą wręcz podejrzliwość tudzież skłonności do nadmiernej powagi. Ojciec nie mógł wybrać lepiej. Komendant straży więziennej nie strzegłby jego córki skuteczniej niż panna Wood.

Zmierzywszy młodego dżentelmena surowym wzrokiem od srebrnych sprzączek u trzewików po jasną czuprynę, kiwnęła nieznacznie głową. Uciekała się do tego gestu, ilekroć czekało ją nieprzyjemne zadanie.

- Witam - wycedziła lodowatym tonem, wykonując w jego stronę sztywny ukłon. -. Proszę wybaczyć bezpośredniość, lecz, jak sądzę, nie został pan oficjalnie przedstawiony panience. Milady, proszę ze mną.

Diana westchnęła rozgoryczona. Pragnęła jedynie kilku minut

rozmowy, małej odmiany i odrobiny wytchnienia od wszechogarniającej nudy. Nie zamierzała zachowywać się niestosownie ani tym bardziej wywoływać skandalu. Mogłoby to opóźnić jej powrót do Londynu, a tego z pewnością nie chciała.

Przekonywanie guwernantki miałooby się jednak z celem, tym bardziej że jak zwykle miała rację. W istocie nie dokonano formalnej prezentacji. Panna Farren nie знаła nawet nazwiska nowo poznanego dżentelmena. Zresztą, jeśli jest taki jak wszyscy, wystraszy się i czmychnie czym prędzej, gdzie go oczy poniosą. Mężczyźni to tchórze. Bez względu na pozycję i majątność nie lubią, gdy udziela im się reprimendy, a drżą z trwogi na myśl o gniewie jej ojca, nawet jeśli nie ma go w pobliżu.

Choć niezadowolona, uniosła dumnie głowę, gotowa spełnić swą powinność i odejść, aby cierpieć w odosobnieniu w imię zasad dobrego wychowania i przyzwoitości.

O dziwo, dżentelmen uprzedził jej zamiar.

- Proszę zaczekać, panno Wood - zaczął zdecydowanie tonem, w którym nie było ani śladu lęku. - Skoro swobodną rozmowę między mną a pani wychowanką wyklucza jedynie brak prezentacji, proszę nas sobie przedstawić i będzie po kłopotach.

Diana spojrzała na niego w niemym osłupieniu. Nie mogła wprost wyjść z podziwu nad jego niefrasobliwością. Ośmielając się podważyć autorytet jej opiekunki, ściągał na siebie gniew samego księcia Astona. Żaden z mężczyzn, jakich znała, nie odważyłby się tego zrobić. Zaledwie po kilku chwilach młodzieniec dał się poznać jako ktoś zupełnie wyjątkowy.

Guwernantka bynajmniej nie podzielała zachwyty swej podopiecznej. Zatrzymała się gwałtownie, prostując plecy.

- Daruje pan, ale mnie również nie został pan przedstawiony. Jakimże więc sposobem miałabym zaprezentować pana milady?

- Naturalnie, ma pani słuszność. - Ukłoniwszy się w stronę lady Farren, zaczął oficjalnie: - Panno Wood, pozwoli pani, że się przedstawię. Lord Edward Warwick, syn markiza Calverta. Mój wuj, podobnie jak panie, jest gościem signora Silvaniego. Jeśli nadal jest

pani nieufna, zaręczam, iż krewny chętnie potwierdzi moją tożsamość.

- Rada jestem pana poznać, milordzie - wtrąciła radośnie Diana, podając mu dłoń. Wprawdzie dziedzic tytułu byłby lepszy niż młodszy syn markiza, lecz ojciec z pewnością spojrzy na niego przychylnym okiem, zwłaszcza po tym, jak zgodził się oddać rękę starszej córki Irlandczykowi o problematycznym pochodzeniu. Siostra lady Farren postawiła na swoim i wyszła za mąż z miłości. - Teraz nawet panna Wood nie sprzeciwi się temu, byśmy zawarli znajomość.

Opiekunka miała jednak pewne obiekcje. Stała między nimi, spoglądając podejrzliwie na młodego człowieka.

- Za pozwoleniem, czy byłby pan łaskaw zdradzić nam godność swego wuja?

Lord Warwick uśmiechnął się ponad jej głową do Diany.

- Oczywiście. Jego lordowska mość wielebny Henry Patterson. Rezyduje po drugiej stronie korytarza. Zazwyczaj trzyma się na uboczu, gdyż jest bardzo zajęty pisaniem i studiami, gwarantuję jednak, że w całym Rzymie nie znajdują panie bardziej zacnego i godnego szacunku angielskiego dżentelmena.

- Panno Wood, przyzna pani, że trudno o lepszą rekomendację. - Dziewczyna zwracała się do guwernantki, lecz jej wzrok utkwiony był w czarującej twarzy Edwarda. Minęły długie miesiące, odkąd jakiś rodak patrzył na nią z tak wielkim i nieskrywanym podziwem.

Może przedwcześnie i niepotrzebnie opłakiwała stracony sezon w Londynie? Lord Warwick nie mógł wiedzieć o jej niestosownych wyczynach. Nie miał pojęcia o schadzce ze stajennym w Aston Hall, flircie ze strażnikiem w Chantilly ani tym bardziej o nieszczęsnym porwaniu w Paryżu. Jeśli zatem Diana się postara, może uchodzić w jego oczach za ideał. Wystarczy odrobina roztropności i rozwagi, a wszystko - tak, wszystko! - może się zdarzyć. Los zaczynał jej sprzyjać.

- Wiedział pan, co powiedzieć, by zyskać nasze zaufanie, milordzie - dodała uradowana. - Poparcie osoby duchownej to doskonała

rękojmia charakteru. Któż odważyłby się podać w wątpliwość autorytet kościoła?

- Z pewnością nikt, milady - zgodziła się bez entuzjazmu panna Wood. - Pozwolę sobie jednak przypomnieć, iż wypada nam zachować ostrożność.

- Proszę pójść ze mną - Edward stanowczo ujął lady Farren za rękę, jakby miał do tego wszelkie prawo, i poprowadził w głąb holu. - Załatwimy sprawę od razu. Pozna pani mojego wuja osobiście. Poprosimy go, by dopełnił formalnej prezentacji.

- To wysoce niewłaściwe - zaprotestowała gwałtownie guwernantka, drepcząc w ślad za nimi. - Jest pan osobą niższego stanu niż lady Diana. To pan powinien być przedstawiony milady, a nie na odwrót.

Nie bacząc na jej utyskiwania, młody dżentelmen otworzył drzwi znajdujące się w korytarzu.

- Wuju, to ja, Edward! - zawołał od progu, odprowadzając lokaja, który wybiegł im naprzeciw w niedopiętej liberii. - Wybacz, iż znów cię nachodzę, odkryłem jednak, że pod tym dachem przebywają angielskie damy. Dasz wiarę? Jestem pewien, iż chciałbyś je poznać.

Znaleźli się w olbrzymim pokoju, służącym jednocześnie za salon, gabinet oraz jadalnię. W przysuniętym do stołu fotelu siedział sędziwy jegomość o miłej powierzchowności. Pograżony w pracy, zdawał się nie zważać na deszcz, który wpadając przez otwarte okno, moczył rozłożone na parapecie papiery.

Spod czarnego aksamitnego beretu mężczyzny, podobnego do tych, jakie noszą malarze, wycierały pasma siwych włosów. Jego ciemny surdut i bryczesy nie wyróżniały się niczym szczególnym, za to bosa stopy spoczywały w przedziwnych, wyszywanych w czerwone różyczki bamboszach. Marszczył w skupieniu krzaczaste brwi, studiując przez lupę szczątki glinianego naczynia. Nie przeszkadzało mu to w pykaniu z długiej białej fajki.

Edward chrząknął znacząco.

- Wuju, za pozwoleniem - niemal krzyknął starcowi do ucha. - Są ze mną damy!

- He? - Wielebny Patterson poderwał głowę, by spojrzeć na nich niewidzącym wzrokiem. W miejsce koncentracji na jego twarzy niemal natychmiast pojawił się błogi uśmiech. Odłożywszy trzymane w dłoniach przedmioty, podniósł się z krzesła i zsunął nakrycie głowy, odsłaniając potarganą czuprynę.

- Naturalnie, drogi chłopcze, damy. Jakże się panie miewają? Rzym nie rozpieszcza nas dziś aurą, nieprawdaż?

- Istotnie. - Diana uśmiechnęła się i postąpiła krok naprzód, zdeterminowana, by wziąć sprawy w swoje ręce, nim opiekunka znów zacznie pleść banialuki o właściwej prezentacji. - Wielebny ojciec. - Dygnęła z wdziękiem. - Lady Diana Farren, a to moja guwernantka, panna Wood. Cieszy mnie niezmiernie, iż na dalekiej obczyźnie dane mi było poznać dwóch znamienitych angielskich dżentelmenów.

Oblicze duchownego wyrażało niemal ciełący zachwyt. Nie była to dla niej żadna nowość. Przyzwyczaiła się do tego, że jej powalająca uroda wywiera na mężczyznach oszałamiające wrażenie.

- Sam widzisz, wuju - wtrącił z zapalem Edward. - Odnalazłem prawdziwy klejnot. Powiedziałaś, pani, iż jesteś rada ze spotkania. Ja jestem zachwycony... oczarowany i zaszczycony.

- Lady Diana jest młodszą córką jego wysokości księcia Astona - uznała za stosowne oznajmić panna Wood tonem pełnym przygany. - Podróżuje po Italii w poszukiwaniu wiedzy. Jego książęca mość pragnie, by jasnie panienka poszerzyła swą edukację.

- Pani zatem jest jej przewodniczką i nauczycielką - stwierdził z uznaniem wielebny Patterson, wkładając z powrotem beret, by podać jej rękę. - Musi pani być osobą wielce uczoną oraz wzorem wszelkich cnót, skoro książę złożył w jej ręce los i wykształcenie córki.

Ku zdumieniu wychowanki na blade policzki guwernantki wystąpił rumieniec.

- Zbyt pan dla mnie łaskaw, wielebny ojciec - podziękowała wylewnie. - Nie mogłabym marzyć o bardziej godnym powołaniu. To dla mnie honor kierować edukacją milady. Staram się robić

wszystko, by kształtować odpowiednio jej charakter i doskonalić umysł.

- Naturalnie - zgodził się gorliwie duchowny. - Zechce pani obejrzeć mój najnowszy nabytek? Jestem pewien, iż osoba o pani naukowych inklinacjach doceni kunszt wykonania dzbana, który uznawano za prehistoryczny już w czasach Juliusza Cezara.

-Dziękuję stokrotnie, wielebny ojczy - odparła panna Wood, zmierzając w stronę stołu ze skwapliwością, jakiej Diana nigdy przedtem u niej nie widziała. - Uczynię to z wielką ochotą.

- Zmyślnie pan to wszystko urządził, milordzie - rzekła z przekąsem panna Farren, spoglądając na Edwarda z udawanym wyrzutem.

- To nie moja zasługa, milady - odrzekł, położywszy sobie rękę na sercu. - Skłaniałbym się ku temu, iż to przeznaczenie pozwoliło mi się do pani zbliżyć.

- Och, co za bajki. - Zaśmiała się wdzięcznie. - Śmiem twierdzić, że sam pan w to nie wierzy.

- Jakże to? Nie wierzy pani w przeznaczenie? - zapytał, unosząc brew.

- Nie. - Wykonała ruch, który sprawił, że biała muślinowa spódnica owinęła jej się wdzięcznie wokół nóg. - Moim zdaniem, dzięki wolnej woli, którą obdarował nas Bóg, potrafimy sprawować kontrolę nad własnym życiem i losem. W przeciwnym razie bylibyśmy niczym łodzie bez sternika, dryfujące na wzburzonych wodach, tam gdzie poniesie nas nurt. Takie są moje przekonania i podejrzewam, że pan je podziela, milordzie.

- Dalibóg, już mnie pani o coś podejrzewa? - Westchnął z nadmierną afektacją, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczyma.

- Ależ, znamy się zaledwie od pół godziny!

-To wystarczająco długo. - Rozłożywszy wachlarz, zatrzepotała nim zalotnie wokół twarzy, po czym z wolna podeszła do okna. Nie bawiła się tak wyśmienicie od wyjazdu z Anglii. - Podejrzewam, iż nudzi się pan w Rzymie równie mocno jak ja, zwłaszcza że co ciekawsi jego mieszkańcy opuścili miasto, udając się do letnich

posiadłości - zaryzykowała stwierdzenie.

- Nic podobnego! - zaprzeczył zapalczywie.

- Proszę, milordzie, jeszcze nie skończyłam - przerwała mu łagodnie, sprawiając, że zaczął wsłuchiwać się w jej słowa z jeszcze baczniejszą uwagą. - Podejrzewam również, iż przyszedł pan do salonu z zamiarem poznania mnie. Co więcej, udało się panu wciągnąć do konspiracji wuja, który zgodził się zabawić pannę Wood po to, abyśmy mogli porozmawiać sam na sam. Takie oto są moje podejrzenia wobec pańskiej osoby.

- Rozumiem. - Złożywszy ręce za plecami, zmarszczył z namysłem czoło. - Wobec tego ma mi pani za złe, iż nie czekałem na łaskawe zrządzenie losu, lecz dzielnie wziąłem sprawy w swoje ręce i nagiąłem okoliczności do własnej woli?

- Och, nigdy nie twierdziłam, że mam to panu za złe, milordzie - odrzekła, posyłając mu filuterny uśmiech. - Wspomniałam jedynie, że moim zdaniem nie wierzy pan w zrządzenia losu, potem zaś próbowałam to udowodnić.

Lord Warwick uniósł nieznacznie podbródek. Mocne linie jego szczęki rysowały się wyraźnie w przytłumionym świetle.

- Mogę więc mieć nadzieję, iż zyskałem w pani oczach uznanie, milady?

- Hola, hola, nie tak prędko - zgasiła jego zapał. - Muszę jednak przyznać, że mnie pan zadziwił - dodała na osłode. - To niezwykle, by dzentelmen aż tak otwarcie adorował damę.

- Nie w smak mi rola łodzi dryfującej bez sternika - odparł gładko. - Proszę mnie raczej uważać za nurt rzeki, gotowy ponieść cię, pani, ze sobą, gdzie tylko sobie zażyczysz.

Zaśmiała się, nie kryjąc zaintrygowania. Nie przywykła do tego, by mężczyźni przemawiali do niej tak otwarcie. Najczęściej deprimowała ich jej uroda oraz obawa przed ojcem. Spodobała jej się zuchwałość Edwarda. A nade wszystko podobał jej się on sam. Jakim byłby mężem? - zastanawiała się. Czy to jego twarz pragnęłaby oglądać rankiem do końca życia?

- A dokąd to proponuje pan ponieść mnie ze sobą? Ukłonił się z

galanterią.

- Dokąd tylko zechcesz, pani.

- A dokąd pan by chciał, milordzie? Choć może raczej powinnam zapytać, jak chciałby pan to zrobić?

- Jak? - Zachichotał. - Są rzeczy, które wolę demonstrować czynem.

- Zapomina się pan. - Zawtórowała mu śmiechem, by złagodzić reprimendę, i spojrzała wymownie w stronę pochylnych nad stołem guwernantki oraz wielebnego Pattersona. - To nie czas ani miejsce.

Uśmiechnął się szeroko, bynajmniej niezdeprymowany, i stanął obok niej przy oknie.

- Porozmawiajmy zatem o Rzymie. Czy to dość bezpieczny temat?

Wzruszyła ramionami i zwróciła ku niemu twarz. Niech sam zdecyduje, co jest bezpieczne, a co nie. Deszcz zamienił się w parującą mgiełkę, a spoza chmur zaczęło nieśmiało wyzierać słońce.

- Stolica Italii to miasto niezliczonych atrakcji, milady - ciągnął - zarówno tych pochodzących ze starożytności, jak i współczesnych. Dlatego my, Anglicy, tak często wybieramy je sobie za cel naszych wojaży.

Zmarszczyła nosek i wyjrzała na zewnątrz, by przyjrzeć się czerwonym dachówkom i zmokłym cyprysom.

- Błagam, niech mi pan tylko nie prawi o skostniałych muzeach i zatechłych starych kościołach. Dość się ich naoglądałam, nie tylko tu, ale i we Francji. Panna Wood na każdym kroku robi mi na ich temat nieskończenie długie wykłady.

- Zapewniam panią, iż mogę sprawić, że nawet najstarsza rzymska ruina wyda się pani interesująca.

- Odebrałam staranne wykształcenie, milordzie, ale nie jestem typem badaczki. Nie potrafię w szczątkach pradawnych budowli dostrzec niczego zajmującego.

- Ze mną spojrzysz pani na nie świeżym okiem i doceni ich piękno.

Wzruszyła ramionami, udając obojętność. W rzeczywistości oddałaby wszystko, by zamienić nieciekawe wycieczki z guwernantką na eskapady w jego towarzystwie. Byłaby nawet

gotowa wstawać bladym świtem i nie kazałaby na siebie czekać dłużej niż pół godziny.

- Mam już opiekunkę, milordzie. Nie potrzebuję kolejnego przewodnika.

- Proszę pojechać jutro ze mną, a pokażę pani Rzym, jakiego pani nie zna. Każę przygotować powóz zaraz po śniadaniu. Zaręczam, iż pani opinia o mieście zmieni się na bardziej pochlebna.

- Hm, może, ale niczego nie obiecuję - odrzekła powściągliwie, nie chcąc, by dostrzegł, jak bardzo zapaliła się do jego pomysłu. - O, proszę spojrzeć!

Wielobarwny łuk rozpostarł się nad horyzontem, przebijając się przez poszarzałe obłoki i mgławicę nad Tybrem. Wyszedłszy na wąski balkon, Diana przesunęła opuszkami palców po mokrej krawędzi balustrady.

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz oglądałem tęczę - zachwycił się Edward, dołączając do niej. - Nie pozostaje mi nic innego, jak uznać to za znak opatrności. Spotkałem panią i natychmiast rozproszyły się chmury. Uśmiechnęła się pani do mnie, a niebo rozbłysło kolorami.

Ledwie zwróciła uwagę na jego słowa. Pochłonięta była obserwowaniem odkrytego powozu, który przejeżdżał ulicą. Trzy urodziwe, rozszczebiotane kobiety o lśniących, misternie ufryzowanych włosach miały na głowach fikuśne słomkowe kapelusze oraz odważne suknie z głębokimi dekoltami, podkreślającymi dorodne biusty. Obszerne spódnice z jasnych jedwabów zdawały się wypełniać całą kolaskę. Pasażerki chroniły się przed deszczem pod szmaragdowozielonymi parasolami. Kiedy pomalowane na czerwono koła przetaczały się z impetem po bruku, ozdobne frędzle parasoli i wstążki u kapeluszy powiewały radośnie na wietrze.

- Przykry to niewątpliwie widok dla oczu tak znamienitej damy jak pani - skwitował lord Warwick z oburzeniem.

- Horda wymalowanych filles de l'opera!

Diana doskonale wiedziała, co miał na myśli; jego zdaniem

przyglądali się przed chwilą ulicznicom. Chciała to jednak od niego usłyszeć.

- A te kobiety to raczej Włoszki, nieprawdaż? - spytała niewinnie.

- Owszem - potwierdził z niechęcią. - Dość powiedzieć, iż są uważane za „ozdobę” tutejszych scen.

- Doprawdy? - zdziwiła się, przypominając sobie słowa zasłyszane od signora Silvaniego. - Ponoć włoskim niewiastom zabrania się występów scenicznych? Wedle mojej wiedzy role żeńskie powierzane są mężczyznom.

- Tak, w rzeczy samej. - Odchrząknął zakłopotany. - Zmuszasz mnie, pani, bym wyrażał się dosadnie. Ponad wszelkie prawdopodobieństwo te kobiety są utrzymankami zamożnych mężczyzn i jako takie nie zasługują na twą uwagę, milady.

To nie one jednak ściągnęły na siebie wzrok panny Farren. Bardziej zainteresował ją mężczyzna, który jechał wraz z nimi w powozie. Rozparty swobodnie na siedzeniu pośród góry halek i muślinów, sprawiał wrażenie, jakby znajdował się w swoim żywiole. Czy doprawdy był w stanie utrzymać aż trzy kochanki, niczym sułtan harem? Przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

Wspierając stopy o wyściełane siedzenie po przeciwnej stronie kolaski, obejmował od niechcienia ramiona dwóch towarzyszek. Był nad wyraz przystojny i rozpromieniony. Co i raz ukazywał w uśmiechu nieskazitelną biel zębów. Śniada cera idealnie harmonizowała z długimi ciemnymi włosami, związanymi niedbale czerwoną wstążką, być może pochodzącą z kapelusza jednej z dziewcząt. Jego wygląd i sposób bycia były uderzająco aroganckie i zuchwałe, w niczym niepodobne do zachowania angielskich dżentelmenów.

- Przygotuje pan na jutro podobny powóz, milordzie? - zapytała Diana, wychylając się przez barierkę, by przyjrzeć się lepiej pojazdowi. - Z czerwonymi kołami, dzwoneczkami i kwiatami wpiętymi w końskie grzywy?

- Musiałbym wypożyczyć coś takiego z cyrku. - Potrząsnął głową, nie kryjąc dezaprobaty. - Za nic nie obraziłbym pani w ten sposób.

Zbyt panią szanuję.

- Doprawdy? - odrzekła z wolna. - Moim zdaniem ozdoby to nic złego. Tamten pojazd wyglądał dość oryginalnie.

- Raczej skandalicznie, zwłaszcza z tą zgrają w środku. - Ujął ją lekko za łokieć, gotów wybawić od nieprzyjemnego widoku. - Wracajmy do salonu, lady Diano. Nie godzi się, by oglądała pani takie bezeceństwa.

Odwrócił się, by dołączyć do wuja i panny Wood, gdy tymczasem ona została jeszcze chwilę na balkonie, zerkając za barwnym powozem. Zapewne biel jej spódnicy przykuła uwagę ciemnowłosego pasażera. Dość powiedzieć, że podniósł głowę i na moment spotkali się wzrokiem. Jego błękitne oczy wydawały się dziwnie blade w czarnej oprawie rzęs i brwi. Uniósłszy do ust dwa palce, uwodzicielskim gestem przesłał jej pocałunek.

- Lady Diano? - Lord Warwick zacisnął niecierpliwe palce na jej ramieniu. - Wejźmy środka.

- Och, tak, oczywiście. - Serce tłukło jej się w piersi niczym uwięziony w klatce ptak. Obejrzała się przez ramię, lecz powozu nie było już widać.

Rozdział drugi

Lord Anthony Randolph sięgnął po kryształową karafkę i napełnił kieliszek czerwonym winem.

- Lato dobiega końca - zauważył z melancholią, podziwiając pod światło rubinową barwę trunku. - Wkrótce angielskie demony znowu zjadą na podbój naszej biednej stolicy.

Lucia roześmiała się ubawiona. Siedziała przy toalecie, poddając się zabiegom pokojówki, która fryzowała jej włosy.

- Jak możesz tak mówić, Antonio? Wszakże sam jesteś jednym z nich.

- Wciąż mi o tym przypominasz. To doprawdy okrutne. Nie przeczę, mam w sobie domieszkę angielskiej krwi, lecz sercem i duszą jestem Włochem.

- I sądzisz, że włoskie pochodzenie uprawnia cię do tego, by mówić, co ci się żywnie podoba, o innych nacjach? Ależ z ciebie zuchwalec!

- Nic na to nie poradzę. - Opadłszy na fotel przy otwartym oknie, podłożył sobie pod głowę aksamitną poduszkę. Przywykł do tego, że musi na nią czekać. Choć czasy, gdy byli kochankami, bezpowrotnie minęły, pozostali oddanymi przyjaciółmi. Dość powiedzieć, że tolerowali nawzajem swe przywary i słabostki. - Nie potrafię się powstrzymać. Kiedy dni stają się krótsze, zewsząd zaczynają nas otaczać, niczym plaga, bladzi jak śmierć Anglicy. Najeżdżają na miasto całymi hordami i nic, tylko narzekają. A to, że dokucza im słońce, a to, że nie jada się u nas rostbefu... Nie w smak im nawet nasze wino. Powiadają, że jest zbyt mocne.

- Cóż, mnie angielscy dżentelmeni bardzo przypadli do gustu - oznajmiła, malując na niebiesko powiekę. - Są wyjątkowo dobrze ułożeni. Co więcej, zawsze wracają do mych drzwi.

- Jakże mieliby nie wracać, boska Lucio, skoro jesteś dla nich nagrodą?

- Och, sza o tym, Antonio. - Wykrzywiła usta. - Tyber wystąpiłby z

brzegów, gdyby wypełnić go wydumanymi pochlebstwami, które spływają z twych ust.

- Przyznaj, że je uwielbiasz. - Uśmiechnął się leniwie. - Nie potrafiłabyś się bez nich obejść. - Byli już spóźnieni co najmniej godzinę na przyjęcie w pracowni malarza Giovanniego, lecz miast robić jej wyrzuty, czekał cierpliwie, rozkoszując się intymnym tete-a-tete, - Wymień choć jednego mężczyznę, który zna cię lepiej niż ja i tak jak ja potrafi wprowadzić cię w dobry nastrój.

Prychnęła niezobowiązująco, wpatrując się z uwagą w swe odbicie w lustrze. Nałożywszy na usta pomadkę, z zadowoleniem oceniła efekt. Jak każda szanująca się kurtyzana, przywiązywała ogromną wagę do wyglądu. Nawet jeśli wybierała się na spotkanie w gronie przyjaciół, nie odchodziła od zwierciadła, nie upewniwszy się, że jej prezencja nie wymaga żadnych poprawek. Miała dziś zaśpiewać dla zapewnienia zgromadzonym rozrywki, a trzeba przyznać, iż głos Lucii dorównywał jej urodzie. To prawdziwa niesprawiedliwość losu, pomyślał Antonio, że papież Innocenty XI kilkadziesiąt lat temu zakazał kobietom występów w teatrach i operach. W każdym innym mieście taki talent uczyniłby z Lucii niekwestionowaną królową sceny. Dzięki temu mogłaby wybierać sobie bardziej interesujących kochanków. Obecnie była utrzymanką tłustego kupca specjalizującego się w handlu winem.

- Istotnie - odezwała się, wydymając usteczka. - Idzie ci to całkiem sprawnie jak na bladoliciego Anglika.

Anthony jęknął teatralnie. Jego ojciec rzeczywiście był angielskim arystokratą, spadkobiercą tytułu oraz właścicielem rozległych dóbr ziemskich. Ukończywszy studia w Oksfordzie, wybrał się w podróż dokoła Europy. W Rzymie odkrył uroki ciepłego klimatu i zakochał się bez pamięci w trzpiotowatej, lecz dobrze urodzonej i bogatej włoskiej szlachciance. Dwaj jego starsi bracia, posłuszni woli rodzica, wrócili do Anglii, by zdobywać wiedzę na tamtejszych uniwersytetach, a po śmierci seniora rodu pozostali w ojczyźnie. Dwudziestośmioletni Anthony, potomek owej mieszanej pary, która osiadła w Italii, nigdy natomiast nie opuszczał tego kraju i było mu z

tym dobrze.

- Z pewnością nie jestem blady, Lucio - odrzekł spokojnie, choć rozmawiali o tym już po tysiącuroc. - Nie wywyższam się ani nie narzucam swej woli innym, jak większość znanych mi Anglików, nie można mi też wytknąć braku manier.

- Skąd wiesz, że nie skończysz jak ten nadęty bufon, którego widzieliśmy rankiem na balkonie? - zakpiła, wkładając długie ozdobne kolczyki. - Nigdy nie wiadomo. Jeszcze dwa, trzy lata, drogi Antonio, i możesz zmienić się w jego wierną kopię. Kamizelka zacznie zbyt mocno opinać ci brzuch, a z chorobliwie bladej twarzy nie będzie schodził pełen zadowolenia z siebie uśmiech.

Od razu domyślił się, o kogo chodzi. Ów dżentelmen wychylał się z balkonu, obrzucając ich niechętnym spojrzeniem, gdy w drodze na improwizowany piknik przejeżdżali wraz z przyjaciółkami Lucii przez Piazza di Spagna.

- Zważ, że ten Anglik jest ode mnie młodszy - odparł, poklepując się dumnie po płaskim brzuchu. - To lord Edward Warwick. Przebywa w tym mieście ledwie od miesiąca, a wydaje mu się, iż zna je lepiej niż rodowity rzymianin. Przedstawiono nas sobie w zeszłym tygodniu i nie chcę go więcej oglądać.

- Ale nie powiedziałbyś tego samego o panie, która była z nim na balkonie, prawda? - Wreszcie gotowa, Lucia podniosła się sprzed toaletki i obdarowała przyjaciela przekornym uśmiechem. - Nie zaprzeczysz. Zbyt dobrze cię znam, Antonio. Widziałam, jak na siebie spojrzeliście.

- Ani przez chwilę nie zamierzałem zaprzeczać. - Dopił wino, przywołując w pamięci obraz młodej dziewczyny stojącej obok Warwicka. Musiała być jego rodaczką. Na Piazza di Spagna rezydowali wyłącznie Anglicy. Wskazywała na to również jej sztywna poza, charakterystyczna dla dobrze urodzonych angielskich dam. Nosiły się, jakby stale towarzyszyła im obawa, że mogą uszkodzić swe cenne, wypielegnowane ciała.

Tego jednak z pewnością można by ją oduczyć. Gra była warta świeczki, panna wyglądała bowiem iście zjawiskowo. Roztaczała

wokół siebie aurę zmysłowości, której nie potrafił się oprzeć. Jej jasne włosy połyskiwały w słońcu niczym szlifowane złoto. Miała jasną, kremoworóżaną karnację i nieskalaną upiększającymi mazidłami cerę, która, choć delikatna, nie była chorobliwie przezroczysta. Ich spojrzenia spotkały się zaledwie na sekundę, lecz to wystarczyło, by jej zapragnął.

- Dobrze to sobie przemyśl - ostrzegła Lucia. - Sądysz, że jest warta kłopotów, które niechybnie ściągnie na twoją głowę?

- Skąd takie obawy?

- Bądźże przez chwilę poważny, Antonio. - Zwróciła ku niemu twarz. - Jest Angielką, damą z wyższych sfer. Najprawdopodobniej także dziewicą. Z pewnością ma za sobą wpływowych mężczyzn, ojca, brata albo ukochanego, którzy będą bronili jej cnoty jak lwy. To nigdy nie wróży nic dobrego.

Uśmiechnął się, muskając palcem jej kształtny nos.

- Znadto się o mnie troszczysz.

- Dobrze cię znam, ot co - odparła, odpychając jego dłoń.

- Za to ona, biedactwo, zupełnie mnie nie zna.

- Kiedy z nią skończysz, będzie żałowała, że wasze drogi kiedykolwiek, się spotkały. Żadna kobieta nie wychodzi ze znajomości z tobą bez szwanku.

Uniósł brwi w udawanym zdumieniu.

- Do tej pory nigdy się nie uskarżałaś.

- Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele, mój drogi. - Odśloniła zęby niczym rozwścieczona tygrysica. Miała wprawdzie wygląd i głos anioła, czasami jednak jej ognisty temperament zdawał się dziełem szatana. - Nie skarżyłam się, gdy byliśmy razem, i tym bardziej nie zamierzam tego robić teraz. Dla ciebie miłość to jedynie rozrywka. Ta biedna mała może pogubić się w twoich gierkach.

Nie mógł się z nią nie zgodzić. Uwielbiał kobiety i dokładał wszelkich starań, by i one znajdowały w jego ramionach uciechę i zaspokojenie. Toteż nigdy nie brakowało mu kochanek, również dzięki temu, że był bogaty. Mimo że pochodził z arystokratycznego rodu, preferował towarzystwo najznamienitszych w mieście

kurtyzan oraz kilku mężatek o wątpliwej reputacji. Miały tę zaletę, że, podobnie jak on sam, traktowały miłosne uniesienia jak ulotną rozrywkę. Szanowane młode damy niepomrotnie go nudziły. Zresztą ich równie szacowne matki starały się za wszelką cenę chronić przed nim swe córki. Nie przejmował się tym. Nie musiał żenić się dla pieniędzy, pozycji czy tytułu. Lucia miała słuszość. Miłość nie była dla niego niczym więcej niż zabawą. A zamierzał bawić się i hulać, dopóki mu sił starczy.

Uśmiechnął się do przyjaciółki w nadziei, że uda mu się poprawić jej humor.

- Odkąd to jesteś taka zacna, moja droga? Wszak ta panna jest dla ciebie nikim.

- A kimże jest dla ciebie? Jeszcze jedną z hordy Anglików, którzy zalewają nasze miasto? Obiektem twoich kpin?

- To tylko śliczna buzia, którą wypatrzyłem na balkonie -odparł gładko. - Bądźże rozsądna, moja droga. Nie masz najmniejszych powodów do zazdrości.

- Och... ty... nikczemniku! - zachnęła się, mroząc go wzrokiem pełnym furii. - Jak śmiesz przemawiać do mnie w ten sposób?! - Odepchnęła go z całej siły i odwróciła się obrażona. - Nie pojmuję, czemu jesteś taki zawzięty? Czyż nie zasługuję na szczerą odpowiedź? Ja, twoja najlepsza przyjaciółka?! Jesteś doprawdy okrutny, Antonio! Okrutny i bezduszny!

Uniosła gwałtownie głowę i podtrzymując dłonią spódnice, dumnym krokiem wymaszerowała z pokoju.

Popatrzył za nią i westchnął. Dla niej życie było sceną. Odgrywała swe partie z wielką swadą i fantazją. Im bardziej ckliwie i czułościowo, tym lepiej. Żywił do niej ogromne przywiązanie, niemniej coraz częściej wydawała mu się męcząca. Ta młoda Angielka bez wątpienia była inna. Niewinna i łagodna. Jej towarzystwo byłoby błogą odmianą, niczym kąpiel w stawie po rejsie na wzburzonych falach oceanu.

Anthony narzucił płaszcz i począł się zastanawiać, jak wyrwać jasnowłosą piękność z rąk bezbarwnego lorda Warwi-cka.

Sięgnąwszy po kapelusz, przekrzywił go zawadiacko na głowie i ocenił efekt w lustrze.

Nie był przystojny. W każdym razie nie wedle angielskich miar i standardów. Jego bracia o pszenicznych włosach od dziecka dokuczali mu z powodu kruczoczarnych loków, ciemnej cery i mocno zarysowanej szczęki, które odziedziczył po krewnych ze strony matki. Po ojcu miał pełne życia jasnoszare oczy, zaraźliwy uśmiech oraz dowcip i pewność siebie. Zapewne to właśnie sprawiało, że kobiety uwielbiały go, nie bacząc na ostre rysy i ogorzałą twarz. Angielska piękność z pewnością nie będzie wyjątkiem. Mrugnąwszy okiem do swego odbicia, zszedł na dół. Dał Lucii wystarczająco dużo czasu, by zdążyła ochłonać i by mógł bez obawy dołączyć do niej w powozie.

Czyżby pomylił się w kalkulacjach?

- Okrutnik! - mruknęła i odwróciła twarz do okna, gdy siadał obok. - Jesteś nieczuły i bez serca.

- Nie muszę ci towarzyszyć. Skoro jestem taki okrutny, może lepiej jedź sama. Zresztą, przy twoim blasku i tak nikt nie zauważy mojej obecności.

Spojrzała na niego wzrokiem zranionej łani.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda. Zawsze cię zauważają. Kogoś takiego jak ty nie można ani przeoczyć, ani zapomnieć.

Westchnął ciężko.

- Sam nie wiem, czy przyjąć to jako komplement, czy jako obelgę.

Przez następne pół godziny podróżowali w milczeniu zwiastującym niepewny i kruchy rozejm.

- Nietrudno będzie odnaleźć tę twoją złotowłosą dziewczynę - przerwała ciszę Lucia. - Wasz angielski konsul z pewnością wyjawia ci jej nazwisko.

- O ile mnie pamięć nie myli, nie wspominałem, iż chcę ją odnaleźć?

- Nie musisz wypowiadać swych pragnień na głos. My dwoje rozumiemy się bez słów. - Uniosła do oczu koronkową chusteczkę.

- Dajże już pokój tym dąsom - zażądał stanowczo. - Czyż to nie pan

Lorenzo jest miłością twego życia? Jedynym mężczyzną w całym Rzymie gotowym znieść cierpliwie twe fanaberie i obsypywać cię złotem?

- Nie praw mi tu o Lorenzu - odparła zniecierpliwionym głosem. - Nie o nim teraz rozmawiamy. Mówimy o tobie i młodej Angielce, którą zamierzasz uwieść. A jeśli tym razem to ty okażesz się przegrany w swej ulubionej grze? Już teraz jesteś nią zauroczony - więcej, omamiony i oczarowany! Co będzie, jeśli cię nam skradnie? Zabierze ze sobą do Anglii jako trofeum? Jesteś gotowy nas dla niej opuścić! Porzucić na zawsze przyjaciół?

Anthony oparł głowę o skórzany zagłówek i zachichotał.

- Możesz być spokojna. To się nigdy nie zdarzy.

- Nie? - Spojrzała na niego wyzywająco. - Jesteś bardzo pewny siebie.

- To niemożliwe, mam zatem prawo być pewny siebie. - Ujął i ucałował jej dłoń. - Żadna kobieta nie pozyska nade mną takiej władzy. Sama wiesz o tym najlepiej, najdroższa Lucio.

Prychnęła i zwinąwszy dłoń w pięstkę, przycisnęła ją do piersi.

- To ja pierwsza się tobą znudziłam, Antonio, choć twa męska duma nie pozwala ci tego przyznać. - Spojrzył na nią z jawnym powątpiewaniem, dodała więc prędko: - Może powinnam pozwolić ci poślubić tę wychudzoną dzierlatkę? Spłodzilibyście tuzin słabowitych pacholąt. Choć to mogłoby okazać się trudne, zważywszy na beznamiętny temperament Anglików.

- Nie musisz mnie od tego odwodzić, moja droga. Nie zamierzam ożenić się ani z nią, ani z żadną inną.

- Ufasz sobie na tyle, by pójść w tej sprawie o mały zakład? - zapytała prowokacyjnie.

- Na tyle mały, by przełknął go Lorenzo? - Uśmiechnął się chytrze.

- A jednocześnie na tyle duży, by mnie nim zainteresować?

- W rzeczy samej! - Pochyliła ku niemu głowę. - Postawię znaczną sumę na to, że nim rozpocznie się adwent, zatracisz się tak dalece, iż potrzebna będzie interwencja twych przyjaciół. Będziemy musieli zewrzeć szeregi, by ratować cię przed ożenkiem.

- Przed ożenkiem? - Roześmiał się w głos. - Raczysz żartować. - Pomysł wydał mu się niedorzeczny. Miałby ściągnąć na siebie wyrok w postaci małżeństwa? Przenigdy! Już lepiej dać się zamknąć w lochu i dokonać żywota za kratami. Panna jest wprawdzie łakomym kąskiem, nie na tyle jednak, by poświęcić dla jej ręki beztrioskie życie utracjusza i hulaki.

- Przyjmuję zakład, Lucio, pozwól jednak, iż sam wyznaczę stawkę. Zrobię to bez obaw, gdyż to ja zostanę zwycięzcą. Uwiodę dziewczynę i będę się nią cieszył, jak długo zechcę, lecz nigdy nie uczynię jej swoją żoną. Ty zaś uznasz przegraną i odśpiewasz calusienką arię na Schodach Hiszpańskich.

Zmarszczyła czoło, udając, że nie pojmuje w czym rzecz.

- Masz na myśli schody przy Piazza di Spagna? Mam się publicznie ośmieszyć?

- Otóż to - odparł gładko. - I to za darmo. - Rozbawiła go myśl, że zakpi z przyjaciółki. - Pomyśl tylko. Ofiarujesz całemu Rzymowi możliwość obcowania ze swym anielskim głosem. W dodatku nie ucierpi na tym sakwa kochanego Lorenza.

- Ofiaruję?! Nigdy nie śpiewam za dar... Na darmo!- poprawiła się.. Skrzyżował ręce na piersiach.

- Takie są moje warunki. Jeśli ich nie przyjmujesz, unieważnimy zakład.

- Tak łatwo się nie wymigasz! Jeśli przegrasz, sam zaśpiewasz arię. Na tych samych schodach. Ty, który ryczysz jak osioł! Ha! To dopiero będzie przedstawienie. Jeśli ta panna cię zrujnuje, a jestem pewna, że tak się stanie, zadedykujesz jej swą pieśń na oczach całego miasta.

- Zgoda. - Rzeczywiście śpiewał jak osioł, i to tylko wtedy, kiedy sobie podpił. Jednakże nie czuł się zagrożony. Był święcie przekonany, że nigdy nie przegra zakładu. Bo jakże by mogło do tego dojść?

- Dorzucisz jeszcze sto złotych weneckich monet - rzekła.

- Niech będzie - zgodził się, ubawiony. - Przygotuj na ten dzień ulubioną arię, moja droga. Nie chcesz przecież źle wypaść przed

rzymską publicznością.

- Nie obawiaj się. Będę ćwiczyła do upadłego. - Wyciągnawszy dłoń, pogłaskała go po policzku. - Specjalnie na twoje wesele.

- A oto, moje drogie panie, słynne Koloseum. - Wielebny Patterson zawiesił dramatycznie głos, dotykając laską okna powozu. - W tym właśnie miejscu pogańscy wojownicy walczyli ku uciechu cesarzy oraz żadnej krwi gawiedzi. Niezliczone istnienia ludzkie padły tu ofiarą kaprysu bezwzględny dyktatora, na skutek jego opuszczonego w dół kciuka.

- Och, aż trudno dać wiarę tym potwornościom. - Panna Wood była wyraźnie pod wrażeniem słów pastora. - Lady Diano, pamięta jaśnie panienska lektury na temat rzymskich gladiatorów?

Dziewczyna zerknęła niechętnym okiem na monstrualnych rozmiarów ruinę. Od trzech dni z powodu lorda War-wicka robiła dobrą minę do złej gry, choć niełatwo jej było udawać, że zajmuje ją zwiedzanie zabytków. Wychyliła się na siedzeniu, starając się dostrzec w antycznej budowli coś intrygującego. Na próżno. Koloseum wydało jej się kolejną stertą zmurszałych głazów, jakich wiele w tym mieście. Na szczęście Edward, zacna dusza, tym razem podzielał jej zdanie.

- Dałbyś już pokój, wuju - odezwał się i korzystając z panującego w karocy półmroku, ujął ją za rękę. - Nie spodziewasz się chyba, iż tak szlachetnie urodzona młoda dama, jak lady Diana, podziela twą fascynację krwawymi praktykami pogan, którzy wyrzynali się nawzajem tysiące lat temu?

Panna Wood przyszła w sukurs duchownemu.

- Jego książęca mość zawsze dokładał starań, by jego córki posiadały dostateczną wiedzę historyczną, milordzie - oznajmiła oschle. - Naturalnie nie tak rozległą, jaka zazwyczaj staje się udziałem chłopców, na tyle jednak gruntowną, by mogły swobodnie konwersować z ojcem oraz innymi dżentelmenami.

- Za pozwoleniem, panno Wood - odparł Warwick. - Jako dżentelmen wolałbym, by lady Diana zachowała niewiedzę na temat barbarzyńskich i wysoce niemoralnych obyczajów rzymskich

cesarzy. Czasem lepiej żyć w błogiej nieświadomości, nawet jeśli odbywa się to kosztem tak zwanej edukacji. Czyż nie prościej jest zwyczajnie podziwiać uroki danego miejsca, miast rozwodzić się nad okrucieństwami, których się w nim onegdaj dopuszczano?

Panna Farren uśmiechnęła się, poruszona faktem, że Edward tak zaciekle broni jej niewinności. Nigdy dotąd nie miała osobistego rycerza obrońcy.

Guwernantka nie zamierzała jednak tak łatwo dać za wygraną.

- Jego książęca mość wyraził życzenie, by jaśnie panienka poznała i doceniła życie w szerokim świecie. Koloseum jest jednym z elementów tego świata.

- Mam pewną myśl, panno Wood - interweniował wielebny Patterson. - Proszę pozwolić wychowawcy wejść do środka pod eskortą mego siostrzeńca. Nie zaszkodzi, jeśli obejrzy Koloseum z bliska. Światło księżyca z pewnością przegna z pamięci panienki wspomnienie okrucieństw, jakie rozegrały się tam w starożytności. Przy okazji będzie mogła nabrać należytego poważania dla historycznego miejsca.

- Cóż za znakomity pomysł! - zapaliła się Diana, gotowa w każdej chwili wyskoczyć z powozu. Pokusa spędzenia kilku minut sam na sam z Edwardem okazała się nie do odparcia. Odkąd się poznali, nie odstępowano ich na krok. - To jest, o ile lord Warwick zechce mi towarzyszyć.

- Będę zaszczycony, milady. - Sięgnął do klamki, równie ochotczo przystając na plan wuja. - W księżycowej poświacie Koloseum znakomicie prezentuje swój majestat.

- W rzeczy samej - podchwyciła panna Wood. - Sama chętnie je obejrzę.

Młodzieńcowi w jednej chwili zrzędała mina.

- To nie będzie konieczne. Hm... chciałem powiedzieć...

- Nie musi pani z nami iść - włączyła się Diana. - Bardzo proszę, panno Wood. Może nam pani zaufać.

Opiekunka pozostała nieugięta. Nadal winiła się za ucieczkę Mary Farren z ukochanym. Postawiła sobie za punkt honoru nie dopuścić,

by młodsza podopieczna wzorem siostry wyrwała się spod jej skrzydeł.

- Wykluczone. - Zacisnęła usta. - To nie jest kwesta zaufania, lecz przyzwoitości. Nie trzeba chyba przypominać jaśnie panience o...

- Nie brak mi przyzwoitości - przerwała jej pospiesznie dziewczyna. Wyciąganie na światło dzienne przebrzmiałych skandali popsułoby jej teraz szyki. Nie mogła dopuścić, by lord Warwick i jego wuj dowiedzieli się o nich. Przysięgła sobie przecież zrobić wszystko, by odzyskać reputację. - Nie wyobrażam też sobie bardziej przyzwoitego dżentelmena niż lord Edward.

- Och, proszę pozwolić im pójść, panno Wood - wtrącił pobłaźliwie wielebny Patterson. - Ręczę za mego siostrzeńca. Poza tym nie będą sami. O tej porze napotkają znacznie więcej zwiedzających niż za dnia, nie wspominając o ciżbie duchownych oraz sprzedawców słodczy i pamiątek. Lord Warwick przyłożył sobie rękę do serca.

- Ma pani moje słowo. Będę strzegł honoru lady Diany własnym życiem.

Guwernantka zawahała się, po czym westchnęła z rezygnacją.

- Niech będzie, ten jeden raz. Ale chcę widzieć pana i panienkę z powrotem za pół godziny, w przeciwnym razie sama się po was pofatyguję.

- Chodźmy więc, milordzie - rzekła Diana, podając mu dłoń. - Nie warto tracić czasu.

- Z panią, milady, nie ma straconych chwil. Każda jest na wagę złota.

Wciąż to robił. Obracał niemal każde jej słowo w romantyczną deklarację.

- Tędy - wskazał, wkładając sobie pod ramię jej rękę.

- Jeśli o mnie chodzi - odparła wesoło - możemy przejść kilka razy dookoła murów. Zależało mi jedynie na tym, by znaleźć się wreszcie z panem na osobności.

Zaśmiał się, poklepując lekko jej dłoń.

- Panna Wood słusznie pani strzeże, milady. Reputacja młodej damy to skarb nie do przecenienia.

- Bywa też nieznośnym ciężarem. Czasem marzę o tym, by być zwyczajną śmiertelniczką, a nie córką wielkiego księcia Astona.

- Nikt nie użyłby określenia „zwyczajny” w odniesieniu do pani czy jej ojca.

- Och, ojciec wydaje się całkiem zwyczajny, zwłaszcza ludziom równym sobie. Nie wyróżnia go nic szczególnego.

Głupstwa, które plecie panna Wood o tym, jakoby pragnął dyskutować z nami o historii i sztuce, to czcze wymysły. Jedyne, czego wymaga ode mnie i siostry, to byśmy w odpowiednich momentach wpadały w zachwyty, kiedy snuje opowieści o łowach.

- Pragnąłbym poznać kiedyś jego wysokość osobiście. Powiadają, iż jest wielkim wizjonerem. Mam nadzieję, że spotka mnie kiedyś ten zaszczyt i zostanę mu przedstawiony.

- Doprawdy nie rozumiem, skąd u pana ta potrzeba, milordzie - odparła rozbawiona. Miała poważne wątpliwości co do wizjonerstwa rodzica. Jedyne, co ksiązę potrafił prorokować, to zmiany pogody. - Czyżbyś pan pragnął, by ojciec zanudzał cię gawędami o swych łowieckich przygodach?

- Jestem pewien, że znaleźlibyśmy także inne tematy do rozmowy. Na przykład ciebie, pani.

Zerknęła na niego w osłupieniu. Dżentelmen mógł mieć tylko jeden powód, by poruszyć z ojcem damy temat jego córki, mianowicie, by poprosić o jej rękę. Jak dotąd żaden ze znanych Dianie mężczyzn nie zdobył się na ten śmiały krok. Jej znajomość z Edwardem była jeszcze w powijakach, prawdopodobnie wiele się między nimi wydarzy i wiele czasu upłynie, nim ogłoszą zrzekowiny i dadzą na zapowiedzi. Nie spodziewała się, że lord Warwick tak szybko zacznie mówić o ewentualnym mariażu. A jednak zalecał się do niej. Zdumiewało ją to i zachwycało jednocześnie. Czyżby się we mnie zakochał? - zastanawiała się w duchu. Inaczej nie czyniłby przecież takich aluzji.

- Czy ten prospekt jest pani aż tak niemiły, milady? - rzucił lekkim tonem, uzmysławiając jej, jak długo milczała. - Nie chciałabyś, abym wyśpiewywał przed księciem hymny pochwalne na twą cześć?

Zapewne o tym właśnie pani myślała, słusznie odgadłem?

- Nie tym razem, milordzie. - Przyłgnęła mocniej do jego ramienia.
- Myślałam raczej o magii, o tym, że wszystko, co pan robi i mówi, wydaje mi się niezwykle.

Zamiast przytaknąć lub uczynić podobne wyznanie, uśmiechnęła się uprzejmie, jakby nie zrozumiała, co miała na myśli.

- Ja również przepadam za pani towarzystwem - oświadczył, zatrzymując się, by uiścić opłatę za zwiedzanie Koloseum. Wręczywszy monety znudzonemu portierowi, przeprowadził Dianę przez bramę. - Jak zwykle każą sobie płacić myto. Ci piekielni rzymianie gotowi ogołocić człowieka do ostatniego funta, a potem jeszcze obedrzeć go ze skóry i zastanawiać się, jak ją z zyskiem sprzedać.

- Utrzymanie takiego miejsca musi być ogromnie kosztowne - zauważyła. Mimo rozwieszonych wokół muru lamp pasaż pozostawał ponuro zaciemniony, trzymała się więc jak najbliżej Edwarda. - Żadna budowla w Londynie nie dorównuje mu rozmiarami. Wyobraża pan sobie, ilu trzeba posługa-czek, by pozamiatać tak ogromną powierzchnię?

- Cóż, rzeczywiście pozostaje mi to sobie jedynie wyobrażać - stwierdził, nie kryjąc niechęci. - Gołym okiem widać, że nikt tu nigdy nie sprząta. Sama z pewnością pani zaobserwowała, jak niechlujni są mieszkańcy tego miasta. Nie wykazują ani krzty szacunku dla swego dziedzictwa. Pozwalają, by ich stolica sczeźła i zmarniała. Niegdyś Rzym szczylił się systemem irygacyjno-ściekowym, o jakim Londyn po dziś dzień może jedynie marzyć. A teraz? Wszechobecny fetor nie pozwala swobodnie oddychać.

Diana nie dbała o historię Rzymian. Interesował ją wyłącznie Edward, a ściślej jego uczucia. Pragnęła, by mówił tylko o tym, jak wielkim darzy ją afektem.

- Mam nadzieję, iż wkrótce ujrzymy ponownie księżyc - zaczęła, starając się zwrócić rozmowę na inne tory. Światło księżycy nie tylko potęgowało romantyczny nastrój, lecz również przydawało jej cerze urody. Poza tym w księżycowe wieczory mężczyźni zazwyczaj rwali

się, by ją całować. Obiecywała sobie wprawdzie, że odtąd będzie się nienagannie prowadzić, lecz czyż nie nadszedł czas, by ten młodzieniec spróbował skraść jej całusa? Przynajmniej w policzek. Po tym, co powiedział wcześniej, niewątpliwie zasłużył na nagrodę. - Mamy dziś prawie pełnię. Zauważył pan?

- Jakież to do pani podobne, milady. Poświęcać tyle uwagi księżycowi. - Posłał jej protekcyjny uśmiech, jakby powiedziała coś zadziwiającego. - Wyznam, iż moje myśli pochłonięte były zupełnie czym innym. Nie zawędrowały aż do nieba i wiszących na nim...

- Księżyc nie wisi na niebie, milordzie - przerwała mu i uniosła podbródek. Kiedy się wreszcie domyśli, że ona chce, żeby ją pocałował? Jak na dżentelmena o imponującej wiedzy historycznej wykazywał kompletny brak wyczucia chwili. Jakby nie zauważał, co się dookoła niego dzieje. - Co dzień wschodzi i zachodzi, podobnie jak słońce.

- Oczywiście, ma pani rację. - Nadzieje na pocałunek spełzły na niczym. Wyprowadziwszy ją z cienia, Edward skierował kroki ku otwartej przestrzeni. - Jesteśmy u celu. Oto co przybyła pani zobaczyć w Rzymie!

Monstrualny krąg z kamienia naruszony zębem czasu, skwitowała w duchu. Brakowało niemal połowy muru, pozostałości natomiast wyglądały niczym wyszczerbiona porcelanowa filiżanka. Rzędy zniszczonych ławek porastały kępki trawy i dzikiego kwiecia. Rozproszone grupki zwiedzających snuły się dookoła niby upiorne widziadła, ściskając w dłoniach latarnie. Jeśli wierzyć przewodnikom, miał to być najbardziej romantyczny zakątek Rzymu. Dobrze sobie, pomyślała rozczarowana. Ich autorzy najwyraźniej nie podzielali jej wyobrażenia o okolicznościach sprzyjających romansom.

- W którym miejscu inscenizowano widowiska i pojedynki? - zapytała, spoglądając w dół. Widoczny tam labirynt otwartych korytarzy w niczym nie przypominał rycin z jej starego podręcznika do historii. - Wygląda to raczej na targowisko pełne straganów, a nie

na arenę dla zapaśników.

- To tunele, którymi doprowadzano zwierzęta i gladiatorów na scenę - wyjaśnił radośnie Edward. - Pośrodku znajdował się rodzaj wybiegu z drewnianych bali. Obsypywano go obficie piaskiem, by pochłaniał krew konających. Proszę sobie wyobrazić, milady, jakież to musiały być oszałamiające spektakle. Sześćdziesięcioletnia cizba ludzka oklaskiwała pojedynki na śmierć i życie z tego właśnie miejsca.

- Wolałabym raczej o tym nie myśleć - szepnęła Diana. Lord Warwick, zdawał się przejawiać typowo męską fascynację krwawym okrucieństwem. - A cóż to za dziwny mały domek tam w dole? Podają może jakieś napoje? Jestem odrobinę spragniona.

- Obawiam się, że to katolicka kaplica, milady - stwierdził z wyczuwalną pogardą. - Wiesz, pani, jacy są rzymianie, stawiają kościoły na każdym rogu ulicy.

- Ale któż to słyszał, żeby budować dom Boży w przybytku pogaństwa? Musiał zaistnieć jakiś poważny powód. Może wzniesiono tę świątynię ku czci jakiegoś świętego? Wyraźnie stropiony, Edward zmarszczył brwi.

- Moja wiedza o Rzymie ogranicza się do starożytności, milady. Nie jestem obeznany ze zwyczajami współczesnych Włochów. Wydają się niewarte zachodu.

- Może chodziło o upamiętnienie poległych gladiatorów? - zasugerowała. - Panna Wood wspominała, iż wielu spośród pierwszych chrześcijan poniosło tu męczeńską śmierć.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - uciał pospiesznie, znużony niewygodnym dla siebie tematem. - Jestem za to pewien, że uda mi się przekonać obsługę, by przygotowała dla pani szklanę limoniady. Proszę tylko wyrazić takie życzenie. - Skłonił się, ściągnawszy z galanterią kapelusz.

- Och, będę panu ogromnie zobowiązana. - Uśmiechnęła się zalotnie, po czym ukryła twarz za wachlarzem. Nie chciało jej się aż tak bardzo pić, wypiłaby jednak całą beczkę, byle tylko jej towarzyszy zapomniał o starożytnych Rzymianach i zaczął myśleć o niej.

- W takim razie, proszę 'za mną, milady. - Zaoferował jej ramię.

- Na sam dół? - Spojrzała na niego z powątpiewaniem i uniósłszy delikatnie brzeg sukni, odsłoniła nieznacznie czubek pantofelka. - Sam pan widzi, milordzie, iż nie jestem odpowiednio obuta. Nie przypuszczałam, że będziemy opuszczać powóz. Zaczekam tu na pana.

- Jakże to? - Zasepił się. - Miałbym zostawić panią bez opieki? Nie mogę tego uczynić.

- Ależ może pan - zapewniła z promiennym uśmiechem.

Posłanie go z misją spełnienia błahej zachcianki nie dorównywało wprawdzie pocałunkowi, lecz sprawiło jej uciechę. - Cóż mogłoby mi się przytrafić wśród tylu ludzi? Nie ruszę się stąd ani na krok. Będzie mnie pan przez cały czas widział. Nadal nieprzekonany, potrząsnął głową.

- Ale nie godzi się, aby dama...

- Milordzie, błagam o coś do picia. Nie chciałby pan chyba, bym omdlała z pragnienia?

- Och, za nic do tego nie dopuszczę! Biegnę zatem co siłą! - Włożył z powrotem kapelusz. - Wrócę jak najszybciej!

Przyglądając mu się, gdy torował sobie ścieżkę na dół, pomyślała z niejaką trwogą, iż ma do pokonania znacznie większy dystans, niż początkowo sądziła. Kiedy obejrzał się, by do niej pomachać, niemal zawróciła go z drogi. Ostatecznie uznała jednak, że lepiej poczekać, niż pozwolić, by nazwał ją niezdecydowaną lub kapryśną.

Powiodła wzrokiem po zniszczonych murach budowli i pozostałościach areny. Niewiele się zachowało z antycznego przepychu.

- Buona sera, bella mia - usłyszała raptem dobiegający z tyłu szept. - Księżyc wygląda dziś niczym żywe srebro, nieprawdaż?

Obróciła się na pięcie, usiłując dostrzec coś w ciemnościach.

- Kto tam? - zawołała mężnie. - Proszę się pokazać!

- To raczej pani powinna się schować. Radziłbym nie wystawiać się na widok publiczny. Proszę do mnie dołączyć, a doceni pani zalety cienia.

- Wykluczone! - oznajmiła dobitnie, splatając ręce na piersiach. - Jeśli przybył pan tu szukać usług... sprzedajnej dziewczki, to informuję, iż popełnił pan niewybaczalną omyłkę!

- Nie sądzę - padła pewna siebie odpowiedź. - Przybyłem tu odnaleźć panią i udało się, czyż nie?

Prychnęła oburzona. Intruz ukrywał się w ciemnościach jak ostatni tchórz.

- Jak pan śmie twierdzić, że mnie szukał, skoro nie wie pan nawet, kim jestem?

- Ależ wiem, cara. Wystarczyło mi jedno spojrzenie i już wiedziałem, iż jesteś pani moją bratnią duszą.

- Cóż za brednie! - skwitowała cierpko. - Nie znam pana. Jest pan dla mnie nikim. W tym mieście roi się od podobnych panu zadufanych w sobie zuchwalców!

- Wielce się pani myli, moja słodka - odrzekł gładko, jakby spodziewał się podobnej reprimendy. - Zapewniam, że jestem wyjątkowy.

- Szczerze wątpię. Kolejny napuszczony bufon, któremu się wydaje, iż zdoła uwieść każdą napotkaną niewiastę, ot co!

Zadowolona, że do niej należało ostatnie słowo, odwróciła się, ostentacyjnie demonstrując niechęć. Ten tchórzliwy podglądacz nie zasłużył na nic więcej. Postanowiła ruszyć na poszukiwanie Edwarda, zamiast wysłuchiwać dalej tych nonsensów.

Niestety, jej prześladowca najwyraźniej jeszcze nie skończył.

- Zmuszony jestem zaoponować, lady Farren. Nie uwodzę „każdej napotkanej niewiasty”. Interesują mnie wyłącznie rzadkie okazy. Łakome kąski, takie jak pani.

Stanąła jak wryta. Zaskoczona faktem, iż wymienił jej nazwisko, zapomniała języka w ustach.

- A widzi pani?! - Zaśmiał się swobodnie. - Naprawdę wiem, kim pani jest. Odezwałem się do pani w jej ojczystym języku. To bladolice ciele nie zasługuje, by całować brzeg pani sukni. Ja natychmiast odgadłem, że uwielbia pani księżyc. Dobrze panią znam, cara.

Jak to się stało, że zrazu nie spostrzegła, iż rozmawia z nią po

angielsku? I dlaczego każde słowo brzmi w jego ustach nieprzyzwoicie?

- Podśluchiwał pan bezwstydnie naszą rozmowę! - rzekła oskarżycielsko, zwróciwszy ku niemu twarz. - Szpiegował nas pan, a teraz śmie obrzucać lorda Edwarda wyzwiskami? Nie dorasta mu pan do pięt. Jest prawdziwym dżentelmenem, którym pan nigdy nie będzie!

Znów się roześmiał, doprowadzając ją tym do furii.

- Proszę mi wierzyć, nie dbam o to, jakimi frazesami karmią panią inni mężczyźni.

- Ja natomiast nie dbam o pańskie frazesy!

- Och, okrutna! Zraniłaś mnie, pani, do głębi. - Postąpił zaledwie krok w jej stronę, lecz to wystarczyło, by wyłonił się z cienia. Stał przed nią w niedbałej pozie, z kciukiem wetkniętym w kieszonkę kamizelki. Był od stóp do głów odziany w czerń. Przyćmione światło księżycy podkreślało jego ostre rysy, mocno zarysowaną szczękę i co najmniej raz złamany w przeszłości nos. Długie ciemne włosy miał niedbale zaczesane do tyłu, a jeden z loków opadał mu luźno na szerokie czoło.

Uwagę Diany pochłonęły jednak stalowoniebieskie oczy mężczyzny. Kontrastowały z czernią, lśniąc w półmroku niczym oszlifowane klejnoty. Spłoniła się pod ich pożądliwym spojrzeniem.

- Widziałam pana z balkonu - odezwała się z wolna. - Przejeżdżał pan powozem ze swymi... metresami.

- Wiedziałem, że mnie nie zapomnisz, cara - odparł z uwodzicielskim uśmiechem, tym samym, który zapamiętała z owej chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy. - Tak jak ja nie zapomniałem ciebie. I nigdy już nie zapomnę.

Rozdział trzeci

A więc jest odważna, stwierdził z zadowoleniem Anthony. Potwierdziły się jego przypuszczenia z owej chwili, gdy patrzył na nią z powozu. Wytrzymała wówczas to spojrzenie bez mrugnięcia powieką.

Teraz także nie zawiodła jego oczekiwań. Mężnie stawiała mu czoło, gdy wychynał z ciemności niczym łotr spod ciemnej gwiazdy. Nie wrzasnęła, nie czmychnęła w przestachu ani nie legła zemdlona u jego stóp, lecz bez obawy przemówiła. Takie zachowanie nie tylko nie licowało z angielskim dobrym wychowaniem, lecz uważane było wręcz za nieobyczajne. Podobną śmiałość rzadko spotykało się u kobiet. Tym lepiej dla mnie - pomyślał w duchu, zacierając ręce. - Łatwiej będzie wciągnąć ją do gry, którą dla nas obmyśliłem. Właściwie już rozpoczęliśmy pierwszą partię, choć moja piękna jeszcze o tym nie wie.

- Zapomina się pan w swej arogancji! - Jej błękitne oczy ciskały gromy. - Jest pan w wielkim błędzie, sądząc, iż zapamiętam pana na dłużej niż... niż... o, tyle! - Uniósłszy dłoń, strzeliła palcami. Choć rękawiczka stłumiła efekt, na jej ślicznej twarzy odmalował się wyraz triumfu.

- Na wiele dłużej, zapewniam - odrzekł. - W oka mgnieniu przypomniała pani sobie, że już się kiedyś widzieliśmy. Myli się też pani co do osób towarzyszących mi w powozie. Są moimi przyjaciółkami, nie kochankami.

- Nie dbam o to, kim są dla pana. Wspomniałam o nich, bo przywiódł mi je na myśl pański widok, nic więcej. - Powiedziała to z takim pośpiechem, że omal się nie roześmiał. Jest nie tylko odważna, ale i rozumna. Nie groźne jej potencjalne rywalki. Cóż za niezwykła kombinacja. W otoczeniu lorda Randolpha nie brakowało pięknych kobiet, nowa faworyta, by zasłużyć na jego względy, musiała być zatem absolutnie wyjątkowa. A lady Farren była wyjątkowa. Przerosła najśmielsze oczekiwania Anthony'ego, do tego stopnia, iż

niemal zapomniał o zakładzie.

- Mój widok przywołał tę lawinę wspomnień? A przecież widziała mnie pani ledwie przez chwilę. To znaczy, że zaprzęłam twe myśli, cara.

- Nawet pana nie znam - oznajmiła wyniośle. - Kim pan jest? Proszę natychmiast wyjawić swoje nazwisko!

Uśmiechnął się, zwlekając z odpowiedzią. Doskonale wiedział, jak bardzo ją to rozzłości.

- Wydaje pani rozkazy niczym generał - przywołał ją łagodnie do porządku. - Nie do twarzy pani z tym, mia signora di bella luna. Moja piękna księżycowa damo - przetłumaczył, gdy spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma. - Diana była rzymską boginią tej oto - uniósł palec - świetlistej kuli nad naszymi głowami.

- Wiem o tym - zapewniła. - Nie jestem aż taką ignorantką. Znam historię swojej patronki.

- Nie nazwałbym pani ignorantką. Powiedziałbym raczej, iż dostrzegam u pani pewne niedomogi w sferze dobrych manier.

- To panu brak dobrych manier, sir. Jakież to dżentelmen zataja przed damą swe nazwisko?

- A kto powiada, że jestem dżentelmenem?

- Pan - odparowała, w zapamiętaniu zaciskając dłonie w pięści i zbliżając się do niego bezwiednie. - To znaczy pragnie pan uchodzić za dżentelmena. Zwraca się pan do mnie bez ceremonii i z niedopuszczalną... poufałością. Jakbyśmy byli sobie równi.

Skłonił się dwornie, posyłając jej szydery uśmiech.

- Schlebia mi pani. Nie przypuszczałem, iż to, że miałem czelność się do pani odezwać, okaże się dowodem na moje szlachectwo.

- Nie rozumie mnie pan - odparła zapalczywie, niemal trzęsąc się ze złości. - Chodziło mi o pańskie maniery oraz sposób wyrażania się.

- Moje złe maniery, jak mniemam, bo pani są przecież nieskazitelne - zakpił bezlitośnie, przybierając jeszcze bardziej nonszalancką pozę.

- Nie, nie, nie! - wykrzyknęła, ledwie powstrzymując się przed

tupnięciem swą wielkopańską stópką. - Chciałam powiedzieć, iż posługuje się pan językiem, jakiego używa dżentelmen, niemniej pańskie zachowanie wobec mnie urąga dobrym obyczajom. Nie raczył pan nawet podać mi swego nazwiska. Tak się nie godzi, sir!

- Nie godzi się, cara, by trwoniła pani czas z kimś takim jak Warwick. Moja księżycowa bogini zasługuje na kogoś lepszego niż ten napuszony płowowłosy sciocco.

- Sciocco?

- Dureń - wyjaśnił z nieskrywaną satysfakcją. - Fircyk. Niedojdą. Osobnik niegodzien twej uwagi, pani.

- Niedojdą?! - krzyknęła rozsierdzona. - Nazywa pan lorda Edwarda niedojdą? Jest wart dziesięciu - nie, stu takich jak pan! Odnosi się do mnie z należnym szacunkiem. Wie pan, gdzie teraz jest? Poszedł zdobyć dla mnie szklankę limoniady, odgadłszy, iż mogę być spragniona. Potrafi przewidzieć moje zachcianki!

- Cechy godne pożądania u dobrego lokaja - przyznał, wzruszając obojętnie ramionami. - Ale nie u kochanka, zwłaszcza dla osoby o tak żarliwym temperamencie...

- Jak pan śmie?! - wrzasnęła z furią i uniosła rękę, by go spoliczkować.

Był od niej znacznie silniejszy. Znał też napady niewieściej złości. Bez trudu chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał jej dłoń.

- O tak - zaczął niskim głosem, gdy próbowała się oswobodzić. - Tli się w pani prawdziwy płomień. Udowodniła pani, iż jest kobietą z krwi i kości, cara. W pierwszej kolejności kobietą, a dopiero potem damą.

- A pan... Pan nie jest dżentelmenem, lecz obrzydłą, podłą i niewychowaną bestią! - krzyknęła, niemal wypluwając z siebie obelgi. - Proszę mnie w tej chwili puścić!

- Skoro właśnie tego pani chce - odparł ze stoickim spokojem - nie będę oponował.

- Czy tego chcę?! - prychnęła. - A jak się panu zdaje?! Spodobało mu się, że jej wybuchowa natura wzięła górę nad dobrym wychowaniem. Ulepiona z arystokratycznych pryncypiów skorupa

pękła niczym upuszczona na podłogę filiżanka. Doświadczenie nauczyło go, iż gwałtowny temperament i namiętność częstokroć chadzają ze sobą w parze. Należało jedynie dopomóc im się wyswobodzić spod pancerza wpojonych zasad.

- Jeśli jako kobieta chce pani, bym ją uwolnił, wystarczy poprosić i będzie pani mogła uciec wprost w ramiona Warwicka.

Natychmiast przestała się wyrywać.

- Dziwi pana, iż przedkładałam towarzystwo lorda Edwarda nad pańskie? - Spojrzała na niego podejrzliwie. - To prawdziwy dżentelmen, którym pan z pewnością nie jest. Nie ma żadnych innych powodów, dla których pragnęłabym wrócić pod jego opiekę.

A więc w jej umyśle zdążyły się już zrodzić wątpliwości co do charakteru Warwicka, orzekł w duchu Anthony.

- Cóż, pani wie to najlepiej - odrzekł. - O ile istotnie jest pani damą, za którą się podaje, a on dżentelmenem.

- Oczywiście, że jestem damą!

- Nie insynuowałem, że nią pani nie jest. - Zbliżył nozdrza do jej twarzy i z miejsca polubił jej zapach. Roztaczała przyjemną woń lilii i ziół. - Twierdzą jedynie, iż goszcząc w Rzymie, powinna pani pozwolić sobie być przede wszystkim kobietą.

- Puszczę tę uwagę mimo uszu. - Uniosła lekko podbródek, wyraźnie rzucając mu wyzwanie. Niewątpliwie wyczuwała napięcie, jakie się między nimi wytworzyło. - Nadal uważam, iż jest pan bestią.

- Nie przeczę. - Wciąż trzymał w uścisku jej nadgarstek, lecz nie wyczuwał już oporu, choć gotów był przysiąc, że serce tłucze jej się w piersi jak oszalałe. - Być może dlatego odczuwam więź ze wszystkimi bestiami, które zakończyły żywot w tym miejscu.

Odnótował z zadowoleniem, iż udało mu się wzbudzić jej zainteresowanie. Wiedział, że do powrotu Warwicka nie pozostało mu już zbyt wiele czasu.

- Ma pan na myśli dzikie zwierzęta zabijane przez gladiatorów? - zapytała Diana.

- Nie inaczej - odparł przyciszonym głosem. - Mam nadzieję, że niektórym udało się rozszarpać kilku napastników.

Na jej twarzy po raz pierwszy zagościł uśmiech. -Zabrzmiało to, jakby sympatyzował pan z tygrysami i lwami.

- Istotnie. - Przyciągnął ją nieco bliżej siebie tak, że ich ciała niemal się stykały. Uzmysłowił sobie, że natura obdarowała ją znacznie dorodniejszymi kształtami, niż mu się wydawało, gdy przyglądał się jej z powozu. - Podziwiam ich majestat, niezłomnego ducha w walce o przetrwanie, a przede wszystkim to, że nigdy nie dają się ujarzmić ani nie poddają się cudzej woli.

- Rzeczywiście. - Przechyliwszy głowę na bok, posłała mu powłóczyście spojrzenie spod rzęs. Rzadko widywał coś takiego u angielskich dam. - Czy i siebie samego uznaje pan za nieoswojonego?

- Och, rzekłbym nawet zupełnie nieoswojonego. - Jego druga dłoń, niby przypadkiem, spoczęła nagle na talii Diany. - Jestem równie dziką bestią, jak lew.

Uwolniła się z jego objęć, nie robiąc scen; nie zaczęła krzyczeć ani mdleć ze słusznego oburzenia. Zwyczajnie się od niego odsunęła, milcząco wyznaczając granicę, do jakiej mógł się posunąć. Nie trzeba dodawać, iż zyskała tym w jego oczach. Nabrał dla niej większego szacunku.

- Nie do końca zdziczała, jak sądzę - zaoponowała z uśmiechem. - Idę o zakład, że gdyby napotkał pan na swej drodze godnego poskramiacza, udałoby się nieco pana obłaskawić.

-Nie stawiałbym na to, cara. Połykam takich poskramiaczy na śniadanie.

- Z dodatkiem marmolady i masła? - Zachichotała perliście.

- Na Boga, to jest Rzym, a nie barbarzyński Londyn. Miast marmolady doprawiam ich odrobiną oliwy i szczyptą bazylii.

- Biedni poskramiacze. Nie zazdroszczę im takiego końca.

- Biedny jestem ja, który muszę żywić się tak podłym jadłem. - Westchnąwszy dramatycznie, sięgnął dłonią do jej policzka. - Podejrzewam, że mój problem leży w tym, iż nie spotkałem jeszcze właściwiej lwicy.

Zesztywniała, lecz nie próbowała się odsunąć.

- Proszę nie zapominać, że jestem tu z lordem Warwickiem.

- Ależ pamiętam. Zamierzam jednak zrobić wszystko, by to pani zapomniała o jego istnieniu. - Z tymi słowy pochylił głowę i przycisnął wargi do jej ust, dokładnie tak, jak to sobie wcześniej zaplanował, w chwili, gdy postanowił tu za nią przyjść. Nim zdążyła go powstrzymać, oderwał ją od ziemi i przycisnąwszy do piersi, pocałował - ze znanstwem, namiętnością i należytych zachwytem.

Diana zamarła, choć nie zdziwił jej ten pocałunek. Potrafiła rozpoznać, kiedy mężczyzna patrzy na nią z takim zamiarem. Spodziewała się, że to zrobi, od momentu gdy złapał ją za rękę. Nie wiedziała tylko jak.

Zrobił to jak nikt inny dotąd. Nie ślinił się, nie sapał, nie naciskał zbyt mocno, nie uderzał zębami o jej zęby, nie czuć było od niego tytoniu ani cebuli czy innych nieprzyjemnych zapachów. Słowem, czegoś takiego nie doświadczyła jeszcze nigdy. Zazwyczaj pozwalała się całować nie dla samego pocałunku, lecz wyłącznie dla tego, co następowało po nim, a mianowicie wdzięczności i oddania adoratora, który gotów był zrobić wszystko, byle tylko pozwoliła mu na kolejną pieśczętę.

Poufałość, z jaką całował ten nieznajomy, zdumiewała ją bez reszty. Nie potrafiła pojąć, co się z nią dzieje. Jej wargi zrobiły się ciepłe i zaczęły drżeć. Zawirowało jej w głowie, a serce o mało nie wyskoczyło z piersi. Kusił ją i drażnił jak wytrawny poskramiacz, a jego usta dawały przedsmak prawdziwego zbliżenia z mężczyzną. Po raz pierwszy w życiu poczuła się nie jak obarczona przyzwoitką dzierlatką, lecz jak prawdziwa kobieta. Nie miało znaczenia to, iż jest zupełnie obcy. Przeczynała, że mógłby nauczyć ją niesłychanych rzeczy, o istnieniu których nawet jej się nie śniło. Rozchyliła wargi dla zachęty, lecz on, ku jej wielkiemu rozczarowaniu, raptem się wycofał.

- Pora iść, bellissima. - Musnąwszy opuszkami palców jej policzek, cofnął się w mrok. - Buona sera.

- Nie! - krzyknęła za nim bez tchu. - Nie znam nawet pańskiego nazwiska!

- Nie musi pani znać. Ma pani przecież Warwicka.

O Boże, Edward! Jak mogła tak prędko o nim zapomnieć? Zrobiła krok do przodu, żałując, że nie może pójść za nieznajomym.

- Proszę jeszcze nie odchodzić - poprosiła miękko. - Błagam pana!

Odwrócił się i z uśmiechem posłał jej dłonią pocałunek. Tak samo jak za pierwszym razem, gdy stała na balkonie. Po chwili zniknął jej z oczu.

Przycisnęła palce do ust, pragnąc zachować wspomnienie zmysłowej pieśzcoty, choć jej ofiarodawca był już daleko. Miała wrażenie, że dotyka nie swoich warg. Wydawały się lekko nabrzmiałe i nadwrażliwe.

Jak to się stało? Jak mógł porzucić ją w takim stanie i odejść, nie zdradzając nawet swego imienia? Marzyła o jakiejś przygodzie, romantycznym porywie, który uwolniłby ją od nudy. Teraz, gdy tego posmakowała, myślała jedynie o tym, że pragnie więcej.

- Lady Diano!

Odwróciła się i ujrzała Warwicka. Zbliżał się z napojem w dłoni, posapując z wysiłku, którym przypłacił wspinaczkę po schodach.

- Nie mogłem dostrzec pani z dołu - poskarżył się. - To przez te dantejskie ciemności. Martwiłem się o panią.

- Nie miał pan najmniejszego powodu - odparła, kryjąc w cieniu zmieszanie i poczucie winy, które bez wątpienia malowały się na jej twarzy. - Stałam cały czas tam, gdzie mnie pan zostawił. To pewnie sprawa księżycy. Uparł się, by zasłonić mnie przed pana wzrokiem.

Skinął głową i podał jej szklanekę.

- Pani limoniada, milady. - Silił się na galanterię, jednocześnie ocierając chustką krople potu z czoła. - Była schłodzona, gdy ją kupiłem. Obawiam się jednak, że po drodze mogła na powrót zrobić się ciepła. To była prawdziwa przeprawa.

Diana uśmiechnęła się machinalnie, choć kąćki jej warg pozostały sztywne, jakby wykuto je w marmurze.

Gdyby w istocie była godną szacunku damą, za jaką się uważała, zwymyślałaby nieznajomego i odprawiłaby go z kwitkiem. Nie pozwoliłaby mu się pocałować, nie oddałaby pocałunku i nie błagałaby go, żeby z nią został...

- Dziękuję, milordzie. - Zaczęła sączyć powoli napój. Był słodki jak syrop, wmuszała go więc w siebie z niemałym trudem.

Jakże łatwo przyszło jej pozwolić, by usta tamtego mężczyzny pieściły jej własne...

- Źle się pani czuje, milady? - Lord Warwick przyglądał się jej zatroskany, ściskając w ręku zmiętą chusteczkę. - Może to wpływ tego miejsca? Proszę wybaczyć, ale nie wygląda pani za dobrze...

Powiodła wzrokiem po rozległej ruinie. Prawdopodobnie nie ujrzy więcej tego łotra w czerni. Nie był lepszy niż lubieżnicy, którzy spacerują po targu, próbując podszczypywać pośladki przygodnych kobiet. Im szybciej zapomni o nim i o tym, jak niecznie wykorzystał jej słabość, tym lepiej.

Tak przynajmniej podpowiadało jej znękanе sumienie. Nieposłuszne ciało zaś mówiło coś zgoła innego.

- Chyba ma pan rację - odezwała się ostrożnie. - Zabrakło mi nieco tchu na myśl o licznych okrucieństwach, jakie się tu dokonały.

- Koloseum często wywołuje taki efekt - zgodził się, chowając chustkę do kieszeni surduta. - I nie dziwota. Ileż tu musi się błąkać bezimiennych, złych duchów!

Złych, bezimiennych i... nieposkromionych. Odstawiła szklankę z ledwie tkniętą limoniadą na kamienną ławkę.

- Proszę się nie gniewać, milordzie, ale chciałabym już wracać.

- Naturalnie. - Podał jej ramię, po czym opiekuńczym gestem nakrył jej dłoń swoją. - Czego tylko sobie pani zażyczy.

Niestety, spełnienie jej życzeń nie leżało w mocy lorda Warwicka.

- Zbudź się, Edwardzie. - Wielebny Patterson rozsunał kotary, wpuszczając do komnaty poranne promienie słońca. - Musimy pomówić.

Młodzieniec nie miał ochoty na rozmowy. Nie chciało mu się nawet otwierać oczu. Pragnął jedynie odpłynąć z powrotem w błogą nieświadomość i zapomnieć o targających nim nudnościach, niesmaku w ustach oraz bólu głowy, który zdawał się rozsadzać mu czaszkę. Przeklęte rzymskie wino!

- Dość tego! - Wuj niecierpliwie pacnął go gazetą w nogę. - Już

prawie południe, a ty wciąż nie jesteś w stanie zwlec swego zapijaczonego jestestwa z łóżka!

- Nie jestem pijany, wuju. A szkoda. Miałbym znacznie lepsze samopoczucie.

- Bój się Boga, chłopcze! To postawa niegodna Warwicka. Nie dziwota, że moja biedna siostra załamuje nad tobą ręce. Toż to prawdziwa rozpacz i desperacja, zostać pokaranym takim synem!

Edward jęknął w poduszkę. Dysponował przekonującymi argumentami przemawiającymi za tym, iż to on został pokarany wiecznie niezadowoloną i wścibską matką. W tej chwili zabrakło mu jednak energii, by je przytoczyć.

- Wstawajże, nicponiu! Ociągasz się? Mam ja tu dla ciebie zachętę!

Wody, którą wylał mu na głowę wuj, starczyłoby, żeby go utopić. Panicz poderwał się z posłania, krztusząc się i plując.

- Och, przestańże się mazać, mazgaju - strofował go wielebny Patterson. - Co by powiedziała lady Diana, gdyby ujrzała cię w tym stanie?

- Że to twoja sprawa, stary hultaju - odparował siostrzeniec, otarłszy twarz rękawem. - To ty mnie spiłeś.

- A mnie się zdaje, że uznałaby cię za zgnuśnialego wał-konia, który w dodatku nie ma ani krzty szacunku dla starszych. -

Duchowny przysunął sobie krzesło i opadł na nie, podwinawszy poły surduta. - Kiedy chrapałeś donośnie, odsypiając wczorajsze pijaństwo, udałem się w twojej sprawie do konsulatu. Rozpytałem o to i owo. Otóż, lady Farren istotnie jest córką księcia Astona, tak jak twierdziły obie z guwernantką. Mają ze sobą niepodważalne listy uwierzytelniające. Co ważniejsze, panna wnosi w posagu dwadzieścia tysięcy funtów rocznie.

- Dwadzieścia tysięcy? - Spuściwszy nogi na podłogę, Edward nadstawił ucha. - Taki dochód zadowoli każdego.

Wuj skinął głową, poklepując się po kieszeniach w poszukiwaniu pugilaresu z fajką i machorką.

- Bardziej smakowity kąsek z pewnością nieprędko wpadnie ci w ręce. A co najlepsze, w Rzymie nie będziesz miał praktycznie żadnej

konkurencji, z którą musiałbyś się liczyć w Londynie.

- I to jest właśnie łyżka dziegciu w tej beczce miodu. - Duma młodziana z trudem przyjęła do wiadomości słowa krewnego. - Sam widziałeś, jak lady Diana na mnie patrzy. Śmiem twierdzić, iż już jest do mnie mocno przywiązana.

- Niewykluczone. - Duchowny spojrział na niego z powątpiewaniem. - Przyznasz wszakże, iż jak dotąd nie miałeś szczególnego powodzenia u dam.

- Bo też specjalnie się o to nie starałem - bronił się Edward. Ta rozmowa była mu wystarczająco niemiła i bez tego, że musiał prowadzić ją po całonocnych ekscesach, odziany w nocną koszulę. - Te wyniosłe, wielkopańskie dziewczki z Londynu potrafią nieźle zaleźć za skórę. Jeśli w ogóle raczą na człowieka spojrzeć, natychmiast zaczynają traktować go jak osobistego posługacza.

- Nie próbuj mydlić mi oczu, młokosie. Doskonale znam twe położenie. Nie bez powodu matka powierzyła cię mej opiece w Rzymie, z dala od wierzycieli i komornika. Roztrwonileś skromny spadek na błahostki, które masz czelność nazywać interesami.

- To były legalne inwestycje w wielce obiecujące wynalazki. - Lord Warwick uwielbiał słuchać naukowców rozprawiających o tym, jak przy odpowiednich nakładach finansowych będą w stanie z dnia na dzień uczynić z niego nababa. Miałby nie skorzystać z okazji wzbogacenia się, i to bez kalania sobie rąk pracą? - Nie moja to wina, iż nie starczyło mi funduszy, by doprowadzić owe projekty do końca i doczekać się zysków.

- Zwykłe wyrzucanie pieniędzy w błoto, ot co - skwitował Henry. - Przepuściłeś wszystko co do pensa, mój drogi. Równie dobrze mogłeś przegrać majątek w karty lub kości. Pozostało ci już tylko jedno: jak najprędzej korzystnie się ożenić. W przeciwnym razie będziesz zmuszony żyć z hazardu albo, co gorsza, zostaniesz utrzymankiem jakiejś szkaradnej dziedziczki z północy.

- Wiem, wuju - przyznał z rozzaleniem Edward. - Jestem tego świadom. - Do diaska, był przecie młodym, hożym mężczyzną i pragnął jeszcze poużywać życia, nim przyjdzie mu grać rolę

potulnego mężulka. Dałby głowę, że to pomysł matki. Mogła rezydować na drugim krańcu Europy, lecz jej macki sięgały wszędzie. Próbowwała go kontrolować podobnie jak w Londynie, z tą różnicą, że teraz musiała to robić za pośrednictwem brata.

Z drugiej strony dwadzieścia tysięcy odmieniłoby jego los. Ogromny posag i nobilitujący mariaż były w jego sytuacji nie do przecenienia. Zostałby zięciem księcia Astona. Początkowo musiałyby, rzecz jasna, zachowywać pozory. Ostatecznie jednak zabrałyby Dianę do Anglii i zrobiwszy z niej posłuszną połówicę, zaczęłyby wieść życie godne prawdziwego dżentelmena. Zyskałby wreszcie fundusze na realizację wymarzonych przedsięwzięć.

Przy tym lady Farren nie była jedynie dziedziczką z okazałym majątkiem. Miała wiele innych walorów. Byłaby pierwszorzędną żoną. Inni mężczyźni mogliby mu tylko pozazdrościć tak zdrowej i dorodnej jałówki. Uradowany z perspektywy zagarnięcia łakomego kąska, sięgnął po pozostawioną przy łóżku butelkę wina.

- O, co to, to nie! - zaprotestował krewny, wyrywając mu z ręki trunek. - Powiedz no lepiej, młokosie, jak mają się sprawy z panną.

- Traktuję ją z szacunkiem należnym jej pozycji - odparł Edward. Zamierzał pocałować wczoraj Dianę, lecz gdy wrócił z tą przekłętą limoniadą, zaczęła odnosić się do niego nad wyraz dziwnie. W rezultacie wystraszył się i w ostatniej chwili stchórzył. Urodziwe kobiety często miały na niego taki wpływ. - Pod tym względem, wuju, nie możesz mi niczego zarzucić. Od samego początku schlebiam jej na każdym kroku. Prawie w kółko komplementy albo plotę dyrdymały o tym, jaką to wielką darzę ją estymą.

- W takim razie może pora, byś przestał ją jedynie emablować i zrobił coś więcej. Lady Farren jest wprawdzie damą, ale także i kobietą. Te zaś lubią, gdy mężczyźni obchodzą się z nimi władczo, oczywiście pod warunkiem, iż robią to umiejętniej w granicach przyzwoitości.

- Ależ, wuju, znam ją przecie zaledwie tydzień!

- Gra idzie o dwadzieścia tysięcy! Zważ to sobie. Dwadzieścia tysięcy, które są ci na gwałt potrzebne. - Ponad głową duchownego

uniósł się obłok dymu z fajki. - Nie oczekuj, że pozwolę ci do końca życia korzystać ze swej hojności. Moje przywiązanie do twej matki nie sięga aż tak daleko.

Stary piernik, pomyślał z niechęcią lord Warwick. Jest bogatszy od Krezusa, a wydziela mu niemal każdego pensa. Z dwudziestoma tysiącami rocznie nie musiałby już błagać nikogo o przysługi ani płaszczyć się przed chytrym wujem albo matką. Byłby panem samego siebie. Ba! To matka, jako osoba niższa stanem, musiałaby kłaniać się jego żonie. Czegóż chcieć więcej?

- Bóg wspomaga tych, którzy wiedzą, jak wspomóc samych siebie
- zagrzmiął wielebny Patterson, jakby przemawiał z ambony. -
Zmiarkuj to sobie i zapamiętaj.

- Uznaj sprawę za pomyślnie załatwioną, wuju - odparł siostrzeniec z determinacją, jakiej nie czuł jeszcze nigdy w życiu. -
Masz moje słowo. Nim opuścimy Rzym, będę mężem lady Farren.

Diana westchnęła i spojrzała z żalem w zwierciadło. Przedzieranie się przez kolejne ruiny nie sprzyjało wytwornym strojom. Trzeba było zadbać przede wszystkim o wygodę i osłaniać ciało przed dokuczliwą rzymską spiekotą. Cóż z tego, skoro „rozsądny” ubiór wydawał jej się brzydki i mało powabny. Jakże miała kusić Edwarda owinięta od stóp do głów w szale, rękawiczki i tym podobne? I w dodatku te okropne, niezgrabne buty. Z pewnością nie wprawia lorda Warwicka w bardziej romantyczny nastrój i nie skuszą, by wreszcie ją pocałował. Bez tego zaś nie uda jej się zapomnieć ust nieznajomego.

Nie, nie będzie o nim myśleć. Zamknęła oczy, walcząc z sumieniem, które próbowało wyprzeć z pamięci wspomnienie namiętnej pieśczoły. Nie wolno jej rozpamiętywać tego zajścia. Powinna wyrzucić je ze świadomości na wieki.

- Och, milady, proszę spojrzeć, co właśnie dla pani przyniesiono!

Uniosła powieki w samą porę, by odebrać od guwernantki ogromnych rozmiarów bukiet. Czerwone róże, polne stokrotki z dodatkiem zieleni oraz jakaś lokalna odmiana kwiatów, których nie rozpoznawała, przybrane koronką i związane ekscentryczną

kokardą z białej i czarnej wstążki. Nigdy jeszcze nie dostała tak pięknej wiązanki.

- Och, jakie cudne, panno Wood! Kto je przysłał? Opiekunka uśmiechała się tak szeroko, że pulchne policzki niemal całkowicie przysłoniły jej oczy.

- Po wczorajszym dniu zaryzykowałabym stwierdzenie, że to lord Warwick.

- Ale nie ma liściku ani wizytówki. Poślaniec nic pani nie powiedział?

- Nie przyniósł ich prawdziwy umyślny, lecz obdarty żebrak. Wątpliwe, by był na usługach kwiaciarza. Ale muszą być od lorda Edwarda. Któż inny mógłby przysłać je jaśnie panience tu, w Rzymie?

Diana nie odpowiedziała. Zasłoniła twarz bukietem, by ukryć zmieszanie. Istotnie, któż inny? A jeśli to nieznajomy? Nie podpisał się, bo i tak nie rozpoznałaby jego nazwiska. Nagłe zyskała pewność, po prostu wiedziała, że bukiet jest właśnie od niego.

Panna Wood usiadła na krześle. Była już ubrana do wyjścia w wieczną szaroburą suknię, tużurek oraz nieefektowny kapelusz. Splótszy na kolanach odziane w rękawiczki dłonie, poślą podopiecznej promienny uśmiech.

- Zdaje się, iż dokonała jaśnie panienska prawdziwego podboju. Och, kiedy przypomnę sobie wyraz twarzy lorda Warwicka po waszym powrocie do powozu... Dalibóg, lady Diano, jest panią zauroczony, to pewne jak amen w pacierzu.

- Oby, panno Wood. - Dziewczyna próbowała odwzajemnić uśmiech, lecz nie przyszło jej to łatwo. W drodze powrotnej z Koloseum ona i Edward prawie w ogóle nie rozmawiali. Każde z nich zajęte było własnymi myślami. Jeśli lord Warwick rzeczywiście był w niej zadurzony, to okazywał afekt w przedziwny sposób. - To zacny dżentelmen.

- Więcej niż zacny - perorowała guwernantka. - Wczoraj, gdy zwiedzaliście ruiny, wielebny Patterson wiele mi o nim opowiadał. Lord Edward nie dziedziczy wprawdzie tytułu, lecz to jedynie mała

niedogodność. Dysponuje niewielkim dochodem po matce, wdowie po margrabim Calvercie. W dodatku jest bardzo oddanym synem, słowem wzorem wszelkich cnót. Ponoć w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, iż spotka na obczyźnie tak znamienitą damę jak jaśnie panienka.

- Zapewne ma pani rację. - Diana przesunęła palcami po delikatnych płatkach stokrotek, uzmysławiając sobie, że jedna rozmowa z nieznanym okazała się daleko bardziej zajmująca niż wszystkie dotychczasowe pogawędki z Edwardem. - Choć, prawdę mówiąc, wątpię, by lord Warwick był zdolny marzyć. Nie zbywa mu, niestety, na wyobraźni.

- Och, doprawdy? - zdziwiła się panna Wood. - Skąd to przypuszczenie?

- Wielokrotnie dawał tego dowody swym zachowaniem. Krytykuje Rzym niemal na każdym kroku. Nic nie jest w stanie sprostac jego nadmiernym oczekiwaniom. Nie przyjmuje też do wiadomości, iż ktoś może mieć odmienne zdanie lub postrzegać rzeczy inaczej niż on.

- Nie powinna pani oceniać go tak surowo, milady. Jestem przekonana, iż formułuje swe opinie, opierając się na gruntownych studiach. Proszę pamiętać, że jako mężczyzna z pewnością odebrał lepsze wykształcenie niż jaśnie panienka.

Lady Farren westchnęła i zerknęła znad kwiatów na guwernantkę.

- Trzyma pani jego stronę?

- Ależ skądże, milady. - Uśmiechnąwszy się, panna Wood położyła podopiecznej rękę na ramieniu. - Chciałabym tylko, aby była panienka równie szczęśliwa, jak jej siostra. Ze wszystkich mężczyzn, którzy dotąd panienkę adorowali, lord Edward wydaje się najbardziej odpowiedni. Przede wszystkim okazuje należyty podziw i szacunek, które z czasem mogą zmienić się w miłość.

- Miłość? Nie wiem nawet, czy mnie lubi. Co tu mówić o miłości?

- Moim zdaniem może być panienka pewna, iż lord Warwick darzy ją afektem. Oczywiście, nie znam sekretów jego duszy. Poza tym

nigdy nie zachęcałabym milady do przyjmowania zalotów mężczyzny, który jest jej niemiły. Wierzę jednak, iż ciche uwielbienie jego lordowskiej mości warte jest wiele więcej niż puste miłości, jakim oddawała się panienka w przeszłości.

Diana po raz kolejny spojrzała na kwiaty. Panna Wood jak zwykle miała rację. Niestosowne flirty zdarzały jej się niegdyś zdecydowanie zbyt często i nigdy nie przynosiły niczego dobrego. Miałyby liczyć na dozgonne uczucie człowieka, który nie zechciał nawet zdradzić jej swego imienia? Nie była aż tak naiwna.

Z rozmysłem odłożyła bukiet na toaletkę.

- Panowie są już pewnie na dole - rzekła, podnosząc się z miejsca.
- Nie każmy im na siebie czekać.

Wyszły przed gospodę i stanęły w popołudniowym słońcu. Edward zasugerował tę porę dnia, ponieważ w związku z dokuczliwym upałem odradzano zwiedzania miasta w godzinach porannych. Diana podejrzewała jednak, że mogło to mieć również inną przyczynę. Sądziła w duchu, iż wzorem Włochów, lord Warwick i jego wuj popadli w zwyczaj sypiania do późna, czasem nawet do południa.

Przed bramą stał już wynajęty dla nich powóz, wprawdzie bez wstążek i kokard, lecz podobny do tego, który zapamiętała z balkonu. Otwarte bryczki z dużymi kołami, wyściełanymi siedzeniami oraz rzucającą cień płócienną markizą nie były w tym mieście niczym nadzwyczajnym. Stangret drzemał pod daszkiem, podczas gdy młody służący pilnował koni, odzegnując od czci i wiary gromadę roześmianych małych żebraków.

- Moje uszanowanie - powitał je wielebny Patterson, uchylając kapelusza. - Lord Edward powinien zaraz do nas dołączyć.

- Wybaczmy jego lordowskiej mości chwilę opóźnienia - odezwała się pogodnie panna Wood. - Nie godzi się popędzać dżentelmena.

Duchowny był jednak zbyt zajęty łajaniem nędzarzy, by zaprzętać sobie głowę siostrzeńcem.

- Fora ze dwora! Precz, wy obdarte kreatury! Andare via, andare

via! Przebrzydłe darmozjady! Są jak stado sępów, gotowi skraść wszystko, co tylko wpadnie im w szpony. Proszę ich nie zachęcać, milady, bo nigdy nie dadzą nam spokoju.

- To tylko dzieci, wielbny ojciec - zaprotestowała Diana i obie z guwernantką rzuciły w tłum garść monet. - Nie są niczemu winne. Cóż mają poradzić na to, że rodzice nie są w stanie ich wykarmić? To wszystko co mamy! Quello e tutto, bambini!

Uniosła w górę dłonie, a ciżba dziatwy natychmiast się rozpierzchła.

- Złodziejskie nasienie, ot co! - prychnął z odrazą lord Patterson. - Przekłęci mali papiści!

Jego jawna pogarda dla bliźnich wydała się panie Farren co najmniej nie na miejscu. Mienił się wszakże chrześcijaninem i sługą Bożym. Cóż, najwyraźniej wuj nie odbiegał znacznie w swych ograniczonych poglądach od siostrzeńca.

- Proponuję schronić się w powozie, zanim ci oberwańcy zwołają zgraję kompanów.

- Skorzystamy z pańskiej rady, milordzie - rzekła panna Wood, wspinając się do środka ponad wielkim kołem bryczki. - Zwłaszcza że zazwyczaj potrzebujemy mnóstwo czasu, by się usadowić, nieprawdaż?

Przy całej swej praktyczności guwernantka wprost uwielbiała stwarzać zamieszanie przy wsiadaniu do wszelkiego rodzaju pojazdów, czym doprowadzała wychowankę do rozpaczki. Kiedy wreszcie zajęły miejsca, jęła klepać się po kieszeniach.

- Proszę wybaczyć, milady - odezwała się z jękiem zawodu - ale zdaje się, iż zapomniałam dziennika podróży.

- Opisz pani wszystko po powrocie, panno Wood - odparła Diana. - Jestem pewna, że wciąż leży na sekretarzyku, tam gdzie go pani zostawiła.

- Ale do czasu, gdy wrócimy, moje obserwacje stracą świeżość. - Z tymi słowy guwernantka podniosła się z kanapy tak gwałtownie, że powóz omal się nie wywrócił. - Pobiegnę po niego na górę. Jaśnie panienska nawet się nie zorientuje, że mnie nie było.

Wielebny Patterson wygramolił się za nią.

**- Pójdę z panią. Muszę sprawdzić, co zatrzymuje mego siostrzeńca.
Przepraszam na moment, lady Farren.**

Diana skinęła uprzejmie, po czym włożyła sobie za plecy poduszkę. Choć dzień z wolna miał się ku końcowi, czas włókł się niemiłosiernie, przyprawiając ją o ból głowy. Oparłszy się wygodniej o kanapę, wydała z siebie jęk głębokiego niezadowolenia.

- Aj, carissima - usłyszała za sobą męski głos. - A łudziłem się, że moje kwiaty sprawią pani przyjemność.

SR

Rozdział czwarty

- Pan?! - Diana odwróciła się na siedzeniu. Stał tuż za powozem z twarzą na wysokości jej twarzy. W świetle dnia wyglądał inaczej, mniej tajemniczo i niepokojąco. Miał gładko ogolone policzki i starannie uczesane włosy. Miał czerni wybrał ubranie w przyjemnej dla oka szaroniebieskiej barwie. Mimo tej odmiany rozpoznałaby go wszędzie. - Co pan tu robi?

- Tu? - Rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał objąć nimi cały zatłoczony plac. - To mój dom, milady. Urodziłem się w Rzymie, nigdy nie mieszkałem gdzie indziej i nie zamierzam nigdzie się przenieść.

- Nie to miałam na myśli - odparła. - Pytałam, co pan robi w tym miejscu. Nie wolno panu mnie śledzić. Musi pan natychmiast z tym skończyć.

Na jego twarzy pojawił się ujmujący uśmiech, do którego zaczęła się powoli przyzwyczajać.

- Słyszysz pan? Nie żartuję. - Brakowało tylko, by Edward zszedł na dół i przyłapał ją na rozmowie z innym mężczyzną. Gotów byłby posądzić ją o znajomość z nim. - Proszę w tej chwili odejść albo każę woźnicy pana przepędzić.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i machnął lekceważąco dłonią.

- Stangrecie, ten człowiek mnie nagabuje!

Siedzący na koźle nie zareagował. Pochrapywał w najlepsze z twarzą zakrytą szerokim rondem kapelusza.

- Proszę natychmiast kazać temu mężczyźnie zostawić mnie w spokoju! - zawołała Diana, szturchając go w ramię parasolem. - Stangretti, stangretto... - zająknęła się. - Och, jakże mam powiedzieć mu to po włosku?

- Questo uomo mi da fastidio. Farlo andare via - wyręczył ją nieznajomy. - To powinno zadziałać.

- Co pan mu powiedział? - Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Ten człowiek mnie nagabuje. Proszę kazać mu odejść. Dokładnie to, o co pani chodziło, czyż nie? - Oparł się ramieniem o tył siedzenia, jakby to był fotel na jego własnym tarasie. - Wątpię jednak, by spełnił pani prośbę.

- A czemuż by nie? Musi robić, co mu każę. Jest na moich usługach - odrzekła stanowczo.

- Wszystko to prawda, milady. Ale widzi pani, tak się składa, że ostatnią monetę przyjął ode mnie. Spodziewam się więc, iż spełni raczej moją prośbę. A brzmi ona: przymykać oko i ucho na pani protesty.

Zmarszczyła czoło. Gościła w Italii wystarczająco długo, by zorientować się, że w tym kraju nie można liczyć na lojalność. Przyjmowano tu zasadę: służyć temu, kto płaci więcej. Co oczywiście nie znaczy, że ona pozwoli nieznajomemu traktować się protekcjonalnie i kpiąco uśmiechać.

- Ten plac jest pełen ludzi, w tym Anglików – oznajmiła hardo. - Jeśli zaraz pan nie odejdzie, zacznę krzyczeć wniebogłosy, aż zrobi się zbiegowisko.

- Doprawdy? - zniżył głos niemal do szeptu. Rada nie rada, musiała się ku niemu schylić, by rozróżnić słowa. - Drogi, kochany lord Warwick z pewnością zrozumie, że miała pani powody, aby zmienić się w rozwrzeszczaną wiedźmę na środku Piazza di Spagna. W końcu nawet najznamienitszej angielskiej damie wolno czasem wzbudzić zainteresowanie gawiedzi.

Edward nigdy by tego nie pojął. Uważał ją za osobę stateczną i rozsądną, wzór wszelkich cnót. Byłby zdruzgotany, gdyby publicznie urządziła scenę.

- Musi pan już iść - rzekła ponaglająco, zerkając przez ramię na wejście do gospody. - Nie chcę pana widzieć.

- Ależ chcesz, cara - powiedział miękko, wpatrując się w nią ciepło szarobłękitnymi oczyma. - Kiedy przytuliła pani do twarzy kwiaty, pomyślała pani o mnie i zapragnęła mnie zobaczyć. Oto jestem. Spełniłem pani życzenie.

Zapłonęły jej policzki.

- Nie.... nie wie pan, co zrobiłam ani co pomyślałam. Nie może pan tego wiedzieć.

- A jednak wiem. Nie zaprzeczy pani, prawda? Wybrałem każdy kwiatek i każdą wstążkę z myślą o pani. Wiedziałem, że na ich widok natychmiast pani za mną zatęskni.

Wyprostowała dumnie plecy i odwróciła głowę, by zignorować jego nieznośną pewność siebie.

- Niczego pan o mnie nie wie.

- Wiem, że chciała mnie pani zobaczyć - ciągnął tuż za jej uchem. - I że kiedy odejdę, znów zapragnie mnie pani ujrzeć. Nie raz. Wiem też, że ma pani dość tego powozu i jego męczących pasażerów, bella mia.

- Nieprawda, nic pan...

- Cii... - przerwał jej. - Posłuchaj, cara. Należysz do mnie. To ze mną powinnaś przemierzać konno wzgórze Palatynu po zachodzie słońca. Śmielibyśmy się, podziwiali gwiazdy i lot sokołów nad naszymi głowami. Całowałbym cię, moja słodka pani, bo tego właśnie ode mnie oczekujesz.

Zacisnęła powieki. Oby Bóg jej przebaczył, lecz potrafiła bez trudu to wszystko sobie wyobrazić. Jak się domyślił, że wołałaby zwiedzać Rzym wierzchem niż w tej niewygodnej bryczce? Jakim sposobem odgadł, iż w głębi serca jest zwykłą wiejską dziewczyną? A przede wszystkim skąd wiedział, że chce, aby znów ją pocałował?

- Pańska paplanina to czcze domysły, nic więcej - broniła się słabo.

- Niemożliwe, by znał mnie pan aż tak dobrze, jak się panu zdaje.

- Znam dobrze siebie samego, a więc i ciebie, cara - odparł gładko.

- Dlaczego więc nie wyjawi mi pan swego nazwiska? Wciąż powtarza pan, iż łączy nas jakaś urojona więź, a trzyma mnie pan w takiej niepewności? To nieuczciwe.

- Antonio di Randolfo - zaskoczył ją znienacka. - Mam na imię Antonio.

- Czyli Anthony...

Odwróciła się, by na niego spojrzeć, i stwierdziła ze zdumieniem, że zniknął. Zapadł się pod ziemię. Rozejrzała się wokół placu. Jakim

sposobem tak potężny mężczyzna zdołał w jednej chwili przepaść jak kamień w wodę?

- Anthony! - zawołała rozgniewana. Wychyliła się i zajrzała pod powóz. Nie zdziwiłoby jej, gdyby przyciął się pod kołami, by po chwili wyskoczyć zniemacka niczym królik z kapelusza. To całkiem do niego podobne.

- Anthony, gdzie się podziałeś?!

- Lady Diano! - rozległ się raptem pełen niezadowolenia głos panny Wood. - Cóż to panienka wyczynia? Kto to słyszał, żeby tak wisieć głową w dół? Proszę natychmiast usiąść, jak należy. Chyba nie chce panienka, by lord Warwick i wielebny Patterson zamiast twarzy oglądali jej... dolne partie.

Lady Farren w okamgnieniu obróciła się i opadła na siedzenie.

- Dzień dobry, lordzie Edwardzie - przywitała się. - Mam nadzieję, iż dobrze pan spał tej nocy?

- Znów nagabywali panią ci obmierzli żebracy? - zainteresował się duchowny. - Przepraszam, że zostawiliśmy panią na ich łasce.

- Są nie lepsi niż złodzieje - skomentował posepnie lord Warwick, siadając naprzeciw Diany. - Powinna pani była wejść z opiekunką do środka, zamiast wystawiać się na niebezpieczeństwo. Włoscy służący nie kiwnęliby palcem w pani obronie. Gorąco dzisiaj, nieprawdaż?

- Wdzięczna jestem panom za troskę, lecz nie stało się nic złego. - Uśmiechnęła się do Edwarda, który próbował zrewanżować się tym samym, ale zdołał jedynie wykrzywić usta w zbolałym grymasie.

Wnosząc z chorobliwej bladości jego oblicza, dziewczyna nabrała podejrzeń, że ubiegłego wieczoru przedobrzył z winem. Postanowiła wszakże pozostawić to bez komentarza. Skoro oni szczęśliwym trafem nie zauważyli jej rozmowy z Anthonym, ona może przymknąć oko na niedyspozycję swego towarzysza. Ten jednak najwyraźniej nie potrafił docenić jej łaskawości.

- Doprawdy uważam - odezwał się tonem osoby, która pozjadała wszystkie rozumy - iż nie powinna pani była nalegać na pozostanie w powozie bez opieki. To nierozsądne i niewłaściwe. Nie wyobraża

pani sobie, do jakich swawoli zdolni są mężczyźni w Rzymie, kiedy stworzy im się ku temu okazję.

- Powtarzam panu, milordzie, że doskonale poradziłam sobie sama - odrzekła, nie kryjąc niechęci. Owszem, pragnęła zrobić na nim dobre wrażenie, lecz z pewnością nie znali się jeszcze na tyle dobrze, iżby miał prawo do wygłaszania morałów. - Dostrzega pan w najbliższym otoczeniu jakichś mężczyzn? Być może nie wiem, do czego są zdolni, nie sądzę jednak, by chcieli swawolić, będąc na odległym krańcu placu.

- Nie docenia ich pani. Są zepsuci do cna i niesłuchanie frywolni. Tylko czekają, by wykorzystać niewinność cnotliwej damy.

- Wierzę panu na słowo - powiedziała chłodno.

Troska Edwarda powinna jej może schlebiać, jednak znajdowała w jego tonie tylko pyszałkowane poczucie wyższości. O ileż miłszy był aksamitny głos nieznanego. Żadna z jego impertynencji nie zabrzmiała tak obraźliwie, jak uwagi Warwicka, z których wynikało niezbicie, że ma on ją za bezradną idiotkę.

Nie musi już nazywać go nieznanym, uzmysłowiła sobie nagle. Nie jest obcy. Ma na imię Anthony. Antonio di Randolfo. Tak brzmi nazwisko uroczego łotra, który uczynił swą ulubioną rozrywkę z wpędzania jej w tarapaty.

Antonio... - pomyślała z rozmarzeniem.

Metalowe koła zgrzytnęły o bruk i stangret ruszył nareszcie z miejsca.

- Podarował pan lady Dianie wyjątkowo piękny bukiet, milordzie - odezwała się panna Wood, starając się rozładować pełną napięcia atmosferę, jaka zapanowała w powozie.

- Kwiaty, drogi chłopcze? - rozpromienił się wielebny Patterson. - Nie wiedziałem, że posłałeś lady Dianie kwiaty.

- Nie wiem, jak panu dziękować, milordzie - rzekła panna Farren, spoglądając na Edwarda wyczekująco. - Sprawił mi pan ogromną przyjemność. - Zastanawiała się, jak młody człowiek postąpi. Mógł wyznać, że bukiet nie pochodzi od niego lub przypisać sobie cudzą zasługę. Niewygodna prawda albo stawiające go w dobrym świetle

kłamstwo. Wybór nie powinien być trudny.

Gdy odwzajemnił jej uśmiech, natychmiast zrozumiała, jaką drogę obierze.

- Rad jestem, że bukiet się pani spodobał - zełgał nad wyraz gładko. - Choć dodam, iż nawet najpiękniejsze kwiaty nie mogą równać się z pani olśniewającą urodą - powiedział uwodzicielskim głosem.

Rozczarowana, w milczeniu przyjęła komplement, po czym odwróciła głowę. Jak mógł postąpić tak podle? Nie przeszłoby mu nawet przez myśl, by obdarować ją kwiatami, a co dopiero skomponować tak piękną wiązanekę. Jego postawa wielce ją zgorszyła i zasmuciła. Tak niskie postęпки nie były w jej mniemaniu godne dżentelmena. I pomyśleć, że pragnęła mu ufać, może nawet była skłonna go pokochać. Po tym, co zrobił, przekreśliła go jednak na wieki.

Żałowała jedynie, iż nie może dać mu nauczki. Pozwalając, by kłamstwo Edwarda wyszło na jaw, przyznałaby się do znajomości z innym mężczyzną, i to na tyle z nią spoufalonym, by ją obdarować.

Przyglądając się w witrynie sklepu swemu zafrasowanemu odbiciu, zrozumiała, że wspomnienie twarzy Anthony'ego będzie odtąd niepodzielnie władać jej myślami.

Stojąc z kieliszkiem wina na balkonie, lord Randolph zdawał się słuchać dobiegającej z salonu arii tylko jednym uchem. Nie bardzo zresztą wiedział, kto właśnie śpiewa. Chętnych do występów przybyło bez liku. Wkrótce miał się zacząć nowy sezon operowy. Choć wiodące partie były od dawna obsadzone, przyjmowano jeszcze kandydatów do ról drugorzędnych. W celu wyłowienia nowych talentów organizowano prywatne przesłuchania. Lucia uwielbiała być ich patronką. Sama nie miała szansy wystąpić w teatrze, lubowała się więc w promowaniu bądź - w zależności od osobistych sympatii - krytykowaniu młodych śpiewaków.

Anthony nie był dziś towarzysko usposobiony, wycofał się więc na taras, zaszywając się w cieniu Bazyliki św. Piotra.

Czy dwa dni temu, kiedy pocałowałem lady Farren, też świeciło

tyle gwiazd? - zastanawiał się zadumany. Zapamiętał jedynie, że to ona zdawała się emanować światłem. Poraził go blask jej oczu i jasnych włosów, a nade wszystko ognisty temperament i żarliwość, z jaką odpowiedziała na jego pieśczętę. Od tamtej pory Diana całkowicie opanowała jego myśli.

Popołudniowe spotkanie przed gospodą pogorszyło jedynie sprawę. Szansa rozmowy sam na sam kosztowała go zaledwie kilka monet, którymi opłacił stangreta. W księżycowej poświacie wszystkie kobiety wydają się piękne, lecz ona należała do tych, których uroda lśni także w słońcu. W dodatku była nim równie zafascynowana, jak on nią. Miała to wypisane w źrenicach.

Doświadczenie podpowiadało mu, że jutro powinien jej unikać. Nie zaszkodzi potrzymać ją trochę w niepewności. Niech myśli, że stracił zainteresowanie. W ten sposób podsyci jej ciekawość i tęsknotę. A kiedy znów pojawi się na horyzoncie, będzie błagała, by nie odchodził.

Niestety, sprawy nie toczyły się do końca po jego myśli. Zamierzał zrobić pierwszy krok i poczekać na dalszy rozwój wypadków. O dziwo jednak, udało jej się odwrócić karty, bo to ona wydawała się panią sytuacji. Nie na długo, ma się rozumieć, był bowiem pewien, iż odzyska trzeźwość umysłu i pokieruje ich romanssem wedle własnego uznania. Nie pojmował jednak, jakim cudem przytrafiło mu się coś podobnego.

- Słusznie pan postąpił, milordzie, uciekając z salonu - odezwał się korpulentny mężczyzna, który pojawił się nagle u jego boku. - Tutaj powietrze wydaje się znacznie lżejsze.

Anthony przesunął się, by zrobić mu miejsce. Wolałby pozostać sam, lecz jeśli już musiał przystać na czyjeś towarzystwo, nie miał nic przeciw temu, by był to Alessandro Dan-dolo - najpopularniejszy solista operowy w Rzymie i faworyt papieża. Wspiął się ze społecznych nizin na sam szczyt, choć przyszło mu za to zapłacić niewyobrażalnie wysoką cenę. Piękny głos i sukces sceniczny zawdzięczał utracie atrybutów męskości.

- Rzekłbym, że wieczór jest wyjątkowo ciepły jak na tę porę lata.

- Mówiąc o ciężkim powietrzu w salonie, nie miałem na myśli temperatury. - Śpiewak zawiesił dramatycznie głos. - Choć trzeba przyznać, że tam, gdzie pojawia się Lucia, atmosfera od razu robi się gorąca.

- Nie inaczej - odrzekł Anthony ze śmiechem. - Zwłaszcza dziś, kiedy otacza ją wianuszek urodziwych młodzieńców.

Dandolo westchnął melancholijnie, spoglądając w głąb domu.

- Są tacy żałośni, biedne skowroneczki. Tyle starań i zachodu i na cóż im to wszystko?

- Pragną dorównać pańskim osiągnięciom. Chcą dostawać najlepsze role i zdobywać uznanie tłumów.

- A tak, rozgłos. Sława to odurzający eliksir.

- Jestem pewien, że nasza droga Lucia chętnie by go skosztowała.

- Biedactwo. Wielka to szkoda, iż nie wolno jej występować w teatrach i kościołach - rzekł z westchnieniem Alessandro. - Choć powiadają, że najlepsze arie odśpiewuje w zaciszu sypialni. .. Ale panu nie muszę o tym opowiadać. Zdaje się, że nieraz gościł pan w jej prywatnych apartamentach.

- Wystarczy, Dandolo. Nie pozwolę, byś ją pan oczerniał. Śpiewak uniósł starannie umalowaną brew.

- Co by na to powiedziała pańska nowa wybranka, milordzie? Spodobałaby jej się ta lojalność wobec dawnej kochanki?

- Moja nowa wybranka? - zapytał Anthony, sącząc wino. Dandolo uchodził powszechnie za niepoprawnego plotkarza. Prawda nie była dla niego istotna. - Nie pojmuję, o czym pan mówi, sir.

- Doprawdy? Lucia wyjawiała mi, iż jest pan oczarowany pewną urodziwą, młodą Angielką. Zaklinała się, że to szczerą prawdą i że za sprawą zakładu między wami dwojgiem jeszcze przed gwiazdką będziemy mieli w Rzymie wesele.

- Lucii najwyraźniej poplątało się w główce, przyjacielu. Istotnie, założyliśmy się w sprawie rzeczonyj damy, lecz zamierzam wygrać zakład, a wtedy nasza przyjaciółka wystąpi na Schodach Hiszpańskich, uszczęśliwiając licznych rzymian, którzy nie mieli dotąd okazji słyszeć jej anielskiego głosu. Co do mnie, cóż, nieważne,

co postawiłem ze swej strony, bo mam absolutną pewność, iż to nie ja będę przegrany.

- Skoro jest pan aż tak pewny siebie - zakpił Alessandro - nie zainteresuje pana moja mała nowina. Pochodzi wprawdzie z dobrego źródła, jakim jest brytyjski konsul, lecz jakież to może mieć znaczenie dla tak wytrawnego uwodziciela jak pan? Słynny na cały kraj kochanek, istny wirtuoz miłosnej sztuki...

- Do diaska, Dandolo, mówże wreszcie, co masz do powiedzenia - zniecierpliwiał się lord Randolph, choć nigdy wcześniej nie interesowały go towarzyskie skandale. - Czego się pan dowiedziałeś?

Szerokie usta śpiewaka rozciągnęły się w uśmiechu.

- Otóż, ma pan rywala, milordzie. O względy twej damy stara się pewien angielski lord, a i ona jest mu ponoć przychylna.

- Ach, Warwick - prychnął Anthony, odczuwając większą ulgę, niż chciałby przyznać. - Nie traktuje go poważnie. Jest dla niej tylko zabawką.

- Tak? Dlaczego w takim razie obie strony zasięgają dyskretnej opinii o swym, hm, nazwijmy to, położeniu?

- Co? Warwick próbuje się wywiedzieć na temat przeszłości lady Diany?

- Obawiam się, że to coś znacznie poważniejszego. Interesuje go raczej wysokość jej posagu. Wypytuje też, czy panna jest w dobrych stosunkach z ojcem.

Lord Randolph zmarszczył brwi.

- Jeśli jej ludzie zasięgną języka o Warwicku, natychmiast wyjdzie na jaw, jaki z niego łotr i nikczemnik-.

- I tu się pan myli, milordzie - oświecił go Alessandro. - Dowiedzą się jedynie, iż pochodzi z bogatego i powszechnie szanowanego rodu. Konsul jest z nim w tak dobrej komitywie, że sam zachęca guwernantkę lady Farren, by popchnęła ją do tego mariażu. Ręczy za Edwarda słowem. Mówi się o rychłych zrękowinach.

- To brednie, Dandolo - warknął Anthony. - Lady Diana z pewnością nie jest nim szczególnie zauroczona.

Na ustach śpiewaka pojawił się grymas przebiegłości.

- Może i nie, ale co, jeśli będzie zmuszona pójść za głosem rozsądku, a nie serca? Być może uzna oświadczyzny Warwicka za dar niebios. Jedyny, na jaki zasłużyła?

- Co też pan opowiada? Jest przecież córką księcia, z pewnością wniesie ogromny posag, w dodatku Bóg obdarzył ją urodą. Wielu mężczyzn złapie się na taką przynętę.

- Szkopuł w tym, że Anglicy biorą za żony jedynie damy o nieposzlakowanej opinii. Jeśli pojawi się choćby cień podejrzenia, jakiś błahy nawet skandalik, panna jest stracona na wieki. Chodzą słuchy o pewnej, hm, niefortunnej przygodzie, która przytrafiła się lady Dianie w Paryżu. Porwał ją rzekomo jakiś stary hrabia, znany psubrat i zbereźnik. Rozumie pan więc, milordzie, jak to mogło wpłynąć na jej... hm... wianek. Utrata dziewictwa...

- Ma niby sprawić, że Warwick złoży jej jedyną i najlepszą ofertę małżeńską? - Anthony nie dbał o to, czy kobieta jest dziewicą, czy nie. Uważał cnotliwość za wielce przecenianą, zwłaszcza gdy jako pierwszy kochanek na własnej skórze doświadczał związanych z nią damskich hysterii. - Cóż, wielka to dla niej szkoda.

- Za to korzyść dla pana i pańskiego zakładu - zachichotał Dandolo. - Jeśli już zaczyna się ku panu skłaniać, Rzym niechybnie usłyszy arię naszej pięknej Lucii.

Anthony zawtórował mu śmiechem, powracając myślami do Diany. Przypomniawszy sobie, jak płonęły jej oczy i policzki, kiedy droczył się z nią przy powozie. Była taka bystra i pełna życia. Zrobiło mu się żal, gdy wyobraził ją sobie z Warwickiem. Jeśli istotnie będzie zmuszona skazać się na ten ponury mariaż, tym bardziej zasługuje na kilka rozkosznych wspomnień, które pomogą jej przetrwać bez miłości do końca życia. Ofiaruje jej z radością, lecz musi działać szybciej, niż to sobie początkowo zaplanował. Kiedy Warwick oficjalnie poprosi o jej rękę, szanse wygrania zakładu drastycznie zmaleją.

Zakołysał w dłoni zapomnianym kieliszkiem, po czym zwrócił się do Dandola:

- Wspominał pan o tym Lucii?

- Święci Pańscy! Oczywiście, że nie! - oburzył się szczerze śpiewak.
- Musimy się wzajem wspierać, czyż nie? Prześlę panu jutro bilety na najbliższą próbę. .Na razie wszystko jeszcze w proszku, muzycy marudni i ospali, scenografia ledwie zaczęta, ale nie wiedzieć czemu angielskie damy uwielbiają oglądać nas w takim stanie.

- Moja dama jest Angielką do szpiku kości, będzie więc zachwycona - odparł ze śmiechem Randolph, wyobrażając sobie uradowanie Diany. Oczywiście nie mógł przekazać jej zaproszeń osobiście, obmyślił jednak pewien plan, który znów pozwoli im być razem. - Jestem panu zobowiązany, Alessandro.

- Po prawdzie, nie potrzebuje pan wcale tej małej przynęty, którą zamierzam panu ofiarować. - Śpiewak niby zbył podziękowania, lecz w duchu nie posiadał się z radości. - Jest pan na to zbyt przebiegły, nie zdradził pan nawet nieszczęsnej owieczce swego nazwiska.

- Przeciwnie. Przedstawiłem się jako Antonio di Randolfo. Pozwoliłem jej wierzyć, iż jestem Włochem. Tak jest znacznie prościej... przynajmniej na razie.

- Nie tylko prościej, ale i wygodniej. - Uśmiechnął się z drwiną Dandolo. - Lepiej, żeby biedaczka nigdy się nie dowiedziała, że do ruiny doprowadził ją taki sam Anglik jak ona.

Anthony spojrzał w kierunku domu, w którym spała teraz Diana. Nie, lady Farren nigdy nie pozna jego prawdziwego nazwiska. Nie dowie się ani o jego tytule, ani o tym, że jest w połowie Anglikiem. Nie pozna też prawdy o zakładzie, jaki uczynił z Lucią. Jedyne, co jej po nim pozostanie, to wspomnienie niewysłowionej rozkoszy. Nie pragnął być dla niej niczym więcej, lecz kiedy przypomniawszy sobie jej uśmiech, ogarnęło go raptem uczucie melancholii.

Wzdrygnął się z marszem na czole. Jaki diabeł go opętał? Nigdy dotąd nie robił się sentymentalny z powodu kobiety.

- Och, panno Wood! - zawołała Diana, zatrzymując się w połowie schodów. - Zapomniałam czegoś z pokoju! Proszę iść przodem i znaleźć dla mnie jakąś wymówkę. Niebawem do was dołączę.

Na dole oczekiwał na nie powóz z lordem Warwickiem i wielbnyim Pattersonem.

- Aj, lady Diano. - Guwernantka ujęła się pod boki i spojrzała na nią z wyrzutem. - Niedługo gotowa panienka zapomnieć własnej głowy. Proszę nie kazać nam zbyt długo na siebie czekać.

Po przekroczeniu progu komnaty Diana natychmiast zaczęła się rozbierać.

- Prędko, Debora, pospiesz się! - przywołała pokojówkę. -Przynies mój strój do jazdy konnej.

- Do jazdy konnej? - zdziwiła się służąca, podając jej dopasowany granatowy tużurek z dwoma rzędami guzików. - Nie wiedziałam, że jaśnie panienka wybiera się na przejażdżkę. Przygotowałam ubranie wcześniej.

- Nikt o tym nie wiedział, moja droga. Teraz kapelusz! Żwawo, żwawo!

-Tak jest, milady.

Było to jej ulubione nakrycie głowy; uszyte z farbowanej na jasnoniebiesko skóry bobra, z zawadiackim piórem, które wywijają się tuż nad okiem w coś na kształt znaku zapytania. Jeśli to nie zachęci mężczyzny do pocałunku, to nic już nie pomoże. Zadowolona z efektu, zerknęła w lustro i posławszy swemu odbiciu całusa, wybiegła na schody, a potem na dwór.

Jedno spojrzenie na twarze osób siedzących w powozie utwierdziło ją w przekonaniu, iż postąpiła być może nieodpowiedzialnie i impulsywnie, ale słusznie.

Panna Wood odezwała się pierwsza.

- Lady Diano, wolno spytać, czemuż to jest pani tak ubrana?

- Zmęczyło mnie ciągłe podróżowanie powozem - odparła radośnie. - Lordzie Edwardzie, postanowiłam, że dla odmiany udamy się we dwoje na przejażdżkę. Chciałabym obejrzeć ruiny na wzgórzach Palatynu. Podobno są pasjonujące.

Spojrzał na nią w niemym osłupieniu, jakby zażądała, by powtórzył wyczyn mitycznego Ikara.

- Na przejażdżkę, milady? Konną?

- Owszem, konną. Chyba że rzymianie wolą siodłać jakieś inne bestie.

- Ależ, lady Diano - przyszedł mu w sukurs wuj. - Rozumiem, że dokuczają pani ciasnota powozu, pragnę jednak zauważyć, iż to najwygodniejszy i najstosowniejszy dla dam sposób podróżowania po mieście.

- Być może preferują go rzymskie damy, wielbny ojciec - odparła z niezmaconym spokojem. - Dziś jednak wolałabym poruszać się wierzchem. Edwardzie, zechce mi pan towarzyszyć?

Tym razem interweniowała panna Wood, składając dłonie jak do modlitwy.

- To bardzo kusząca propozycja, milady, lecz nieco pochopna. Nie powinna pani jeździć bez opieki w towarzystwie dżentelmena, nawet jeśli to ktoś tak zacny jak lord Warwick. To niewłaściwe.

- Nie zamierzam zmienić zdania - sprzeciwiła się hardo dziewczyna, choć wełniany strój okazał się zbyt ciepły na tak upalną pogodę. Już odczuwała pod gorsetem skutki gorąca. - Wielbny Patterson i pani możecie jechać za nami w powozie. Zresztą, nie sądzi pani chyba, iż można zachowywać się nieprzyzwoicie podczas jazdy?

- Jeśli istnieje na to jakiś sposób - odparła złowieszczym szeptem guwernantka - z pewnością go panienska znajdzie. Niechże panienska choć raz w życiu wykaże rozsądek.

- Dobrze, milady - uciął dyskusję Edward. - Pojedziemy na wzgórze Palatynu. Jeśli właśnie tego pani sobie życzy, nie pozostaje mi nic innego, jak spełnić jej prośbę. Wyruszymy, jak tylko poślę po konie.

- Zgodzi się pan ze mną pojechać?

- Uczynię wszystko co w mej mocy, by była pani w pełni ukontentowana. - Skłonił lekko głowę, wytrzymując jej spojrzenie. Uśmiechał się, lecz w jego oczach i grymasie zaciśniętych warg nie wyczytała żadnych oznak radości. O dziwo, podjął wyzwanie, co nie znaczy, że podobał mu się jej pomysł. Wręcz przeciwnie, wydawał się pałać do niego wielką niechęcią, by nie powiedzieć odrazą.

Nie robiła sobie z tego powodu wyrzutów. Niezadowolenie lorda Warwicka sprawiało jej nawet przyjemność. Może jest silniejszy i

bardziej męski, niż początkowo sądziła. Może naprawdę uda mu się sprawić, by zapomniała o pocałunkach Antonia di Randolfa.

Podawała mu odzianą w rękawiczkę dłoń.

- Skoro tak usilnie pragnie pan sprawić mi przyjemność, milordzie, ja ze swej strony również postaram się zadowolić pana.

- Mam nadzieję, pani. - Zacisnął mocno palce wokół jej ręki. - Mam nadzieję.

SR

Rozdział piąty

Diana wyobrażała sobie wzgórze Palatynu tak, jak opisywał je Antonio. Widziała je jako nastrojowe, malownicze miejsce skąpane w blasku gwiazd oraz delikatnej wieczornej bryzie. Miała mknąć poprzez tajemnicze ruiny na spienionym białym rumaku z rozwianym włosom oraz roześmianym mężczyzną u boku.

Rzeczywistość nie sprostowała, niestety, jej oczekiwaniom. W miejsce gwiazd dostała jej się popołudniowa spiekota i mnóstwo kurzu. Co do romantycznej atmosfery, cóż, z lordem Warwickiem nie mogła na nią liczyć.

- Na Boga, proszę nieco zwolnić - zdenerwował się Edward, gdy jej gniada klacz o imieniu Zucchero potrząsnęła niespokojnie łbem. - Znow oddaliliśmy się za dużo od powozu.

- Wolne żarty, milordzie. - Miała szczerzy zamiar być dla niego miła, wziął przecież jej stronę w sporze z panną Wood. Robił jednak wiele, by jej to uniemożliwić. Nade wszystko nie podobał jej się ton pana i władcy, jakim do niej przemawiał. Wydawał rozkazy niczym służącej. - Te uliczki są tak wąskie i zatłoczone, że nie udałoby się nam zgubić powozu, nawet gdyby od tego zależało nasze życie.

- Jest pani wytrawną amazonką, milady - stwierdził z uznaniem. Stało się od razu jasne, że sam kiepsko trzyma się w siodle i jest raczej marnym jeźdźcem. - Znakomicie panuje pani nad koniem, w mieście to nie lada sztuka.

Nie sposób było temu zaprzeczyć. Zucchero okazała się żywiołowa i szybka, w bardziej sprzyjających okolicznościach byłaby wspaniałym wierzchowcem. Diana nie mogła jednak pozwolić klaczy w pełni rozwinąć skrzydeł. Mimo ogromnego doświadczenia nie chciała ryzykować. Nie siedziała na koniu od wyjazdu z Anglii, czyli od czterech miesięcy. Jazda w damskim siodle, z jednym kolaniem przewieszonym ponad łękiem, nie należała do zbyt wygodnych. Od ciągłego balansowania ciałem bolały ją mięśnie nóg oraz plecy. Zbyt ciepły na tę porę roku wełniany strój lepił jej się do skóry,

wprawiając w irytację.

Spojrzała tęsknie ku wzgórzom. Wzdłuż popękanych, pozbawionych dachów ruin rozciągały się rozłożyste cyprysy, obiecujące odrobinę upragnionego cienia.

- Może podjedziemy bliżej drzew? - zaproponowała. - Miło będzie odpocząć w chłodzie.

- Nie możemy - odparł z nader denerwującą cierpliwością Edward. - Powóz tam za nami nie wjedzie. Wiem, iż nie dba pani o pannę Wood, ale ja nie zamierzam pozostawić wuja samemu sobie ani tym bardziej narażać na szwank pani reputacji.

Moja reputacja to wyłącznie moja sprawa, pomyślała panna Farren, lecz powstrzymała się od cisnącej się na usta riposty. Postanowiła przynajmniej na jakiś czas utrzymać rozejm.

- Czy mógłby pan opowiedzieć mi coś o tej ruinie? - zapytała, próbując wciągnąć swego towarzysza w uprzejmą rozmowę.

- Ma pani na myśli Pałac Flawiuszów? - Uśmiechnął się ciepło. Być może źle go oceniła. Może jednak nie próbował być jej panem i władcą. - To niezwykła budowla, nieprawdaż? Zostały z niej ledwie szczątki, lecz zważywszy na to, jak dawno powstała, aż dziw, że cokolwiek się zachowało.

- Spodziewam się, że w czasach swej świetności dorównywał rozmiarami królewskim posiadłościom w Anglii - rzuciła swobodnie.

- Och, znacznie je przerastał. Był niegdyś oficjalną rezydencją rzymskich imperatorów. W zamyśle miał stanowić wizytówkę majestatu cesarów oraz świadczyć o potędze całego imperium. Teraz nie robi już tak wielkiego wrażenia.

- Zaiste, nie - zgodziła się, porównując w duchu pozostałości pałacu do londyńskich włości angielskich królów.

- To wina współczesnych mieszkańców Rzymu i ich próżniactwa - oznajmił napastliwie Edward. - Pozwolili zmarnieć wszystkim swym zabytkom, nie tylko rezydencji Flawiuszów. Czy pani wie, że to miejsce zostało odkryte i odrestaurowane dopiero w tym stuleciu przez Anglika i za angielskie pieniądze? Uwierzy pani, iż komnatę tronową odnaleziono zaledwie dwa lata temu?

Ograniczyła się do skinienia głową.

- Rzymianom nie należy powierzać niczego, co warte jest więcej niż funt kłaków - kontynuował, prychnąwszy ze wzgardą. Zbyt mocno zawiązał sobie halsztuk, skutkiem czego ściśnięta skóra zwisała mu znad kołnierza. - Cała ich moralność i etyka odmieniła się z chwilą, gdy pozwolili zawładnąć swymi duszami papieżom. Odtąd mają doskonałą wymówkę, by pogrążyć się w gnuśności i trwonić wspaniałe dziedzictwo, jakie pozostawili im antyczni przodkowie.

- Przekreśla pan zatem wartość wszystkiego, co wybudowano w Rzymie po upadku imperium? - zapytała z ciekawością. Jej zdaniem miasto mogło się poszczycić wieloma monumentalnymi budowlami, które wzniesiono w minionym tysiącleciu. - Katolicyzm był jedyną wiarą chrześcijańską przez całe stulecia. Zdaniem pana nie można mu przypisać żadnych osiągnięć?

- Och, znalazłoby się zapewne kilka wyjątków. - Machnął niecierpliwie dłonią, jakby opędzał się od natrętnej muchy. - Ogółem jednak nowa architektura i sztuka Rzymu charakteryzuje się nieumiarkowaną zmysłowością i swawolnym przesystemem, które promuje Kościół katolicki. Wszystko zdaje się tu tworzone jedynie dla przyjemności i uciechy, bez szlachetnego celu czy pożytku.

Lady Farren natychmiast pomyślała o Anthonym. Nie miała zwyczaju określać mężczyzn mianem „zmysłowych”, ale gdy usłyszała to słowo z ust Edwarda, uznała, że idealnie opisuje jej potajemnego adoratora, który emanował wręcz zmysłowością. Ujął ją pewnością siebie, zwinnością ruchów, głębokim i dźwięcznym tembrem głosu oraz melodyjnym śmiechem. Spodobał jej się także jego angielski ze śladami obcego akcentu i wplatanymi od niechcenia włoskimi słowami.

A kiedy przypomniawszy sobie, jak ją całował... Na niebiosach, czyż można wyobrazić sobie coś bardziej zmysłowego niż sposób, w jaki nęcił, kusił i drażnił jej usta swoimi?

- Znamiona wulgarnego przepychu znać we wszystkim, czego ci ludzie się tkną - kontynuował wykład Warwick. - Poczynając od

kopuły Bazyliki św. Piotra, a kończąc na umorusanych oseskach, którym matki fryzują włosy w prostackie loki.

Diana natychmiast ujrzała w wyobraźni niesforną czuprynę Antonia.

- Doprawdy, milordzie - odezwała się z wolna. - Trudno dać wiarę, iż przez tysiąc lat nie wzniesiono w tym mieście niczego godnego szacunku. Nie wydaje mi się, by starożytni Rzymianie byli aż tacy idealni, a ich potomni aż tak zepsuci, jak ich pan przedstawia.

- Jako żywo, milady, taka jest prawda! Ci nierychliwi głupcy w niczym nie dorównują swym szlchetnym przodkom.

- Ależ to niedorzeczne! - rozsierdziła się lady Farren, zatrzymując konia. - Ze wszystkich bezdusznych i ograniczonych sądów, jakie słyszałam w całym swym życiu, ten jest najbardziej absurdalny! Skoro ma pan o tym mieście i jego mieszkańcach tak niskie mniemanie, nie pojmuję, czemuż to, na Boga, wciąż jeszcze pan tu przebywa?

Lord Warwick zatrzymał przed nią swego wałacha.

- Przykro mi, jeśli panią uraziłem, nie zamierzam jednak wycofać się ze swych poglądów, jestem bowiem przekonany o ich słuszności. Dzisiejsi rzymianie to spodłata rasa, hańba dla...

- Ludzie, którzy służą panu uniżenie i są wzorem gościnności również? - weszła mu w słowo. - W gospodzie wszyscy, od signora Silvaniego po kucharki, starają się na wszelkie sposoby nam dogodzić. W niczym panu nie uchybili.

- Myli pani gościnność z nadmierną zażyłością. Służba pod błahym pretekstem odrywa się od swych zajęć, by wdawać się z nami w poufale rozmowy. Zaobserwowałem to we wszystkich rzymskich domach. Służący zapominają, gdzie ich miejsce, a ich państwo nawet nie starają się im o tym przypomnieć.

- Nie znajduję niczego złego w tym, że pokojówka czy lokaj starają się być mili i uczynni. To żaden grzech.

- I owszem. To grzech wobec społeczeństwa i jego ustalonej hierarchii. Nie wolno nam zapominać o naszej pozycji. Pani w szczególności powinna wziąć te słowa pod rozwagę.

- Ja? Ja powinnam wziąć pańskie słowa pod rozwagę? -
powtórzyła oniemiała ze wzburzenia. - Śmie pan insynuować, iż
zapominam o swej pozycji?

- Niestety, tak - odparł ponuro. - Jest pani córką arystokraty,
jednego z najznamienitszych dżentelmenów Anglii, a mimo to po
kilku dniach spędzonych w tym mieście dała się pani zainfekować
rzymskiej gorączce. Zachciewa się pani włóczyć bez opieki niczym
bezdomnej cygance, bez cienia godności i honoru.

- Niczym bezdomnej cygance?! - krzyknęła Diana tak donośnie, że
zaniepokoiła swego konia. Robiła co w jej mocy, by w towarzystwie
Edwarda zachowywać się nienagannie i taka spotyka ją za to
nagroda? - Posunął się pan stanowczo za daleko, milordzie!

- Nie nazwałem pani bezdomną cyganką - wycofał się pospiesznie.
- Miałem na myśli jedynie to, że zaczyna pani zachowywać się jak
rzymianka, a nie wytworna angielska dama, którą bez wątpienia
pani jest.

- Wytworna angielska dama! Ha! - Odwróciła gwałtownie klacz i
odjechała od niego na kilka kroków. - Zademonstruję panu, jak
potrafi się włóczyć wytworna angielska dama!

Nie dała mu szansy na ripostę. Nim zdążył zareagować, spięła
Zuccherro i ruszyła w kierunku wzgórza.

- Milady! - zawołał za nią Warwick. - Proszę zwolnić! Błagam,
niechże pani zawróci!

- Niech piekło pochłonie lorda i jego morały - mruknęła,
pochylając się na koniu. - Dalej, Zuccherro! Jazda!

Klacz pomknęła posłusznie ku rozciągającej się wzdłuż zbocza
polanie, która niegdyś służyła zapewne za deptak. Obecnie porastały
ją wysokie trawy i zarośla. W oddali widać się wąska alejka z
pozostałościami kamiennych łuków. Amazonka bez namysłu
skierowała konia w tę stronę.

Ani razu nie odwróciła się, by sprawdzić, czy Edward za nią
podąża. Była niemal pewna, że nawet gdyby chciał, nie zdołałby jej
dogonić. I bardzo dobrze. Niech to będzie dla niego nauczka.

Ogarnęło ją błogie poczucie swobody, jakby nagle wyzwoliła się z

pęt, które ostatnimi czasy nieustannie ją krępowały. Spódnice fruwały jej wokół nóg, włosy wysypywały się w nieładzie spod kapelusza, a policzki chłodził powiew rześkiego powietrza. Nareszcie uwolniła się od nakazów panny Wood, oczekiwań Warwicka, a co najważniejsze, od lęku, że starając się zadowolić innych, zatraci w końcu samą siebie.

To nie była prawdziwa wolność. Wiedziała, że nie dane jej będzie zbyt długo się nią cieszyć. Niebawem będzie musiała zawrócić, nim pozostali ruszą za nią w pogoń. Tymczasem jednak pozwoli sobie na odrobinę radości. Jakby specjalnie dla jej oczu u podnóża wzgórz rozciągała się panorama całego miasta z czerwonymi dachówkami oraz pysznymi złocistymi kopułami.

Klacz parsknęła i zwolniła kroku. Była spocona i zapewne chciało jej się pić. Na pobliskim dziedzińcu Diana wypatrzyła niewielki staw, wypełniony wodą ze źródła lub strumienia. Zsunawszy się z siodła na ziemię, chwyciła wodze i podprowadziła konia do wodopoju. Zatrzymała się w cieniu rozłożystego cyprysa.

- Pij, malutka. Ugaś pragnienie i wracamy, nim panna Wood przyśle po nas całą armię.

- Nie tak prędko, cara. Będą musieli jeszcze trochę poczekać. Ja czekam na panią znacznie dłużej.

Podniosła gwałtownie głowę i ujrzała Antonia. Stał przed nią bez surduta, w samej koszuli, czarnych bryczesach i butach do konnej jazdy. Miał podwinięte do łokci rękawy i rozpięty kołnierz. Za jego plecami majaczyła sylwetka dużego karego wałacha.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - Od spotkania przed gospodą niemal całkowicie pochłaniał jej myśli, ale teraz, gdy wyrósł przed nią jak spod ziemi, nieco się wystraszyła. Wszakże byli sami w odludnym miejscu. - Co to znaczy, iż czeka pan na mnie dłużej?

- Och, odpowiedź jest prosta, milady. - Położył sobie rękę na sercu i skłonił się z galanterią. Sobie tylko znanym sposobem uczynił ten gest płynącym z serca i dwornym, a jednocześnie pełnym drwiny z samego siebie. - Czekam na panią od początku swego doczesnego żywota.

Poczuła się mile połączona tym nietuzinkowym komplementem, a nie powinna.

Poprawiła sobie na głowie kapelusz.

- Opowiada pan nonsensy - skwitowała. - Jakże mógł pan czekać na mnie całe życie, skoro jeszcze tydzień temu nie wiedział pan nawet o moim istnieniu?

- Zesłała mi cię, pani, bella fortuna, czyli dobry los. - Wyciągnął ramiona, jakby chciał ją przekonać, że nie ma złych zamiarów.

- Nie wierzę w przeznaczenie. Wiara w ślepy los dowodzi, iż porzuciło się rozum i zdrowy rozsądek. Sądzę, że mamy możliwość wyboru.

- Za bardzo wsłuchuje się pani w to, co podpowiada jej głowa - orzekł, dotykając palcem czoła. - To dobre dla londyń-czyków, my, rzymianie, zawierzaliśmy naszym sercom. Nie kierujemy się rozumem. Nie myślimy, lecz czujemy.

Znów położył sobie rękę na piersi. Tym razem jednak stał znacznie bliżej. Diana odsunęła się instynktownie, wpadając na zad swojej klaczy.

- Skąd pan wiedział, że tu będę? - zapytała nieco chrapliwym głosem. - Nie zdradziłam panu takiego zamiaru.

- Nie musiała pani - odparł z uśmiechem. - Po prostu wiedziałem. Odgadło to moje serce.

- Pan żartuje! To niemożliwe. - Chwyciła się rozsądku jak tarczy, która miała ją przed nim ochronić. Och, dlaczego Edward nie potrafił przemawiać do niej w ten sposób? - Nie planowałam się tu zjawić. Zwyczajnie... uciekłam. Nie mogłam więc w żaden sposób dać tego panu do zrozumienia.

- Owszem, mogła pani. - Uniósłszy dłoń, dotknął opuszkami palców jej czoła. - Pani głowa jeszcze o tym nie wiedziała, za to serce...

- Dość tego - przerwała mu. - Wystarczy. - Strząsnęła jego rękę. - To głowa, tak, moja angielska głowa, nie serce, podejmuje za mnie decyzje - oznajmiła oschle.

- Możliwe - zgodził się łaskawie, wzruszając ramionami. - Ale to ja

opowiedziałem pani o wzgórzach Palatynu. To ja namalowałem w pani sercu ich obraz, carissima. To przeze mnie chciała pani je zobaczyć.

- Nieprawda!

- Czyżby? Dlaczego więc zdecydowała się pani tu przyjechać? Czyż nie dlatego, iż miała pani nadzieję mnie spotkać? Zaprzeczy pani, że nawiedzałem ubiegłej nocy jej sny, tak samo jak pani moje?

- Przyjechałam, bo... bo lord Warwick lubi opowiadać o starożytnych ruinach. - Nawet panna Wood zorientowałaby się, że to wierutne łgarstwo. - I z pewnością o panu nie śniłam.

- Skoro tak pani twierdzi... - Uśmiechnął się leniwie, lekko przymrużając oczy. Miał najbardziej niesamowite rzęsy, jakie widziała u mężczyzny. Ciemne, niesłychanie długie i jedwabiste.

Przełknęła ślinę, żałując, że nie starcza jej sił, by odwrócić wzrok.

- Twierdzą tak, bo to szczerą prawdą.

- Prawdą jest również to, iż wyraziłem życzenie ujrzenia pani na koniu. Pamiętała pani o tym i dlatego się tu zjawiała.

- Nie! To lord Edward zaproponował jazdę wierzchem.

- Jedynie na nią przystał, cara. To był pani pomysł, nieprawdaż?

- Muszę... muszę już iść. Powinam wracać do lorda War-wicka, nim mnie tu znajdzie. Żegnaj pana.

- Aj, rani mnie pani okrutnie. Nie pamięta już pani mego imienia?

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Zostanie z nim jeszcze minutę, dwie, może trzy, lecz nie więcej.

- Pamiętam.

- Niechże więc je pani wypowie, moja Diano - poprosił szeptem. - Prosto z serca, nie z głowy.

- Antonio - wyrzekła cicho. - Antonio di Randolfo.

- Powiedz to, jak należy, cara. - Zbliżył się do niej jeszcze bardziej.

- To imię tego, który ubóstwia cię i pragnie najbardziej na świecie. Ann-ton-ni-jo. Niech to zabrzmie jak pieszczota, omdlewająco i słodko.

- Antonio - powtórzyła, przeciągając sylaby, tak jak o to prosił, po czym go pocałowała. Nie mogła zrzucić winy na niego ani oskarżyć

go o to, że ją wykorzystał. To ona wykorzystała jego. Wzniósłszy się na palce, oparła dłonie o jego tors, zamknęła oczy i przycisnęła usta do jego warg. Zrobiła to, bo miała na to ochotę, a on, łotr, miał zareagować tak jak się spodziewała, tkwił przed nią niczym słup soli, ani myśląc odwzajemnić pieszczotę. Na cóż była cała ta czcza gadanina o uczuciach, skoro teraz udaje niewzruszony posąg?

- Gdzież to się podziało twoje serce, Antonio? - szepnęła mu do ucha.

Bardziej niż usłyszała, poczuła jego donośny, dobywający się z głębi piersi śmiech. Objął ją w tali i przyciągnął do siebie.

- Sądzisz, że musisz mi o nim przypominać, carissima? - odparł, obsypując jej nos, policzki i brodę gradem czułych pocałunków.

- Jeśli jesteś prawdziwym mężczyzną, trzeba ci czasem przypomnieć, że je masz. - Zachichotała zadowolona.

- Och, bez wątpienia nim jestem - rzekł, zbliżając wreszcie wargi do jej ust. - I nie trzeba mi o niczym przypominać.

Udowodnił to, całując ją tak samo, jak to zrobił w Koloseum, a jednocześnie zgoła inaczej. Poczowała się całkowicie otumaniona. Wydawało jej się, że zapada się w otchłań niewysłowionej przyjemności, z której nie miała najmniejszej ochoty się wydostać. Zapragnęła pozostać w jego ramionach na zawsze, lecz rozum podpowiadał jej co innego. Nie wolno jej było przebywać z nim ani chwili dłużej. Odsunęła się i odwróciła twarz.

- Muszę iść.

- Wiem, że musisz, cara. Wiem też, że wcale tego nie chcesz.

Zamknęła oczy i westchnęła. W tym również miał słusność.

- Nie mam wyboru.

Ująwszy ją delikatnie za podbródek, sprawił, że podniosła na niego wzrok.

- Zrób, co musisz, moja piękna. Wracaj do nich, ale wiedz, że niebawem znów cię odnajdę i pocałuję.

Potrząsnęła głową.

- Nie, proszę! Nie wolno panu. Jeśli istotnie wie pan o mnie tak wiele, rozumie pan moje położenie.

Aby zaznaczyć, że nie żartuje, wyswobodziła się z jego objęć i od razu poczuła jednocześnie wdzięczność i zawód, że Anthony nie próbuje ponownie wziąć jej w ramiona.

- Losu nie da się oszukać - odparł sentencjonalnie. - Fortuna nie pyta, czy jest pani księżniczką, czy posługaczką. Jeśli jesteś mi przeznaczona, cara, prędzej czy później będziesz moja.

Próbowała przywołać na usta uśmiech i obrócić wszystko w żart. Na próżno. Nie zdołała wykrzesać z siebie ani odrobiny wesołości.

- Jak to się mówi w waszym języku? Arrivederci, signore.

- Nie żegnaj, lecz do widzenia, cara. - Jak zwykle przy pożegnaniu, posłał jej dłonią całusa. - Nie rozstajemy się na długo...

- Milady! - rozległ się w pobliżu głos panny Wood. - Lady Farren, gdzie pani jest?

- Święci Pańscy, to moja guwernantka! - Diana gorączkowo omiotła wzrokiem ruiny. - Niechże się pan pospieszy! Nie mogę dopuścić, by nakryła nas razem. - Niepotrzebnie się obawiała. Gdy się odwróciła, już go nie było. Mignęła jej przed oczami sylwetka jego konia i tyle go widziała. Pojawiał się równie nagle, jak zniknął.

- Milady!

Panna Wood biegła ku niej zdyszana poprzez ruiny z podniesionymi spódnicami i mieszаныmi uczuciami na twarzy. Diana bez trudu potrafiła je odczytać. Oblicze opiekunki wyrażało ulgę, poirytowanie oraz silne postanowienie, aby nigdy więcej nie dopuścić do kolejnego wybryku wychowanki.

- Ach, panno Wood! Jakie to szczęście. - Postanowiła obłaskawić ją pochlebstwami. Czasem to pomagało. - Moja klacz bardzo się zadyszała w tym upale. Szczęściem znalazłam staw, żeby ją napoić.

- Nic dziwnego, że się zadyszała. Pognała ją jaśnie panienka na złamanie karku niczym rozwścieczoną Furie. Co też panienkę opętało? Całkiem postradała panienka zmysły?

- Mówię przecie, że koń się...

- Ma mnie panienka za kompletną idiotkę? Co sobie pomyślał o tych ekscesach lord Edward?

- Pan Warwick zachowywał się wobec mnie nikiemnie. Zwracał

się do mnie w barbarzyński i obraźliwy sposób. Nie mogłam pozwolić...

- To panience brakuje ogłady. Lord Edward był zdruzgotany, kiedy odjechała pani, zostawiając go w tyle. Jest przekonany, iż w jakiś sposób jej uchybił.

- Cóż za przenikliwość, doprawdy. Zwłaszcza po tym, jak podle...

- Dość tego, milady. - Guwernantka była srodze rozzłoszczona. - A teraz proszę posłuchać. Jeśli chce pani zachować nadzieję na kontynuowanie znajomości z jego lordowską mością, natychmiast go pani przeprosi. Powtarzam, natychmiast!

Diana już otwierała usta, by odpowiedzieć, lecz powstrzymała się w pół słowa. Jeśli miała być ze sobą szczerą, jej postępek dorównywał niegodziwością słowom, jakie usłyszała pod swym adresem z ust Edwarda. Wiedziała, że nie zdoła on jej dogonić, a mimo to, a raczej właśnie dlatego, zostawiła go w tyle. Zaiste, zasługiwał na przeprosiny.

Dlaczego więc wszystko w niej burzyło się przeciw temu? Czyżby Antonio di Randolfo opętał jej myśli do tego stopnia, że postanowiła dla błahej miłości odrzucić zaloty ze wszech miar idealnego kawalera? Nawet gdyby uczucie Antonia okazało się trwałe, jej ojciec nigdy nie zgodziłby się na ich małżeństwo. Nie chciałby nawet słyszeć o „przeklętym śniadym dandysie”. Miał w głębokiej pogardzie wszystkich, którzy nie urodzili się jego rodakami. Wolała sobie nie wyobrażać, jak zareagowałby na wieść o tym, że całowała z takim zapałem cudzoziemca.

Zrozumiała, że nie ma dla niego miejsca w jej życiu, za to dalsza z nim znajomość może narazić na szwank jej przyszłość.

-Milady! - Zatrzymawszy gwałtownie konia, Warwick zdjął kapelusz. - Bogu dzięki, jest pani bezpieczna.

- Oczywiście, że jestem bezpieczna, milordzie. Nie odjechałam daleko.

- Ale kiedy pani klacz wyrwała do przodu i zniknęła mi pani z oczu, nie wiedziałem, co myśleć. - Tak spieszno mu było, by do niej podejść, że zsiadając, niemal wypadł z siodła. Diana chwyciła jego

wałacha za uzdę. - Gdyby coś się pani przytrafiło z mojego powodu...

- Nic złego się nie stało - odrzekła szybko, próbując zapomnieć o swych pogmatwanych uczuciach. Edward był zły na samego siebie, nie na nią. Próbował nawet wytłumaczyć jej zachowanie, zrzucając winę na narowistą klacz. - I nie mogło się stać - dodała.

- Ależ mogło. - Zmiędlili w dłoniach brzeg kapelusza. - W tym mieście pozostawiona bez opieki dama nie może czuć się bezpieczna. Jeśli uczyniłem lub powiedziałem coś, co panią zdenerwowało... Nie wybaczyłbym sobie, gdyby...

Boże, dopomóż, zamierzał ją przeprosić. Była równie winna jak on, lecz zdawał się tego nie dostrzegać. Obawiał się o jej bezpieczeństwo i obwinał wyłącznie siebie. W jego głosie pobrzmiwała szczerą troską.

Pozostawało jej już tylko jedno. Uniosła głowę i spojrzawszy młodzieńcowi w oczy, podała mu dłoń.

- Milordzie, nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się panu odwdzięczyć za okazaną wyrozumiałość.

Anthony z trudem stłumił ziewnięcie. Siedział wraz z Lucią w łożu honorowej w operze i z niejakim znudzeniem przyglądał się próbie.

- Chciałam cię spytać, jak się mają sprawy z twoją angielską gołąbeczką? - zagadnęła go zniecierpliwiona przyjaciółka.

Usadowił się wygodniej na krześle i w zamyśleniu przesunął palcem po rdzawoczerwonym pluszowym obiciu. Milczał, bo nie wiedział, co odpowiedzieć.

Mógłby bez trudu przytoczyć najdrobniejsze szczegóły znajomości z Dianą. Doskonale pamiętał każdą wspólną chwilę. Pojawiał się i znikał, droczył się z nią, podarował jej niebanalny bukiet kwiatów. Dołożył wszelkich starań, by wydać jej się oryginalnym, czarującym i tajemniczym. Innym niż wszyscy znani jej mężczyźni. Na tyle innym, by często o nim myślała.

Co tam często. Założyłby się o górę złota, iż towarzyszy jej w każdej minucie dnia i nocy. Nie miał wątpliwości, że nawiedza także jej sny.

Byłby całkowicie usatysfakcjonowany rozwojem wypadków,

gdyby nie jeden istotny szczegół. Zupełnie nie pojmował, jak to się stało, lecz sam bez przerwy o niej rozmyślał. Nie potrafił wręcz wybić jej sobie z głowy. Rozpamiętywał jej głos, podkreśloną strojem do konnej jazdy wąską talię, rumieńce na policzkach, a przede wszystkim aksamitne usta, które tak chętnie rozchylały się do pocałunku.

Nie przypominał sobie, by jakakolwiek inna kobieta aż tak go omotała. Czuł się rozchwiany i niepewny, jakby ktoś wprowadził w jego świat chaos, nie pozostawiając najmniejszej nadziei na powrót do równowagi.

- Czyżbyś poszukiwał odpowiednich słów, by przyznać się do klęski? - spytała Lucia. - Słyszysz już dzwony weselne? A może miłość poraziła cię do tego stopnia, że odjęło ci mowę?

- Bynajmniej - odparł, nie pozwalając z siebie szydzić.

- Wyobrażam sobie wielkie zwycięstwo i ogromną radość, jaką uczynisz całemu Rzymowi, wyśpiewując arię.

Parsknęła drwiąco.

Może istotnie pora zakończyć ten durny zakład? - zadumał się. Diana była nim tak oczarowana, że bez trudu by mu uległa. Miast ją adorować, powinien przejść do czynów.

Nagle zauważył w progu łoży jednego z chłopców, którzy pomagali przy stawianiu dekoracji. Młodzian przyglądał im się nerwowo, przestępując z nogi na nogę.

- Czego chcesz, do diaska? - zagrzmiał Anthony. - Mówże, o co chodzi, chłopcze!

Posłaniec zbliżył się i złożył przed nim dworny ukłon, który wypadł dość zabawnie w zderzeniu z jego wysłużonym ubraniem.

- Proszę o wybaczenie, jaśnie panie. Nie śmiałbym państwu przeszkadzać, lecz signor Dandolo polecił mi przekazać panu wyrazy szacunku wraz z czterema biletami na jutrzejszy spektakl. Zgodnie z życzeniem podpisane przez impresaria opery. - Z tymi słowami wysunął dłoń z grubą zalakowaną kopertą.

- Bilety, Antonio? - Lucia podejrzliwie zmarszczyła brwi. - Na cóż ci bilety z podpisem impresaria? Przecież twoja rodzina miała tu

własną lożę, jeszcze zanim się urodziłeś.

- To dla znajomych - zbył ją, celowo udzielając niejasnej odpowiedzi. - Wiesz, dokąd ją doręczyć? - zwrócił się do chłopca, odprawiając go gestem ręki.

- Tak jest, jaśnie panie. Do gospody przy Piazza di Spagna. Doręczyć i złożyć do rąk dwóch angielskich dżentelmenów zajmujących pokoje na parterze.

- Dwóch angielskich lordów - poprawił Anthony. - Patterson i Warwick.

- Warwick? - Lucia spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. - Ten sam, który ugania się za twoją lady Dianą? Co ty knujesz, Antonio? Jakiś podstęp?

- Żaden podstęp, Lucio. Gram uczciwie. - Rzucił chłopcu monetę. - Masz, gałganie. To pewnie trzykrotność tego, co zaferował ci Dandolo. Zmykaj.

Chłopak chwycił w locie pieniądze, ukłonił się i zniknął w korytarzu.

Lucia syknęła z niezadowoleniem i zaczęła bębnić palcami w oparciu krzesła.

- Nie podoba mi się to, Antonio - wycodziła z wolna. - Knujesz coś przeciwko mnie. Chcesz wygrać nieuczciwie.

Wyobraził sobie, jak rumieniec Diany rozlewa się z policzków na całe ciało i jak dziewczyna, w spazmie rozkoszy, wykrzykuje jego imię.

- Bądź spokojna. Nawet jeśli coś knuję, to nie przeciwko tobie.

- Nadal zamierzam wygrać.

- Skoro tak mówisz... - Uśmiechnął się.

Rozdział szósty

- Nie mogę wyjść z podziwu - odezwała się panna Wood, gdy powóz odjeżdżał spod gospody. - Jakże się panu udało wejść w posiadanie biletów do opery, milordzie? Z tego co zasłyszałam, takim jak my, obcym przybyszom, niezwykle trudno je zdobyć.

Wielebny Patterson zachichotał i poklepał się po kieszeni, w której spoczywały cenne karty wstępu.

- Mam swoje sposoby - odparł zadowolony. - Choć zaiste los zesłał nam łakomy kąsek. Ponoć pierwsze przedstawienia sezonu są na ogół najznakomitsze.

Diana niemal drżała z podekscytowania. Nie mogła wręcz usiedzieć spokojnie w miejscu. Po niekończących się dniach „podziwiania” zmurszałych ruin nareszcie czekał ją wieczór rozrywek, które miały spełniać jej oczekiwania: w pięknym nowoczesnym budynku, słuchając muzyki i ciesząc się towarzystwem wytrawnej publiczności. Specjalnie na tę okazję włożyła jedną ze swych ulubionych wieczorowych sukien oraz prześliczne jedwabne pantofelki. Guwernantka pozwoliła jej nawet umalować powieki i policzki, dzięki czemu czuła się nieporównanie bardziej wytworna i powabna. Nie miała na sobie tak wykwintnego stroju, odkąd kilka tygodni temu opuściła Francję.

Pogodny nastrój nie opuszczał jej także z innego powodu. W relacjach między nią a Edwardem nastąpiło wyraźne ocieplenie. Kiedy przyszedł poprosić, by wraz z panną Wood towarzyszyły jemu i wujowi do opery, zachowywał się wobec niej wyjątkowo uprzejmie, by nie powiedzieć unieżenie. Przyjęła zaproszenie z niekłamanym ukontentowaniem, a teraz przyglądała mu się niemal nieśmiało. Wydawał jej się niesłychanie przystojny w przyćmionym świetle powozu. Miał na sobie nienagannie skrojony wieczorowy surdut oraz wyszywaną kamizelkę, która swą barwą idealnie harmonizowała z jej własnym ubiorem.

Podejrzewała, że przed wyjazdem znów uraczył się jedną lub

dwiema szklaneczkami wina. Jego nos i policzki były zdecydowanie zbyt zaróżowione, jak na zwykłą oznakę dobrego humoru. Tym razem jednak trunek bynajmniej mu nie zaszkodził. Przeciwnie, pozbawił jego rysy charakterystycznej zawziętości i uczynił go znacznie sympatyczniejszym kompanem. Gdyby tylko lord Edward zechciał taki pozostać... Z łagodnym uśmiechem i burzą blond włosów byłby przykładowym angielskim dżentelmenem, a jako taki z pewnością pomógłby jej zapomnieć o Anthonym. Kto wie, może nawet potrafiłby ją uszczęśliwić.

Odczekawszy swoje w kolejce powozów przy Via Alibert, dotarli w końcu przed wejście Teatro delie Dame wznoszącego się przy Piazza del Popolo. Diana wyjrzała niecierpliwie przez okno i spojrzała na tłum, który zgromadził się przed drzwiami opery.

Było dość chłodno, więc niektórzy panowie i panie włożyli na wieczorowe stroje czarne peleryny, których poły rozchyłały się na wietrze, ukazując satynowe podszycia. Uliczni przekupnie pokrzykiwali w niebogłose, zachwalając swe towary, zaś śpiewacy, dla których zabrakło miejsca na scenie, ustawili się po obu stronach wejścia z kapeluszami u stóp, by wyśpiewywać swe ballady. Odźwierni prześcigali się, dopadając powozów, nie tyle by pomóc ich pasażerom, ile by otworzyć drzwiczki i domagać się zapłaty.

Diana skinęła z wdzięcznością Edwardowi, który asystował jej podczas wysiadania z pojazdu. Dopilnował, by nie zaplątała się w spódnice i z gracją stanęła na chodniku. Gdy przeciskali się przez napierającą ciżbę żebraków, posłyszała pogwizdywania oraz okrzyki podziwu pod swym adresem.

- Przykro mi, iż musiała pani tego doświadczyć, milady. Dame taką jak pani należy chronić przed prostytutkami. W Londynie z pewnością by do tego nie doszło, ale cóż, jesteśmy w Rzymie.

- W rzeczy samej - odparła, rozglądając się po rozjaśnionym światłem świec westybulu. Od razu zachwyciły ją ozdobne freski na ścianach oraz ogromne, wieloramienne kandelabry, jakich nie widziała nigdzie w Anglii. - To zaiste piękne miasto.

- To pani obecność dodaje mu urody, milady. - Uśmiechnął się,

wyraźnie rad z własnej galanterii. - Teatr został powołany do życia w początkach naszego stulecia specjalnie na karnawał przez niejakiego Antonia d'Aliberta.

- Antonia? - powtórzyła niemądrze, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi.

- To włoski odpowiednik Anthony'ego, milady - wyjaśnił spokojnie Edward. - Plany wykonał Ferdinando Fuga.

Trzeba przyznać, iż budynek wzniesiono w iście rekordowym tempie.

Uśmiechnęła się, by pokryć zdenerwowanie. Och, jakże mogła być taka bezmyślna.

- Znów mnie pan zaskoczył. Sądziłam, iż pańska wiedza ogranicza się do dziejów starożytnych.

- Zasięgnąłem informacji o operze specjalnie po to, żeby zrobić na pani wrażenie - odparł, mrugając okiem. - Wygląda dziś pani zachwycająco. Bardzo bella.

Odprężyła się, uszczęśliwiona komplementem.

- Chciał pan powiedzieć bellissima - poprawiła odruchowo. - Tak się mówi po włosku „bardzo piękna”.

- Gdzie się pani tego nauczyła? - zdumiał się. - Zapewne zasłuchiwała się pani w okrzyki tych obdartusów przed teatrem, kiedy obok nich przechodziliśmy?

- Nie wstyd panu podejrzewać mnie o takie rzeczy?! - wykrzyknęła, uderzając go lekko w ramię. Dzięki temu uniknęła odpowiedzi wprost na zadane jej pytanie. Zdradziła się już dwa razy! Przypomniała sobie z poczuciem winy słowa Antonia, który przewidział, iż zagości w jej myślach na stałe, mimo że bardzo będzie się starała z tym walczyć. Niech go piekło pochłonie za to, że miał rację, a ją za to, że jest taka podatna na jego wdzięk.

Wskazała wachlarzem przeciwległy kraniec holu.

- Są już panna Wood i pański wuj. Chodźmy, nie chciałabym zgubić ich w tym ferworze.

Ruszyli wraz z tłumem i zaczęli wspinać się po wąskich schodach. Ich łoża znajdowała się w pierwszym rzędzie, tuż przy scenie. Lord

Patterson dokonał wielkiej rzeczy, zdobywając te miejsca. Inni mogli im tylko pozazdrościć.

Diana wychyliła się za barierkę, pragnąc obejrzeć wewnątrz w całej okazałości. Dostrzegła cztery szpalery wystawnych foteli wyściełanych czerwonym pluszem i bogato zdobionych złoceniami połyskującymi w blasku świec. Fasady balkonów udekorowane były przedstawieniami scen mitologicznych.

Nieco tańsze, wyżej umieszczone łóżka tętniły życiem, zewsząd dobiegały wesołe pokrzykiwania, śmiechy oraz odgłosy ożywionych rozmów. Raz po raz słyhać było nawet wznoszenie toastów.

Na najniższym poziomie zamiast krzesel mieściły się długie ławy przeznaczone dla pospółstwa. Większość była już zajęta przez czeladników, kupców, żeglarzy oraz garstkę kobiet lekkich obyczajów, które bynajmniej nie kryły swej profesji. Ich nieprzystojnie obnażone biusty w wydekoltowanych gorsetach rzucały się w oczy z oddali. Nie zabrakło również zgniłych pomidorów. Gawiedź trzymała je w pogotowiu, by ewentualnie obrzucić nimi marnego śpiewaka.

- Proszę wracać na miejsce, lady Diano - upomniała panna Wood swą podopieczną, zdejmując jej z pleców pelerynę. - Nie uchodzi wystawiać się w ten sposób na widok publiczny.

- Ale jakże mam inaczej wszystko obejrzeć? Przecież po to przybyliśmy do Rzymu, czyż nie? By oglądać miejsca, jakich nigdy nie zobaczymy w Anglii.

- Chwała Najwyższemu za to, że uchował naszą ojczyznę przed niektórymi widokami - odparła guwernantka, spoglądając w dół z grymasem obrzydzenia. Ująwszy Dianę za ramię, siłą posadziła ją w fotelu. - Stąd też wiele panienka zobaczy, i to bez uszczerbku dla swej godności.

- A cóż to? - wykrzyknął Edward, gdy dwóch mężczyzn w liberiach wniosło do ich łóżki stolik i poczęło nakrywać go z wprawą serwetkami, sztućcami oraz kieliszkami.

- To być wieczerza, mon signore - odparł kelner z unizonym ukłonem i szerokim uśmiechem, który miał im zapewne

wynagrodzić jego niedoskonałą angielszczyznę. - Wieczera i wino. Mnóstwo wino. Per favore, si? Rosso vino, si?

- Rosso vino... czerwone wino! - uradował się lord Warwick. - Cóż za przedni pomysł! Kolacja podczas spektaklu! Jaka szkoda, że londyńskie teatry nie oferują posiłków. Rosso vino, cameriere, si, si, tak, tak, dużo wina!

Kelner i służący wycofali się z ukłonem, by zrealizować zamówienie, Edward tymczasem opadł na fotel obok Diany.

- Pewien jesteś, iż to rozsądne? - zwrócił się do niego z zatroskaniem wuj. - Tuszę, iż pamiętasz naszą niedawną rozmowę na temat trunków? Złożyłeś mi pewną obietnicę.

- Naturalnie, że pamiętam, drogi wuju. Nie sędzę jednakowoż, by nasza dysputa czy też moja obietnica znajdowały zastosowanie przy tak radosnej okazji. Proszę mi zdradzić, milady - zaczął, przysunawszy się z krzesłem nieco bliżej Diany, po części po to, by móc całkowicie ignorować krewnego. - Jest pani zwolenniczką sztuki operowej?

- Widziałam do tej pory jedynie dwa przedstawienia - wyznała w odpowiedzi. - Zapewne uzna mnie pan za osobę mało światową czy wręcz zacofaną wieśniaczkę, mój ojciec jednak żywi głębokie przekonanie, iż teatr, w tym opera, nie jest odpowiednią rozrywką dla młodych dam.

- Jego wysokość musi być zaiste rozumnym człowiekiem - odparł, przyjmując z rąk kelnera kieliszek wina. - Nie zawaham się powiedzieć, iż jest także doskonałym rodzicem. Opera nie stroni, niestety, od niuansów nieprzyjemnych dla oka i ucha wrażliwych niewiast.

Diana odwróciła od niego wzrok i zerknęła ku scenie.

- O, proszę spojrzeć, zaraz się zacznie!

- Na prawdziwy początek trzeba będzie jeszcze trochę poczekać - odrzekł, sącząc z lubością trunek. - Może pani obserwować, ręczę jednak, iż na razie nie zobaczy pani niczego godnego uwagi.

Skończywszy stroić instrumenty, orkiestra rozpoczęła grać uwerturę. Na scenie pojawiło się około pół tuzina tancerzy

odzianych w historyczne tuniki oraz dziwaczne nakrycia głowy. Ich nieskoordynowane pląsy niewiele miały wspólnego z rytmem muzyki. Wkrótce rozległy się prześmiewcze gwizdy oraz pohukiwania i balet czmychnął za kulisy pod gradem przejrzałych pomidorów.

- To nie było zbyt miłe - zauważyła lady Farren, podczas gdy sprzątacze usuwali z podłogi czerwoną breję. - Biedacy. Musieli czuć się okropnie.

- Takie mieli zadanie - wyjaśnił Edward. - Trzeba przyznać, iż wypełnili je celująco. Prowokując pospólstwo do ataku, pozbawili je znacznej części amunicji. Dzięki temu nie będzie miało czym szturmować śpiewaków.

- Jakże to? - zapytała zgorszona. - Chce pan powiedzieć, że wolno im napadać w ten sposób na artystów?

- Nie inaczej. Każdy rzymianin ma prawo mienić się krytykiem i swobodnie z tego przywileju korzysta. Zważywszy jednak, iż dziś w roli głównej wystąpi wielki signor Dandolo, nie sądzę, byśmy byli świadkami kolejnej pomidorowej szarży.

Diana zwróciła ku niemu twarz.

- Nawet ja słyszałam o Alessandro Dandolo. - Jej podekscytowanie sięgnęło zenitu. - Miał pan już kiedyś okazję podziwiać go na scenie?

- Tylko raz. W ubiegłym sezonie, gdy przybył z recitalem do Florencji. Farinelli i Marchesi to przy nim niemal amatorzy. Klnę się, że włosy niemal stanęły mi dęba. Jego niebiański głos robi nieopisane wręcz wrażenie. Człęk gotów zapomnieć, iż słucha ułomnego nieszczęśnika.

- Ułomnego nieszczęśnika? Ponoć jedynie papież żyje w tym kraju w większym zbytku niż signor Dandolo.

- To pani nie wie? - Zbliżywszy się, Edward zniżył głos niemal do szeptu, jakby zamierzał powierzyć jej wielki sekret. Na policzki wystąpiły mu jeszcze większe niż wcześniej rumieńce, a wypity trunek czuć było także w jego ciężkim oddechu. - Dla głosu pozbawiono go w połowie męskości. Uczyniono z niego eunucha. Tutaj określa się to mianem castrato.

Panna Farren domyślała się, w czym rzecz. Pochodząc ze wsi, wiedziała mniej więcej, w jaki sposób dokonuje się wałaszenia ogierów. Podobne okrucieństwo względem ludzi było jednak dla niej nie do pojęcia.

- Nie bardzo rozumiem, milordzie - rzekła z wolna. - Jeśli signor Dandolo jest...

- Och, to proste - przerwał jej bezmyślnie Warwick. - W Rzymie to dość powszechna praktyka. Chłopiec śpiewa niczym anioł i nim się obejrzy, oddają go siłą w ręce chirurga, krępują mu ręce i nogi, poją do nieprzytomności, by nie był świadom, że pod nóż idzie jego...

- Dość tego, Edwardzie - przerwał mu ostro wuj. - Powinieneś przeprosić lady Dianę za swe nieprzemyślane słowa.

Młodzieniec otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- Przecież lady Farren sama mnie o to zapytała, wuju. Pragnąłem jej jedynie wyjaśnić.

- Wybaczam panu, milordzie - wtrąciła pospiesznie Diana, cała w pąsach. - To prawda, wielbny ojczy, istotnie poprosiłam pana siostrzeńca o wyjaśnienie.

- Mógł to pani wyłożyć w bardziej oględny sposób - zaprotestował wielbny Patterson. - Nie powinien był zapominać, iż rozmawia z damą. Rzymscy kastraci to prawdziwi nieszczęśnicy. Okaleczeni za młodu wyłącznie po to, by ich głosy nie straciły swego cudownego brzmienia.

- Jakież to wszeteczne barbarzyństwo! - wykrzyknęła zaszokowana guwernantka. Na jej obliczu malowało się takie samo oburzenie, jak wcześniej na twarzy Diany. - Cóż za nie-wysłowione okrucieństwo!

- Zaiste, panno Wood. Ma pani słuszność. Nie pojmuję, czemuż ci sami „święci” ludzie, którzy zabraniają pojawiania się na scenie kobietom, zezwalają na ten budzący obrzydzenie proceder. Co gorsza, czynią to jedynie po to, by było komu odśpiewywać arie rozpisane na damskie głosy. Wprawdzie najśłynniejsi eunuchowie są szczerze wynagradzani za swe poświęcenie, ale czyż umniejsza to ich kalectwo, czyż usprawiedliwia to nikczemne okrucieństwo tego

zwyrodniałego obyczaju? Popieranego zresztą przez Watykan. To istny pakt z diabłem.

- Dziękuję, wielebny ojciec - odezwała się Diana, zdumiona i do głębi wstrząśnięta tym, co usłyszała. - Wdzięczna jestem panu za oświecenie nas w tej kwestii w tak powściągliwy sposób.

Lord Patterson skinął poważnie głową, orkiestra tymczasem uderzyła w werble, a z widowni rozległy gromkie się brawa.

- Sama będzie pani mogła ocenić to, o czym rozmawialiśmy - dodał, przekrzykując oklaski. - Oto i słynny Dandolo we własnej osobie.

Diana spojrzała na scenę i ku swemu ogromnemu zdumieniu zamiast mężczyzny ujrzała piękną kobietę, z dorodnymi piersiami i rozemocjonowanym obliczem. Każdy jej gest, każdy ruch i szelest spódnic wydawały się ucieleśnieniem kobiecego wdzięku.

- Uratowała mnie pani przed wujem - szepnął Edward. - Ujęła się pani za mną tak ofiarnie. Doprawdy nie wiem, jak mam wyrazić swą wdzięczność.

Nie odpowiedziała, bo też żadna odpowiedź nie była w tej sytuacji stosowna.

Dandolo uniósł dłoń, jakby kogoś przywoływał, po czym otworzył usta do śpiewu.

Głosu, który dobywał się z jego gardła, nie dało się z niczym porównać. Te dźwięki były połączeniem anielskiej słodyczy z niesłychaną, ponadludzką mocą. Nie musiała rozumieć obco brzmiących słów, by uchwycić przesłanie arii, która zdawała się pojmować jej rozterki, dostrzegać jej rozdarcie pomiędzy dwoma mężczyznami, dwiema odmiennymi drogami. Każda z tych ścieżek wydawała jej się na przemian słuszna lub nie do przyjęcia, jej rozchwiane uczucia zmieniały się niczym w kalejdoskopie. Publiczność westchnęła i zamarła w niemym zachwycie, jakby zapragnęła bez reszty oddać się we władanie rzadkiego talentu śpiewaka. Lady Farren wraz z innymi poddała się emocjom, które rozpierały jej duszę.

-Nie zapomnę tego, Dianio - mamrotał jej przy uchu Edward,

rozpraszając ją swymi natarczywymi słowami. - To, co dla mnie przed chwilą uczyniłaś... Nie mógłbym żądać od ciebie więcej.

Serce dziewczyny wyrywało się, by doświadczyć wielkiej miłości, o jakiej opowiadała pieśń Dandola. Puste zapewnienia Warwicka tylko ją irytowały.

On jednak z uporem kontynuował niewczesne umizgi. W pewnej chwili położył jej rękę na kolanie i odgarnąwszy spódnicę, bez ceremonii wsunął jej dłoń między nogi. Zdumiona, zamierzała spiorunować go wzrokiem, lecz w tej samej chwili uzmysłowiła sobie, iż znów odnalazł ją Antonio.

Wiedziona instynktem, spojrzała na przeciwległą, zaciemnioną lożę. Nie myliła się. Siedział jak zwykle odziany w czerń, pogrążony w głębokim cieniu. Właściwie widoczna była tylko jego odcinająca się od reszty ubrania biała koszula. Wyczuła jego obecność, zanim go zobaczyła. Jak długo tam jest? - zastanawiała się, czując, że serce za moment wyskoczy jej z piersi. - Od jak dawna mi się przygląda?

Niewysłowiona tęsknota w głosie Dandola zaczęła raptem przemawiać do niej ze zdwojoną mocą. Odzwierciedlała jej własne pragnienia, którym dotąd tak uparcie próbowała zadać kłam. Antonio doskonale o tym wiedział. Zdawał się wiedzieć o niej wszystko. Wychylił się lekko i dotknąwszy dłonią ust, posłał jej pocałunek.

Poderwała się z miejsca tak gwałtownie, że jej fotel niemal się wywrócił.

- Och, milady, nie musi pani wstawać! — wykrzyknął Edward. Natychmiast uciszyły go oburzone syki widowni.

- Muszę... muszę na moment wyjść - zająknęła się Diana, kierując się ku drzwiom.

- Zaniemogła jaśnie panienka? - zapytała zatroskanym szeptem panna Wood. - Coś panience dolega?

- Proszę się nie martwić, niebawem wrócę. Zrobiło mi się duszno. - Podtrzymując spódnicę, wybiegła na korytarz. Ryzykowała wiele. Nie miała jednak wyboru. Musiała zobaczyć się z Antoniem i powiedzieć mu, by raz na zawsze...

Odnalazł ją pierwszy.

Ani przez chwilę nie wątpił, że jego plan się powiedzie i ujrzy ją w operze. Był również pewien, że nie będzie w stanie trzymać się od niego daleka. Jakże by mogła, skoro on nie potrafił? Czekał na nią przy osłoniętym kotarą wejściu na pusty balkon. Gdy przechodziła obok, wciągnął ją do środka i zamknął w ramionach. Łoża tonęła w ciemnościach. Z oddali sączyło się jedynie wątłe światło świec ze sceny. Nikt nie mógł ich teraz zobaczyć. Nie widzieli nawet siebie nawzajem. Diana nie odezwała się, on również milczał jak zakłęty, pozostawiając sprawy w rękach Dandola. Nawet angielska dziewczina nie oprze się nieziemskiej mocy i zmysłowości jego głosu.

Wyszła mu naprzeciw więcej niż ochoczo. Wyczuł to już w chwili, gdy uniosła ku niemu twarz i rozchyliła wargi. Ich usta spotkały się. Z zapamiętaniem i desperacją odpowiadała na jego pieszczoty. Naparł na nią, przyciskając mocno do ściany. Pragnął, by poczuła na sobie jego ciężar. Jakież było jego zdziwienie, gdy przyłgnęła do niego. Anthony pogłębił pocałunek, dając jej do zrozumienia, że to on jest panem sytuacji. Zareagowała, przywierając do niego jeszcze mocniej i wbijając mu palce w ramiona.

Uświadomił sobie, że gdyby tylko zechciał, mógłby ją posiąść tu i teraz i wygrać swój zakład.

Oderwała się od jego warg i oparła mu dłonie na torsie.

- Muszę wracać - szepnęła ochrypłym z emocji głosem. Oddychała ciężko i nierówno. - Przyszłam tylko po to, by ci powiedzieć, że nie możemy się więcej widywać.

- Nieprawda. - Wciąż przyciskał ją do ściany i zauważył, że nie uczyniła najmniejszego gestu, aby się wyswobodzić. - Nie potrafiłabyś trzymać się ode mnie z daleka, nawet gdyby zależało od tego twoje życie.

- Nie! To łgarstwo! - zaprotestowała porywczo. Jej oczy płonęły żywym ogniem, choć, jak podejrzewał, ten żar niewiele miał wspólnego z gniewem. Odepchnęła go, próbując się wyrwać. - Puść mnie. Puszczaj albo zaraz zacznę mnie szukać.

- Nie tak prędko, cara. Nie tak prędko.

- Jeśli lord Edward dowie się...

- Niechaj piekło pochłonie lorda Edwarda! Na cóż on ci się zda? - Nim zdążyła zaproponować, odwrócił ją i przylgnął do jej pleców, ścisnąwszy jej talię niczym żelazną obręczą. - Powiedz, Diano, czy lord Warwick potrafi sprawić, iż krew zaczyna szybciej krążyć ci w żyłach? - szeptał jej wprost do ucha, wiedząc, że czuje na skórze jego urywany oddech.

- Jest dżentelmenem!

- Ach, więc tego właśnie pragniesz? Dżentelmena?

- Gdyby tak było, nie pragnęłabym ciebie, nieprawdaż? - Odwróciła głowę, by spojrzeć na niego szyderczo.

- Słuszna uwaga - zgodził się, całując żyłkę pulsującą na jej smukłej szyi. - Ale czy dżentelmen pokroju lorda Warwicka umiałby całować cię w ten sposób? Wątpię.

- Tego nie wiesz. - Podniecenie sprawiało, że jej głos nabierał nieco ostrzejszych tonów. Wciąż próbowała wyswobodzić się z jego uścisku. - Nie możesz tego wiedzieć.

- A jednak wiem, cara. I ty również to wiesz. W przeciwnym razie nie przyszłabyś tu do mnie. - Gdy znów ją pocałował, wygięła się instynktownie, poddając się czemuś, czego, jak twierdziła, wcale nie chciała. Anthony wsunął jej rękę za dekolt i dotknął delikatnych piersi. Wypełniały mu dłoń, jakby były stworzone specjalnie dla niego. Diana wciągnęła głośno powietrze. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa i musiał ją przytrzymać, by nie upadła. Przycisnął jej biodra do swoich, by poczuła jego żądzę.

- Mógłbym kochać cię teraz, Diano - szepnął szorstko.

- Dannazione, mógłbym dać ci dokładnie to, czego pragniesz, i po co zawsze będziesz do mnie wracała. Zostaliśmy stworzeni, by to dzielić.

- Tak, Antonio - załkała, zaciskając powieki. - Och, tak, proszę! Zrób to!

Mógłby ją wziąć w tym miejscu na sto różnych sposobów, jakie podsuwała mu wyobraźnia. I nikt nie odważyłby się go za to winić. Sama go przecież błagała. Za bardzo ją jednak lubił i szanował, by

potraktować tak podle, i to z powodu niedorzecznego zakładu. Pragnął jej, lecz kiedy po nią sięgnie, a nie wątpił, że prędzej czy później to nastąpi, chciał to zrobić, jak należy. Nie zamierzał się spieszyć. Przeciwnie, marzył o tym, by smakować jej powoli i delectować się nią jak najdłużej. Tylko w ten sposób da jej rozkosz, której nigdy nie zapomni. Wówczas nie zdoła zapomnieć także i o nim. Wraz z ciałem pragnął posiąść również część jej duszy.

Zagarnąwszy jej spódnicę, zdecydowanym gestem podciągnął je w górę. Nie opierała się, gdy odsłonił jej uda i rozchylił nogi.

Walcząc, by utrzymać w ryzach własne ciało, zaczął ją pieścić, odnajdując najczulszy zakątek kobiecości. Diana wita się w jego ramionach, dysząc i pojękując. Jej krzyki niknęły w dźwiękach werbli i cymbałów, by po chwili umilknąć, gdy ostatni raz wygięła się w łuk, po czym opadła bez sił, opierając się o niego całym ciężarem.

- Aj, carissima. - Wypuścił jej halki, pozwalając, by opadły na ziemię, i odwróciwszy ją twarzą do siebie, zamknął w objęciach. Kompletnie odrętwiała, nie była w stanie ustać o własnych siłach. Podejrzał, że był pierwszym mężczyzną, który podarował jej taką rozkosz. Zimnokrwisty Warwick z pewnością nie wiedziałby, jak się do tego zabrać. - Mówiłem ci, że jesteś mi przeznaczona.

Wyplątała się z jego rąk i odsunęła na bezpieczną odległość. Doprowadzając do ładu ubranie, wciąż chwiała się niepewnie na nogach. Wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić, po czym jeszcze raz zaczerpnęła tchu, tym razem z zaciśniętymi powiekami. Widział ją dość wyraźnie w blasku świateł. Nieważne, co zamierzała mu powiedzieć, choćby nawet odsądziła go od czci i wiary, i tak zdradziłaby ją twarz. Sprawiała wrażenie zaspokojonej, a zarazem nienasyconej. Usta nabrzmiały jej od pocałunków, a powieki ciążyły wspomnieniem niedawnej rozkoszy. Większość mężczyzn oddałaby wszystko, by ich kobiety tak właśnie wyglądały rankiem, tuż po przebudzeniu.

- Za to, co mi zrobiłeś, mój ojciec kazałby cię wtrącić do lochu.

- Nie zawahałbym się zrobić tego jeszcze raz, Diano. Tego i wielu innych rzeczy. - Roześmiały się, gdyby nie napięcie, które nadał

czuł całym sobą. - I niestraszny mi twój ojciec.

- Rozprawiał się już z wieloma, którzy dopuszczali się znacznie mniej haniebnych czynów. Zsyłał ich do odległych kolonii i skazywał na życie na wygnaniu.

- To jest Rzym, nie Anglia. Nie przeleknę się twego ojca.

- Ja również się go nie boję - wyznała raptem, niepomiernie go zaskakując. Uniosła dumnie podbródek. - To, co się wydarzyło... Sama cię pocałowałam i błagałam, byś... byś mnie... uszczęśliwił, prawda?

- To nie grzech prosić o coś, co sprawia przyjemność. Przygryzła z namysłem wargę.

- Ale kiedy my... Och, Boże, miej mnie w swej opiece, to koniec pierwszego aktu, mam rację?

Orkiestra zakończyła utwór fanfara, a śpiewacy kłaniali się nisko publiczności przy akompaniamencie gromkich braw.

- Nie mogę dopuścić, by mnie tu z tobą znaleźli - oznajmiła z wyraźnym przestraczem. - Muszę natychmiast wracać.

Odwróciła się z zamiarem odejścia, lecz chwycił ją za ramię.

- Kiedy cię znów zobaczę, cara? Następnym razem odwiedź mnie w mojej willi na wzgórzach. Spędź ze mną noc, a dam ci przyjemność, jakiej nigdy nie zaznałaś.

Splonęła rumieńcem i spuściła wzrok. Pojawszy, co jej proponował, zrozumiała również, jak wiele musiałaby zaryzykować, by sięgnąć po zakazany owoc.

- Nie, Antonio. Wiesz, że to niemożliwe.

- Przeciwnie. Jestem pewien, że to zrobisz. Nie dziś i nie jutro, ale już wkrótce. - Uniósł jej dłoń do ust i czule ucałował.

Nie obawiał się pozwolić jej odejść, ponieważ był przekonany, że niebawem ujrzy ją ponownie. Prędzej czy później będzie należała do niego.

- Mam w Rzymie zaprzyjaźnionego medyka - rzekł wielebny Patterson. - Mogę go z całym przekonaniem polecić. To Szkot. Pobierał nauki w Edynburgu. Poślę po niego natychmiast, gdy wrócimy na kwaterę.

- Modłę się, by nie okazało się to rzymską febrą - zatroskała się panna Wood, gładząc dłoń podopiecznej.

- Nic mi nie dolega - zapewniła ze znużeniem Diana. - Może pani być spokojna.

Opatulili ją pieczołowicie w pelerynę, jakby była figurką z cennej porcelany, po czym, usadziwszy w powozie, nakryli pledem niemal po czubek głowy. Zachowywali się w ten sposób od chwili, gdy wróciła w antrakcie do łoży, a opiekunka niemal rzuciła jej się w ramiona ze łzami ulgi.

Boże Przenajświętszy, rozmyślała panna Farren, targana wyrzutami sumienia. Jak zareagowałaby guwernantka, gdyby знаła prawdę? Co powiedzieliby lord Warwick i wielebny Patterson, gdyby widzieli ją kilka minut wcześniej z Antoniem? Postąpiła jak ostatnia ulicznica. Co by sobie o niej pomyśleli tak czcigodni dżentelmeni, słysząc jej krzyki, widząc, jak błaga o własną zgubę, jak pozwala nieznanemu mężczyźnie na takie swawole?

- Moim zdaniem - zabrał głos Edward, zwracając się do wuja - lady Dianie mogła zaszkodzić muzyka. Być może była nazbyt hałaśliwa dla jej delikatnej natury.

- Nie tyle za hałaśliwa, ile nazbyt ekspresyjna - zgodził się po części duchowny. - Głos Dandola obdarzony jest ogromną magią. W dużych dawkach może zadziałać niczym nadmiar trunku, zwłaszcza na osoby o wrażliwej duszy.

- Teraz rozumiem, dlaczego jego książęca mość postanowił zabronić jaśnie panience częstych wizyt w operze! - wykrzyknęła panna Wood. - Moje biedactwo. Przedstawienie okazało się nadmiernym wstrząsem dla niewinnych oczu i uszu panienki.

Diana zacisnęła powieki, pozwalając, by odczytali to jako odpowiedź. Niech myślą, co im się żywnie podoba. Owszem, silnie przeżyła występ Dandola, lecz jego nieziemski głos żadną miarą nie mógł równać się z tym, jak na nią działał Antonio. Wystarczyło, że posłał jej w powietrzu pocałunek, wypowiedział jej imię, a rozpływała się w niebiańskiej słodyczy. Jedno słowo z jego ust warte było całych poematów innych mężczyzn. Jak to możliwe, że z

Edwardem mogła spędzać długie godziny i nie czuć nawet namiastki tego, co czuła przy tamtym? Sam jego widok sprawiał, że dla namiętności gotowa była odrzucić nie tylko honor i rozsądek, lecz również o wiele bardziej odpowiedniego zalotnika.

Mogłaby rozpamiętywać jego dotyk i pocałunki w nieskończoność. Dzięki niemu po raz pierwszy w życiu poczuła tak wspaniałą, niczym niezmaconą a zarazem rozwiązłą radość istnienia. Żaden inny mężczyzna nie ofiarował jej dotąd tak cennego daru. Ci nieliczni, którym pozwalała na pocałunki i inne niewinne pieszczoty, zawsze, bez wyjątku, przedkładali swoją przyjemność ponad jej odczucia.

Czy to, co zrobił Antonio, było wyrazem trwałej miłości, czy jedynie zwykłej żądzy? Sprawił, że zapomniała o Londynie i legionie młodych dżentelmenów, których miała tam nadzieję spotkać. Prawdę mówiąc, przestała zważać na kogokolwiek oprócz niego. Wciąż powtarzał, iż są sobie przeznaczeni. A jeśli mówił prosto z serca? Może to nie była jedynie czcza paplanina mężczyzny, który próbuje uwieść kobietę? Co, jeśli się nie mylił?

Nic o nim nie wiedziała. Nie powiedział jej nawet, czy para się jakąś pracą, czy też utrzymuje z ojcowizny. Całe życie spędził w Rzymie. Nie miał w sobie nic z Anglika. Wspominał, że jest właścicielem willi i pałacu, lecz równie dobrze mógł być żonatym łajdakiem z gromadką dzieciaków, który dla zwykłej uciechy wodzi za nos takie jak ona głupiutkie gąski.

Jeśli zostało jej choćby odrobinę rozumu, nigdy więcej się z nim nie zobaczy. Lecz jeśli jest już za późno? Jeśli pokochała prawdziwą, wieczną miłością najmniej odpowiedniego mężczyznę na świecie?

- Jestem, pewien, że jutro poczuje się pani znacznie lepiej, milady - pocieszał ją Edward. - Wiem z własnego doświadczenia, iż solidny sen działa jak najlepszy balsam.

Diana otworzyła oczy i spojrzała na jego przystojną twarz i nieco rozpaczliwy uśmiech. Niespodzianie olśniła ją myśl, że jest przerażony, ponieważ wydaje mu się, iż zaniemogła za sprawą jego niezdarnej pieszczoty. Ledwie dotknął jej kolana, a sądził w swej

naiwności, że uciekła właśnie z tego powodu. Zapewne obawiał się również, że dziewczyna może zdradzić go przed wujem i guwernantką. Biedny Edward! Jego nieuzasadnione lęki z powodu byle błahostki niepomiarne by ją ubawiły, gdyby nie okoliczności. Uśmiechnęła się, nie chcąc przysparzać mu niepotrzebnych zmartwień.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się lord Patterson, gdy ich powóz zatrzymał się na Piazza di Spagna. - Każę zaraz posłać po doktora Shawa.

- Poproszę służbę, by przygotowali panience gorącą kąpiel - rzekła panna Wood. - Tylko w ten sposób przepędzimy przeziębienie.

Po chwili oboje zniknęli w gospodzie, zostawiając ją z Warwickiem, który pomógł jej wysiąść.

- Och, lordzie Edwardzie - przypomniała sobie, gdy znaleźli się na progu. - Zostawiłam w powozie wachlarz. Czy mógłby go pan dla mnie odzyskać?

Skłonił się posłusznie i wrócił na ulicę. Czekała na niego przy drzwiach, gdy nagle z cienia wyłonił się mały chłopiec. Jeszcze jeden żebrak, pomyślała smutno, sięgając do kieszeni po monetę. Nim zdążyła pojąć, co się święci, malec wcisnął jej do ręki opieczętowany papier i czmychnął, nie odebrawszy zapłaty.

Panna Farren spojrzała na list. Nie było nazwiska adresata ani nadawcy. Musiał pochodzić od Antonia. Któż inny wręczyłby jej przesyłkę w ten pospieszny i potajemny sposób? Wsunęła kopertę do kieszeni, odkładając odczytanie wiadomości na później.

Rozdział siódmy

- Powiadam ci, wuju, że panna o mnie nie dba - stwierdził grobowym tonem Edward następnego dnia przy śniadaniu. - W każdym razie nie na tyle, by przyjąć oświadczenia.

- Pleciesz, drogi siostrzeńcze - odrzekł zniecierpliwiony lord Patterson, pieczołowicie odmierzając pół łyżeczki cukru, by posłodzić herbatę. - Swoim zwyczajem rozsiewasz ponurą aurę pesymizmu. Lady Diana nie dała ci ku temu najmniejszych powodów. Nie zauważyłem, byś choć raz popadł w niełaskę.

- Cóż, może przyglądał się wuj niezbyt uważnie. Dla mnie to jasne jak słońce na niebie. - Panicz niemrawo rozsmarował na grzance konfiturę. - Nic a nic się do mnie nie odzywa, chyba że to ja zagadnę ją pierwszy.

Duchowny zachichotał rubasznie, rozłożywszy przed sobą płachtę gazety.

- Wielu mężów uważa tę akurat cechę za błogosławieństwo.

- Gdy się do mnie uśmiecha, czyni to wyłącznie z uprzejmości. Bynajmniej nie dlatego, że raduje się moim widokiem.

- Płochliwość to rzecz nie do przecenienia u młodej damy, mój drogi. Córce księcia nie uchodzi okazywanie niezbyt wielkiej śmiałości. Nie dziwota, że odnosi się do ciebie z rezerwą.

- Rzekłbym raczej, iż jest w stosunku do mnie oziębła -oznajmił Edward, przypomniawszy sobie, jak podskoczyła niczym na rozżarzonych węglach, gdy w końcu ośmielił się jej dotknąć. -. Chłodna jak styczniowy poranek.

Wielebny Patterson odłożył gazetę i spojrzał na młodzieńca znad binokli.

- Możesz do woli mnożyć obiekcje i wymyślać przeszkody, lecz na nic ci się to zda. Masz do czynienia z damą, a te kierują się własną logiką. Lady Diana oczekuje, iż będziesz ją należycie adorował i wytrwale o nią zabiegał. Zapewne pragnie poczuć się zdobywana. Nie spodziewaj się, że siądzie ci na kolana niczym dziewczka. Musisz

włożyć w te zaloty nieco więcej starań. Okaż jej trochę rycerskości. To jedyna drogą do celu.

- Jak mniemam, celem nazywasz przejęcie jej majątku?

- Miałem na myśli i pannę, i posag. Lady Farren jest urodziwą młodą kobietą, Edwardzie. Dysponuje wprawdzie okazałą fortuną, zważ jednakowoż, iż małżeństwo to uświęcony przez Boga sakrament. Nie pobłogosławię tego związku, dopóty nie przekonasz mnie, iż żywisz dla przyszłej żony prawdziwe uczucie.

- Żądasz ode mnie, bym ją pokochał?

- Owszem, miłość byłaby ze wszech miar wskazana. Jestem jednak świadom, iż czasem trzeba na nią trochę poczekać. Wystarczy, że zasiejesz między wami ziarno wzajemnego szacunku. To wystarczająco dobry prognostyk na wspólne lata.

Edward westchnął donośnie, atakując nożem konfiturę.

- Może powinien wuj zacząć prawić podobne kazania także jej. Nie rozumiem, dlaczego tylko ja muszę to znosić.

- Panna Farren nie jest ze mną spokrewniona - odparł nieobecny głosem duchowny. - Ty natomiast jesteś, niestety, moim siostrzeńcem. Z woli twej matki czuję się za ciebie odpowiedzialny.

- Wydaje mi się, że ona widuje się z innym mężczyzną - zasugerował Warwick.

- Lady Diana? - Lord Henry wydawał się rozbawiony tym absurdalnym przypuszczeniem. - Panna Wood zbyt pilnie jej strzeże.

- Przy jej urodzie nie zdziwiłbym się, gdyby uganiała się za nią cała horda mężczyzn - odparł Edward z westchnieniem.

- Tym bardziej powinieneś kuć żelazo, póki gorące. Najwyższa pora uderzyć w konkury. Rozmawialiśmy z paniami p zwiedzaniu katakumb. W jakimże innym miejscu łatwiej wyjść na bohatera? W ciemnościach damy robią się bojaźliwe, gotowe rzucić się człękowi w ramiona po ratunek przed domniemanymi potworami.

Lord Warwick nie miał najmniejszej ochoty schodzić na darmo do zaciemnionych lochów. Być może wuj i guwernantka dali się wczoraj zwieść Dianie. Jego jednak nie zdołała oszukać. Nie była wcale chora i nie trawiła jej gorączka. Dopadła ją raczej senność po rozpustnych

figlach, jakim niewątpliwie oddawała się podczas swej nieobecności w łóżku. Zbyt dobrze znał życie, by nie połapać się, w czym rzecz. Nie dziwota, że całą drogę milczała potem jak zaklęta.

- To nie takie proste, wuju - odezwał się po krótkim milczeniu. - Skoro mam ją poprosić o rękę, muszę mieć pewność, że nie rośnie w niej znajda innego mężczyzny.

- Edwardzie! - zagrział z oburzeniem wielebny Patterson, uderzając gazetą o stół. - Nie życzę sobie więcej słyszeć takich niegodziwości na temat lady Diany!

- Nie chcę tylko, żeby obarczyła mnie cudzym bękartem! - odparował siostrzeniec. - Mam chyba prawo domagać się, by moja żona...

- Z dwudziestoma tysiącami funtów rocznie to ona będzie decydować, czego masz prawo się domagać - przerwał mu bezceremonialnie krewny. - Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Spójrz prawdzie w oczy, chłopcze, jesteś zdany na jej łaskę biedakiem.

Panicz bąknął coś pod nosem, wciąż niepokodzony z wizją ponurej przyszłości. Świat całkiem zszedł na psy. To niepodobna, by tak obiecujący i błyskotliwy dżentelmen jak on musiał zabiegać o kobietę.

Nabrał na nóż kolejną porcję konfitury i niewiele myśląc, zrzucił lepkaż maż wprost na muchę, która usiadłszy na jego grzance, rozkoszowała się słodkością. Owad na próżno próbował wydostać się z pułapki, jego ruchy z każdą chwilą słabły, a kat przyglądał się tym katuszom z niekłamaną satysfakcją.

- Wygląda dziś jaśnie panienska znacznie lepiej - orzekła guwernantka, przyglądając się uważnie podopiecznej. - Wolałabym się jednak upewnić, czy aby nie grozi panience jakieś niebezpieczeństwo.

- Skąd ten pomysł? Nigdy mi ono nie groziło. - Diana podniosła się energicznie i usiadła na łóżku. Zapowiadał się słoneczny, acz chłodny dzień. Głupotą byłoby zmitrężyć go, leżąc w pościeli. - Czuję się znakomicie.

- Tak, wiem. Wciąż to panienka powtarza, ale i tak nigdzie panienki nie puszcze, nim się nie upewnię, że nic jej nie do lega.

- Mówię przecież, że mam się dobrze - odparła lady Farren zniecierpliwiona, uderzając dłonią w poduszkę. Tę samą pod którą wsunęła wczoraj list przyniesiony przez posłańca. Wciąż jeszcze nie miała okazji go przeczytać. Troskliwość panny Wood przeszła wszelkie wyobrażenie. Czuwała u jej wezgłowie calusieńką noc, doprowadzając ją tym do rozpacz. Diana zaczęła się poważnie zastanawiać, czy opiekunka kiedykolwiek zostawi ją samą. Być może nie zamierzała nigdy więcej kłaść się spać.

- Nie ma powodu, by panienka się złościła. Może-my ewentualnie rozważyć krótką przejażdżkę powozem wzdłuż Corso.

- Och, tak! Proszę, wybierzmy się na przejażdżkę. - Przy odrobinie szczęścia, być może, uda jej się wypatrzeć w tłumie Antonia. Kto wie, może będzie na nią czekał przy powozie udając, iż przechadzał się tamtędy jedynie przypadkiem? Tak czy owak była pewna, że znów ją odnajdzie. Zawsze wiedział gdzie jej szukać. - Mam wielką ochotę gdzieś się przejechać!

- Zrobię co w mojej mocy. Odwołałam rankiem wynajęty powóz, ale być może signor Silvani wyczaruje dla nas jakiś inny.

- Proszę pójść go zapytać. Im szybciej, tym lepiej. - Diana zsunęła się z łóżka i zaczęła wokół niego tańczyć.

- Nie możemy liczyć na towarzystwo lorda Warwicka oraz wielebnego Pattersona - ostrzegła guwernantka. - Poinformowałam ich wcześniej, iż panienka wciąż niedomaga, i jak sądzę, powzięli już jakieś plany na dzisiejszy dzień.

- W takim razie pojedziemy same. Tak jak zwykłyśmy to robić, zanim ich poznałyśmy. Widzi pani? W pełni już ozdrowiałam. Ubiore się i rychło będę gotowa.

- Jak sobie panienka życzy.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za panną Wood, Diana dopadła z powrotem łóżka i wysupłała spod poduszki pomiętą kopertę. Drżącymi z niecierpliwości palcami złamała pieczęć, po czym wyjęła ze środka arkusik papieru.

Jakież było jej rozczarowanie i przerażenie, gdy odkryła, że list nie tylko nie pochodzi od Antonia, ale i nie zwiastuje niczego dobrego.

Lady Farren!

Zapewne zdaje się pani, iż wraz ze mną pozbyła się pani kłopotu. Jeśli tak, bardzo się pani myli. W końcu panią odnalazłem. Czas wyrównać między nami rachunki. Sto gwinei będzie odpowiednią ceną. Proszę mi je przynieść jutro (to jest w środę) o drugiej po południu. Będę czekał przy Fontana di Trevi. Ostrzegam, że ma pani przyjść sama.

Radzę mnie nie zawieść. W przeciwnym razie, klnę się na Boga, iż poinformuję pani obecnego wybranka o tym, jaka z pani kłamliwa dziwka i jak podle postępuje pani wobec mężczyzn, którzy popełnili błąd i pani zaufali.

Will Carney

Will Carney. Boże drogi, jakimże sposobem udało mu się znowu wkroczyć w jej życie?

Przełknęła nerwowo ślinę i przygryzła wargę, tłumiąc łzy wstydu i przerażenia. Zmiąwszy papier, po namyśle wyprostowała kartkę na kolanie.

To przez niego została wczesnym latem wysłana za granicę.

Zatrudnił się jako stajenny w posiadłości jej ojca. Był wysoki i wyjątkowo przystojny. Miał przenikliwe błękitne oczy i burzę pszenicznych włosów przypominających końską grzywę. Po zaledwie kilku tygodniach spędzonych w Aston Hall zaczął z nią otwarcie flirtować - a to szepnął jej słówko lub komplement, gdy siedział jej klacz, a to mrugnął do niej okiem, kiedy akurat nikt ich nie obserwował. Imponowała jej jego śmiałość. Większość mężczyzn nazbyt drżała ze strachu przed księciem, by porywać się na takie ryzyko. W normalnych okolicznościach Diana za nic w świecie nie posunęłaby się z Willem aż tak daleko.

W przeddzień wyjazdu jej siostry do Dover wydano przyjęcie pożegnalne. Podczas tejże właśnie uroczystości pewien bliski jej sercu młodzian ogłosił swe zrzekowiny z inną. Pograżona w smutku, niewiele myśląc, zaczęła topić żal i upokorzenie w ponczu, po czym

postanowiła pokazać owemu młodzieńcowi, jak niewiele dla niej znaczył. W tym celu popędziła do kwater służby w poszukiwaniu Willa. Ten, niestety, wziął jej udawane zainteresowanie swą osobą za autentyczny zapal miłosny.

Dobrze się stało, że Mary i panna Wood przybiegły jej z pomocą i uwolniły w porę z objęć stajennego. Źle natomiast, iż podążył za nimi również ojciec i był świadkiem nieobyczajnej sceny, jaka się rozegrała między jego córka a służącym. W rezultacie Dianę skazano na wygnanie, Carneya natomiast zakuto w kajdany i odstawiono do Portsmouth, gdzie został pod przymusem wcielony do królewskiej floty.

Jak udało mu się zbiec ze służby i odnaleźć ją aż w Rzymie?

Spojrzała raz jeszcze na pomięty list. Powinna jak najszybciej powiadomić o wszystkim pannę Wood. Do zadań guwernantki należało między innymi wybawianie jej z takich opresji. Gdyby były w Anglii, wystarczyłoby skomunikować się z odpowiednimi władzami. Will zostałby ujęty i ukarany, a całej sprawie raz na zawsze położono by kres.

Niestety, choć mieszkańcy Rzymu byli w przeważającej większości uroczymi ludźmi, ich miasto śmiało można by nazwać oazą sprzedajności. Tutejszy magistrat lekceważył prawo lub w najlepszym wypadku działał wyjątkowo opieszale. Osobiście była świadkiem kilku ulicznych sprzeczek, które w okamgnieniu zamieniły się w otwarte burdy i bijatyki. Nikt nawet nie próbował nad nimi zapanować. Nie mogła zatem mieć pewności, że jej tajemnica nie wyjdzie na jaw ani że Carney zostanie schwytany.

Ojciec wysłał ją za granicę nie tyle za karę, ile po to, by uciszyć pogłoski o skandalu. Niebawem miała zostać wprowadzona na królewski dwór. Czekają ją niełatwe zadanie znalezienia odpowiedniego kandydata na męża. Do tego czasu jej reputacja musi pozostać nieskazitelna. Gdyby nieszczęsna przygoda ze stajennym ujrzała teraz światło dzienne, zgubne plotki rozniosłyby się niczym zaraza po całym kontynencie, nie omijając Londynu. Reputacja panny Farren zostałaby bezpowrotnie zszargana. Władza księcia

Astona nie sięgała aż do Italii. Rodzic nie mógłby już dłużej chronić jej dobrego imienia. Edward niechybnie straciłby zainteresowanie jej osobą, zwłaszcza że służył mu radą bogobojny wuj.

Trapiło ją jednak coś zupełnie innego. Will groził w liście, iż doniesie o wszystkim jej „obecnemu wybrankowi”. Czy miał na myśli Edwarda, czy Antonia? A może zwyczajnie zgadywał, że w każdej chwili znajdzie się choć jeden dżentelmen zabiegający o jej względy? Gdyby zwróciła się o pomoc do panny Wood, musiałaby jej wyjaśnić, kim jest Antonio, a tego nie wolno jej zrobić pod żadnym pozorem.

Skąd w takim razie wzięła pieniądze, których żąda Carney? To guwernantka trzymała pieczę nad ich finansami, Diana nie miała ze sobą żadnej cennej biżuterii ani innych wartościowych przedmiotów, które mogłaby sprzedać. Ojciec zabronił jej nosić za granicą kosztowności, twierdząc, iż klejnoty przyciągają złodziei.

Fontana di Trevi znajdowała się całkiem niedaleko gospody. W porze, jaką wyznaczył Will, niemal wszyscy w mieście łącznie z panną Wood, Edwardem i jego wujem, pogrążeni byli w poobiedniej drzemce. Mogłaby wymknąć się niepostrzeżenie i skorzystawszy z powozu signora Silvaniego, dojechać na miejsce spotkania, nie budząc żadnych podejrzeń.

Gdyby tylko udało jej się przekonać stajennego, że to nie: ona, lecz księżę przepędził go z Aston Hall, być może zaprze; stałby swych nonsensownych gróźb albo chociaż zgodziłby się utrzymać sekret w tajemnicy do czasu powrotu do Anglii gdzie mogłaby zdobyć dla niego pieniądze.

Jeśli nie wystarczą mu jej zapewnienia i zażąda natychmiastowej zapłaty za milczenie... cóż... będzie musiała wymyślić coś innego.

- Milady? - Debora dygnęła wyczekująco w drzwiach. - Panna Wood każe zaraz schodzić. Chyba że zmieniła panienska zdanie.

- Nie! - Diana z werwą poderwała się z łóżka. Nie będzie się nad sobą użalać i szlochać. Będzie silna i rozsądna, tak jak niegdyś jej siostra.

- Znów rozmyślasz o tej angielskiej dzierlatce, Antonio? - Lucia uśmiechnęła się, zadowolona ze swej przenikliwości. Tymczasem

kelner postawił przed nią pucharek lodów. - Papłasz bez przerwy o nowym koniu, ale w skrytości dumasz wyłącznie o niej. Widzę to w twoich oczach.

Miała całkowitą słuszność. Anthony nawet nie zadał sobie trudu, by zaprzeczyć.

- W rzeczy samej - przyznał najbardziej niedbałym tonem, na jaki było go stać. - Nie rozumiem wszakże, czemuż to uznałaś za swą powinność nadzorować moje myśli?

- A czemuż by nie? - Zanurzyła łyżeczkę w deserze. - Zważywszy na nasz zakład, byłabym nierozsądna, gdybym nie okazywała zainteresowania.

Lord Randolph rozparł się na krześle, niecierpliwie przebierając palcami po kolanie. Nie miał ochoty siedzieć w ulicznej kawiarni. Od przejeżdżających powozów dzieliła ich jedynie barierka. Lucia zaczepiła go, gdy wracał z Piazza di Spagna, i zaciągnęła tu niemal siłą. Uwielbiała tego typu miejsca. Nie przeszkadzało jej, iż wystawia się na widok publiczny. Przeciwnie, lubowała się tym, że cały Rzym może ją oglądać.

Obserwował, jak przyjaciółka stara się ściągnąć na siebie uwagę, raz po raz wysuwając zmysłowo język, by oblizać lody. Czyniła z tego istne przedstawienie. Niegdyś bawiły go te jej niewybredne gierki, teraz dostrzegał jedynie desperację, podsycaną świadomością, że jej uroda przygasa. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia cztery czy pięć lat - nigdy nie zdradziła mu swego wieku - a jednak jej wymalowane oblicze nie wytrzymywało porównania z naturalnie zarumienioną i piękną twarzą Diany Farren.

- Ha! - Mrugnęła do niego wesoło. - Wszystko idzie po mojej myśli. Wiem, że spotkałeś się z nią w teatrze. Dandolo doniósł mi o biletach.

- Nie potrafiłby dochować tajemnicy, nawet gdyby od tego zależało jego życie - skwitował z westchnieniem Anthony.

- Nie sądziłam, że próbowałeś zrobić z tego wielki sekret. Opera to miejsce stworzone do rozpusty.

Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- Skąd właściwie wiesz, że rozmawiałem z nią w teatrze?

- Bo sama też tam byłam, mój drogi. Widziałam ją i jej nudnych kompanów. Siedzieliście, każde w swojej łóży, aż nagle oboje zniknęliście, gdy zaczął śpiewać Dandolo. Gdzież indziej mielibyście być, jeśli nie razem?

Jego myśli natychmiast pobiegły ponownie ku Dianie. Tak ufnie i chętnie poddawała się jego pieszczotom. Z niewinnością, a zarazem wielką pasją. Od tamtej pory prześladowało go . wspomnienie jej twarzy. Wciąż rozbrzmiewały mu w uszach jej westchnienia i jęki rozkoszy. Wciąż czuł na sobie jej zapach, jakby zmieszał się z jego własnym. W żaden sposób nie potrafił wyprzeć jej ze świadomości.

- Nie przyszło ci do głowy, że mogliśmy omawiać arię?

- Dobrze sobie. Raczej wątpię - rzekła, celując w niego łyżeczką. - Pomyśl tylko, ile cnotliwych panien straciło w tej operze dziewictwo. I to w obecności nieświadomych matek czy guwernantek, zbyt zasłuchanych w muzykę, by cokolwiek zauważyć. Dlaczegoż to niby twoja angielska gołąbeczka miałaby być inna?

- Ona jest inna niż wszystkie - stwierdził z przekonaniem, choć wydawało mu się to zupełnie oczywiste. Gdyby nie była, nie spędziłby połowy dnia, wałęsając się w pobliżu jej kwatery niczym szczeniak spragniony widoku swej pani. W gospodzie powiedziano mu, że jest niedysponowana i że zatrzymano ją w łóżku. Tylko on wiedział, iż leżąc w pościeli, myślała wyłącznie o nim i o tym, co robili ubiegłego wieczoru. - Poza tym szanujący się mężczyzna nie pozbawia dziewictwa w miejscu publicznym.

- Ach, tak? - W tonie Lucii pojawiła się nieprzyjemna nuta. - Dotychczas nie miałeś podobnych skrupułów. A może zatraciłeś całą swą śmiałość i przebiegłość? Czyżbym wygrała zakład? Ta blada latawica doszczętnie zawróciła ci w głowie!

Anthony umyślnie ściszył głos, nie dając się sprowokować.

- Uwodzenie i miłość powinny iść ze sobą w parze. Nie widzę w tym niczego dziwnego.

- Nie do wiary! Usłyszeć tak ckiwe sentencje z twoich ust? To zupełnie do ciebie niepodobne.

- Wybaczam ci te kąśliwe uwagi. Zapewne należy złożyć je na karb tego, że obawiasz się o swą wygraną.

- Niech piekło pochłonie ten durny zakład! Co też ona zrobiła, by tak cię opętać? Pieściła cię?

- Daruj sobie, Lucio. Nie poznasz żadnych szczegółów. Zachnęła się, obrażona.

- Dandolo widział cię, gdy wychodziłeś z teatru - oznajmiła z satysfakcją. - Byłeś sam. Ponoć wyglądałeś jak wygłodniały lew, któremu odmówiono jedła. Czyżby odrzuciła twe umizgi? Nie pozwoliła ci posmakować zakazanego owocu?

Uśmiechnął się pobłaźliwie. Ciekawe, co miałyby do powiedzenia, gdyby wiedziała, że to nie Diana, lecz on oparł się swym pragnieniom. Jeszcze miesiąc temu sam nie dałby temu wiary. Było czymś zupełnie nie do pomyślenia trzymać w ramionach roznamiętnioną młodą kobietę i nie pójść za głosem instynktu. Takie zachowanie wydawało się kompletnie niedorzeczne, by nie rzec - nienaturalne. Co więcej, przeczyło również jego dotychczasowej filozofii, która kazała mu zażywać rozkoszy przy każdej nadarzającej się sposobności.

Gdy w grę wchodziła Diana Farren, za nic miał jednak ziemskie mądrości. Nie dbał ani o nie, ani o to, co powiedzą znajomi. Choć dziewczyna była młoda i piękna niczym wiosenny poranek, zafascynował go przede wszystkim jej charakter i niepokorna dusza. Tak podobna do jego własnej. W niczym nie przypominała kobiet, których dotąd pragnął. Była pełna sprzeczności, które działały na jego zmysły iście odurzająco. Z jednej strony wzruszała go niewinnością i angielską rezerwą, z drugiej rozpałała w nim ogień żywiołowym temperamentem. Wczoraj odsłoniła przed nim namiastkę prawdziwej siebie i od tej pory całkowicie panowała nad jego umysłem i sercem. Czy można się dziwić, że uwiedzenie jej przestało mu wystarczać? Że zapragnął podbić nie tylko jej ciało, ale i duszę?

Być może nadszedł czas, by zdradził jej, kim naprawdę jest i odsłonił przed nią swe uczucia.

- Spójrz na siebie, ty głupcze! - wykrzyknęła pogardliwie Lucia. - Już teraz mogłabym domagać się wygranej. Wydaje ci się, że zakochałeś się w tej dzierlatce, tak?

- Droga Lucio - odrzekł spokojnie. - Ty nie masz pojęcia, czym jest prawdziwa miłość.

- Ja?! - Rozwścieczona, uderzyła otwartą dłoń w stół. - Ja nie mam pojęcia, czym jest miłość? Śmiesz mówić mi coś takiego? Ze wszystkich znanych ci kobiet uznałeś za stosowne rzucić to w twarz właśnie mnie?

Wzruszył ramionami. Dla dobra ich znajomości postanowił zachować milczenie. Dopiero niedawno, dzięki świeżej urodzie Diany, uzmysłowił sobie, że twarz Lucii z upływem czasu robi się coraz bardziej znużona i zacięta, i to bynajmniej nie z powodu rozrywkowego trybu życia. Jego droga przyjaciółka cierpiała, gdyż żaden mężczyzna, z nim włącznie, nigdy tak naprawdę nie odwzajemnił jej uczucia.

- Mów, co chcesz, Antonio - syknęła ze złością. - Zbyt dobrze cię znam, by nie przejrzeć twoich kłamstw. Jeszcze będziesz miał się z pyszna. Wiem, że wygram ten zakład.

- Oczywiście. W przeciwnym razie byś się nie zakładała, nieprawdaż? - Podniósł się i położył na stole kilka monet, by uregulować rachunek. - Wybacz, ale muszę cię już opuścić.

Gdy uniosła głowę, jej podbródek drżał z bezsilnej złości.

- Pędź do niej! - rzuciła wściekłym szeptem. - Prędzej dostanę swoją wygraną.

- Do widzenia, Lucio. - Zazwyczaj pocałowałby ją na pożegnanie w usta albo chociaż w policzek, ale przy jej obecnym nastroju wolał nie ryzykować. Zamiast tego musnął wargami jej dłoń. - Do zobaczenia później.

- Do zobaczenia w piekle, ty...! Ty...! - Niewiele myśląc, cisnęła w niego pucharkiem z niedojedzonymi lodami. Mierzyła w głowę, lecz Anthony w porę się uchylił. Nauczony doświadczeniem, wiedział, że jej pociski zwykle zbaczają leciutko w lewo.

Chybiwszy celu, Lucia zaklęła nieobyczajnie. Pozostali klienci

kawiarni poderwali się z miejsc z minami pełnymi zgorzelenia. Nawet przejeżdżające powozy zatrzymały się, by pasażerowie bez przeszkód mogli obserwować niecodzienną scenę. Kelner rzucił się do sprzątnięcia, właściciel lokalu natomiast jął uspokajać wzburzoną klientkę i bić pokłony, jakby to on osobiście sprowokował jej wybuch.

Lord Randolph skorzystał z zamieszania i wymknął się niepostrzeżenie, zostawiając przyjaciółkę publiczności, której tak bardzo pragnęła.

Diana oparła się wygodnie o kanapę powozu i poprawiła parasol, by zasłonić twarz przed słońcem. Zauważyła, że do miasta zaczyna napływać coraz więcej przybyszów z Anglii. Jej jasna cera i złociste włosy przyciągały spojrzenia wielu mężczyzn, którzy, rozpoznając w niej rodaczkę, pozdrawiali ją pełnymi uznania uśmiechami. Zadowolona, skinęła głową kolejnemu z nich i postanowiła się odprężyć. Przynajmniej na jakiś czas mogła zapomnieć o Willu Garneym i jego groźbach. Zajmie się tym jutro. Tymczasem chciała się nacieszyć przejażdżką odkrytym powozem oraz ukłonami przystojnych kawalerów. O ileż to przyjemniejsze niż przedzieranie się przez kolejne zakurzone ruiny.

- Muszę przyznać, że mężczyźni poczynają tu sobie znacznie śmieiej, niż przywykłyśmy - zauważyła, jak zwykle czujna, panna Wood. - W Londynie nie odważyliby się składać jaśnie paniące ukłonów tak bezceremonialnie.

- Ale jesteśmy w Rzymie, nie w Londynie, nieprawdaż? - odparła pogodnie Diana. Myślni była przy Antoniu. Zastanawiała się, czy on również wybiera się tu czasem na przejażdżkę.

- Francuzi też byli uprzejmi - stwierdziła ponuro guwernantka. - I jak to się zakończyło?

- Bardzo dobrze. Mary spotkała Johna i odnalazła wielką miłość. Przyzna pani, iż nie ma powodu biadolić nad ich ślubem. Poza tym, jaką ujmę może przynieść mi fakt, że ten czy ów dżentelmen uchylił przede mną kapelusza. To chyba żadna hańba?

- Mimo wszystko wolałabym, by towarzyszyli nam lord Edward i

wielebny Patterson - oznajmiła panna Wood.

- Ja natomiast rada jestem, że ich z nami nie ma. Obaj zachowują się, jakbyśmy byli kompletnie bezradnymi istotami, które nie potrafią obyć się bez ich opieki.

- Z pewnością nie jesteśmy całkowicie bezradne, bywało jednak, iż nie wzgardzałyśmy wsparciem godnych zaufania dżentelmenów.

Diana zmarszczyła nos. Jej myśli zbyt były zajęte Antoniem, by znalazło się w nich miejsce dla Warwicka i jego wuja, zwłaszcza że Edward, z całą swą fanfaronadą i pychą, potrafił być doprawdy nieznośny. Nie sądziła, iż mógłby być dla kogokolwiek oparciem.

- Wolałabym, abyśmy polegały wyłącznie na sobie... - zaczęła i urwała w pół zdania.

- Buongiorno, mia bella donna.

Odwróciła się pospiesznie, w jednej chwili rozpoznając znajomy tembr głosu. Antonio wstrzymywał konia, dostosowując tempo do powolnej jazdy powozu. Swoim zwyczajem ubrany był z niedbałą elegancją, co nie wiedzieć czemu, czyniło go w jej oczach jeszcze bardziej zniewalającym. Przywitał ją uśmiechem, a ona spłonęła rumieńcem. W odpowiedzi uśmiechnął się szerzej, ukazując w policzku dołek, którego dotąd nie zauważyła. Wspomnienie tego, co robili ubiegłej nocy, poufałości, na jaką mu pozwoliła, sprawiło, że poczuła gorąco w całym ciele. Co gorsza, nie zdołała wydusić z siebie ani słowa.

Za to panna Wood nie omieszkała zabrać głosu.

- Sono spiacente, signore, non non ci siamo presentati - wyrzekła powoli i wyraźnie, jakby przemawiała do półgłówka lub źle ułożonego psa. Następnie, dla większego wrażenia, powtórzyła komunikat po angielsku: - Bardzo mi przykro, ale nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Milady nie jest zainteresowana dalszą rozmową. Arrivederci, signore.

- Tak się składa, panno Wood, iż miałem już przyjemność poznania jaśnie pani - odparł gładko nieskazitelną angielszczyzną. - Wydaje się, że znam lady Farren od zawsze.

Diana przełknęła ślinę, otwierając szeroko oczy z przerażenia.

- Witam pana - pisnęła niewyraźnie. - Ładny... ładny... dziś mamy dzień, nieprawdaż? - Boże, co teraz? Jak on mógł jej to zrobić? Przyznać, że się znają, że już ze sobą rozmawiali, w dodatku z tym swoim czarującym uśmiechem. Dlaczego postanowił zjawić się jak spod ziemi, w żaden sposób jej nie uprzedzając? Zupełnie ją zaskoczył. Guwernantka zaraz się czegoś domyśli. A jeśli Antonio wszystko jej opowie? Będzie skończona! Jej starania, by odzyskać reputację, legną w gruzach! Co ona pocnie?

- Doskonale włada pan naszą mową - odezwała się panna Wood.

- Stokrotne dzięki, pani - odparł, skłaniając się z wdzięcznością. - Dostrzegam jednak, iż dziwi panią moja biegłość.

- Owszem - potwierdziła bez cienia zakłopotania. - Przyznaję, iż jestem nieco zdumiona tak dobrą znajomością angielskiego u...

- Proste go rzymianina? - podsunął uczynnie. - Nieokrzesanego dandysa?

- Nie jest pan Anglikiem, sir. Jak mi nie mam, pochodzi pan stąd, a to oznacza, że pana językiem ojczystym jest włoski. Dlatego uważam pańską biegłość w angielskim za osiągnięcie godne najwyższego szacunku.

- Signor di Randolfo jest dżentelmenem, panno Wood - wtrąciła Diana. - Nie powinno pani dziwić, iż jest wykształcony.

- Signor di Randolfo? - powtórzyła guwernantka, spoglądając podejrzliwie na podopieczną. — To oznacza, że jaśnie panienka istotnie poznała tego oto... dżentelmena. Mogę spytać, w jakich okolicznościach?

- Mam zaszczyt zaliczać do grona znajomych lorda War-wicka - wyjaśnił Antonio. - Pozostaję w przyjaznych stosunkach z wieloma goszczącymi w Rzymie Anglikami.

- Ach, tak. - Opiekunka wyraźnie się odprężyła. - To wszystko wyjaśnia. Skoro jest pan przyjacielem lorda Edwarda...

Lady Farren uśmiechnęła się blado, usiłując ukryć zdenerwowanie. Antonio nigdy nie wspominał, że przyjaźni się z Warwickiem. Mówił jedynie, iż się znają. Co więcej, nie miał o nim zbyt dobrego zdania.

- Czy mogę zatem prosić o przywilej towarzyszenia paniom podczas dalszej jazdy? - zapytał, posyłając pannie Wood ujmujący uśmiech.

- Och, tak, naturalnie! Proszę się do nas przyłączyć - wykrzyknęła Diana i natychmiast pożałowała swej popędliwości. - To jest, będzie nam bardzo miło, jeśli zechce pan jechać z nami - poprawiła się.

- Zapraszamy - dodała guwernantka. - Będzie nam miło.

Skinął głową, po czym przeniósł wzrok na Dianę. Uśmiechnął się szerzej, a w kącikach jego oczu pojawiły się maleńkie zmarszczki. Ta subtelna zmiana umknęła być może pannie Wood, ale nie jej podopiecznej. Zdaje się, że dla niego to znakomity żart dzielić sekret, w który wtajemniczeni są wyłącznie oni dwoje, pomyślała gniewnie. Po chwili jednak dostrzegła w jego źrenicach o wiele bardziej skomplikowane przesłanie. Dawał jej do zrozumienia, że jest piękna, że pamięta o wczorajszym wieczorze i pragnie znów spotkać się z nią sam na sam.

Spuściła pospiesznie wzrok, nie chcąc zdradzić się ze swą tęsknotą przed opiekunką. Święci Pańscy, co też on z nią wyczynią? Wystarczy, że na nią spojrzy i...

- Pozwoli pan, że zwrócimy się do pana o radę - rozpoczęła panna Wood, szczęściem zupełnie nieświadoma tego, co się dzieje między tymi dwojgiem. - Do tej pory, korzystając z sugestii lordów Warwicka i Pattersona, zwiedzałyśmy głównie zabytkową część miasta. Jako rodowity rzymianin zapewne może nam pan polecić nieco bardziej współczesne, równie interesujące miejsca? Czytałyśmy naturalnie przewodniki, ale może podpowie nam pan, które galerie warto odwiedzić, by obejrzeć dzieła najznamienitszych malarzy i rzeźbiarzy?

- Nasze miasto obfituje w dzieła sztuki. Willa Borghesów czy Barberinich, Watykan. Trudno zdecydować, od czego zacząć. Na dobry początek proponuję paniom jednak galerię w skromnych progach mego własnego pałacu.

Diana poderwała raptownie głowę. Wyobraziła sobie, jak Antonio wynajduje preteksty, by rozdzielić ją z opiekunką i zwabić w

ustronne miejsce. Serce natychmiast zaczęło bić jej mocniej.

- Kolekcjonuje pan prace słynnych mistrzów? - zdziwiła się panna Wood, na próżno próbując ukryć zainteresowanie.

- Mam kilka obrazów, które wyszły spod ręki Tintoretta i Reniego - odparł nonszalancko. - Znajdzie się też jakiś Rafael i Tycjan. Mój dziadek miał również słabość do Rubensa.

- Rafael! - Guwernantka nie posiadała się z radości. - Och, jakże chciałabym zobaczyć tak rzadkie rarytasy!

- Będę zaszczycony, mogąc je paniom pokazać. Mój dom stoi dla was otworem.

- Z przyjemnością złożymy panu wizytę. - Panna Wood była wyraźnie podekscytowana.

Anthony'emu zależało jednak przede wszystkim na zgodzie panny Farren.

- Signora mia? - zwrócił się do niej uwodzicielskim tonem. - Czy zechce pani przyjąć me zaproszenie?

Nie wolno jej. Powinna odmówić. Znaleźć jakąś wymówkę, byle trzymać się jak najdalej od niego. Ta wizyta mogła doprowadzić do jej ostatecznej zguby. Czy starczy jej sił, by oprzeć się pokusie?

- Tak - rzekła w końcu i uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd się pojawił. - Tak, z wielką przyjemnością.

- A zatem jesteśmy umówieni - odparł uradowany, patrząc na nią, jakby byli na ulicy zupełnie sami. - Rad jestem, że mogę panią uszczęśliwić.

- Proszę tylko podać nam dogodny dla pana termin - wtrąciła guwernantka. - Zatrzymałyśmy się w gospodzie przy Piazza di Spagna.

Nieopodal przejechało dwóch młodych dżentelmenów. Pomachali Anthony'emu, wykrzykując coś po włosku.

- Panie wybaczą, wzywają mnie niestety uprzednie zobowiązania.

- Przyłożył sobie rękę do serca rozczulająco sentymentalnym gestem. - Czy mogę mieć nadzieję, iż niebawem znów się spotkamy?

- Jak najbardziej, panie - odparła z entuzjazmem panna Wood. - Arrivederci!

- Arrivederci, signorina. - Obróciwszy konia, rzucił ostatnie spojrzenie Dianie. - Ah, la mia bella! Chiunque gli ha detto quanto assolutamente squisito osservate oggi? La mia signora, sembri abbastanza buona da mangiare. - Roześmiał się i odjechał, posyłając jej dłonią pocałunek na pożegnanie.

- Cóż za miła niespodzianka, nieprawdaż? - odezwała się opiekunka. - Tak zupełnie przypadkiem spotkać pana di Randolfo.

- Tak, panno Wood - odrzekła machinalnie dziewczyna, zajęta podziwianiem jego jazdy. Wprost nie mogła oderwać od niego wzroku. - Ogromna niespodzianka.

- Proszę sobie tylko pomyśleć, jak wspaniała musi być jego kolekcja dzieł sztuki. Kto by pomyślał? Rafael i Rubens! Oczywiście, jest okropnie bezpośredni, ale przecie wszyscy Włosi są nieprzyzwoicie bezceremonialni. Niewątpliwie uznał panienkę za swój kolejny podbój. Wyobraża sobie panienka, co by powiedział jego wysokość książę na takiego nieokrzesane: go nicponia?

Antonio zniknął dziewczynie z oczu, odwróciła więc głowę, by spojrzeć na guwernantkę.

- To samo mówiła pani o Johnie z powodu jego irlandzkiego pochodzenia. A teraz, kiedy został mężem Mary, uwielbia go pani ponad wszelkie wyobrażenie.

- Niepodobna porównywać Irlandczyka z Włochem, milady - stwierdziła panna Wood, jakby to było zupełnie oczywiste. - Poza tym, iż wzrastał w kraju papistów, lord John nie różni się niczym od nas, Anglików. Co do pana di Randolfo, cóż, wydaje się ulepiony z zupełnie innej gliny.

Trudno się było z nią nie zgodzić. Był inny, i to pod każdym względem.

- Owszem, ja również odniosłam takie wrażenie - przyznała Diana. Panna Wood zachichotała pod nosem.

- Bóg jeden wie, jakie niestosowne nonsensy wygadywał, kiedy się z panienką żegnał. Nie zrozumiałam z tej paplaniny ani słowa.

I całe szczęście, pomyślała Diana. Uwielbiała dźwięk włoskiej mowy i zdążyła nauczyć się jej na tyle, by pojąć ogólny sens

wypowiedzi Antonia. Nazwał ją piękną i tak apetyczną, że miałby ochotę ją schrupać. Żaden angielski dżentelmen nie zdobyłby się na tak odważny komplement wobec wysoko urodzonej rodaczki. On nie był wszakże angielskim dżentelmenem, a im więcej czasu spędzała w jego towarzystwie, tym większe miała wątpliwości co do tego, czy sama może uchodzić za przykładną angielską damę.

- Proszę się nie troskać, milady - pocieszała ją opiekunka. - Nieważne, co powiedział pan di Randolfo. Jeśli jest taki, jak większość Włochów, nie wierzył w ani jedno swoje słowo.

Lady Farren nie była jednak tego taka pewna.



Rozdział ósmy

- Przyjście w pańskim palazzo, milordzie? - Angielski konsul w Rzymie, sir Thomas Howe, z trudem powściągnął podekscytowanie i podwinąwszy poły surduta, zasiadł w fotelu naprzeciw lorda Randolpha. - Pańska rodzinna posiadłość uważana jest powszechnie za jeden z najcenniejszych klejnotów Rzymu. To bardzo wspaniałomyślne z pańskiej strony, iż pragnie pan otworzyć podwoje dla rodaków z Anglii.

- Z panem w roli współgospodarza, ma się rozumieć. Słyszając to, Howe omal nie spadł z krzesła z uciechy. Anthony bynajmniej się temu nie dziwił. Dwustuletni pałac, który odziedziczył po matce jako część jej posagu, istotnie należał do najznamienitszych budowli miasta, a kolekcjonowane w nim od pokoleń i hołubione przez rodzicielkę dzieła słynnych mistrzów wciąż wzbudzały zainteresowanie koneserów sztuki.

Konsul miał powody do radości. Zaniedbana kamienica, w której mieścił się jego urząd, żadną miarą nie mogła równać się z Palazzo di Proserpi. Zresztą nie tylko siedziba konsulatu pozostawiała wiele do życzenia. Zdaniem Anthony'ego nawet wino podawano tu pośledniej marki. Z trudem zmuszał się do picia hiszpańskiego sikacza, czyniąc to wyłącznie ze względu na urzędnika. Gotów był jednak ścierpieć wszystko, byle tylko ujrzeć ponownie Dianę.

Pomysł przyjęcia wpadł mu do głowy zaraz po tym, jak pożegnał się z nią na Corso. Postanowiwszy niezwłocznie wprowadzić go w życie, pognął niezwłocznie do konsulatu. Był w pełni świadom ryzyka, jakie podejmuje, pozwalając, by lady Farren dowiedziała się o jego pochodzeniu w ten dość nieoczekiwany sposób. Jednakże ujawnienie prawdy powinno nadać ich znajomości zupełnie nowy kierunek. Poza tym, co tu kryć, uwielbiał zaskakiwać Dianę. Zamierzał powitać ją w swym domu z należnymi honorami, a przy okazji w zupełności zmienić jej wyobrażenie o sobie. Ha! To dopiero będzie gratka zobaczyć jej minę, gdy się dowie, że tajemniczy

Antonio jest tak jak ona z urodzenia angielskim arystokratą. Wyczekiwał tej chwili z niecierpliwością.

- Pomyślałem, że warto będzie mile powitać przybywających do Rzymu Anglików - oznajmił z uśmiechem. - Jestem pewien, iż wynajdzie pan jakiś stosowny pretekst, panie konsulu. Zawsze znajdzie się taka czy inna oficjalna okazja, czyż nie? Urodziny Jego Królewskiej Mości, a może rocznica jakowejś bitwy?

- W rzeczy samej, milordzie, w rzeczy samej! - Sir Thomas poderwał się, by osobiście napełnić gościowi kieliszek. - Możemy to też połączyć z obchodami jakiejś rzymskiej uroczystości. My, Anglicy, uwielbiamy tutejsze rozrywki. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka tygodni...

- Prawdę mówiąc, myślałem o nieco bliższym terminie - wtrącił Anthony, wmuszając w siebie kolejny łyk podłego trunku. - Co pan powie na przyszły piątek?

- Piątek?! Dalibóg, milordzie, nie zdążymy poczynić stosownych przygotowań.

- Och, ręczę za swą służbę. Będą gotowi.

- Ale należy sporządzić odpowiednią listę gości i rozesłać zaproszenia.

Sir Randolph machnął niedbale dłonią.

- To robota co najwyżej na jedno popołudnie. Nie wątpię iż zna pan na pamięć nazwiska angielskich osobistości, które przebywają obecnie w mieście.

- Owszem - przyznał Howe. - To należy do moich obowiązków.

- Tym lepiej. Rozumiem, że w grę wchodzi dość spora grupa?

- Nie inaczej. Wraz z ustąpieniem upałów do Rzymu zjeżdża coraz więcej naszych rodaków. - Konsul mówił powoli, ostrożnie dobierając słowa. - Powinniśmy jednakowoż uwzględnić także i tych, którzy rezydowali w mieście cały rok. Nie chcemy przecież nikogo urazić.

- Naturalnie, że nie - zgodził się wielkodusznie rozmówca. Im więcej ludzi przybędzie, tym łatwiej będzie mu wyrwać Dianę spod opieki guwernantki. - Pozostawiam to pańskiej intuicji. Proszę

dobrac towarzystwo wedle własnego uznania.

- Gwarantuję, iż wszyscy goście będą osobami o odpowiednio wysokiej pozycji. Choćby zaraz mogę wymienić biskupa hrabiego oraz wdowę po markizie. Ostatnio dołączyła do nas również młodsza córka księcia Astona.

- Znakomicie. - Posłyszawszy ostatnie słowa sir Thomasa Anthony musiał bardzo się starać, by zachować obojętny wyraz twarzy.

- Jest również szanowany erudyta - perorował z wigorem konsul - wielebny Patterson wraz z siostrzeńcem, lordem Warwickiem.

- Och, lord Warwick! Nie sądzi pan, że jest cokolwiek ottuso?

- Ottuso? - Howe zmarszczył z niepokojem brwi.

- Nużący i mdły - wyjaśnił Anthony, choć był pewien, że dyplomata doskonale zrozumiał to słowo. - Skoro jednak sądzi pan, iż należy umieścić go...

- Proszę się nie martwić, milordzie - wszedł mu w słowo Howe. - Nie zostanie zaproszony.

Lord Randolph przyjął zapewnienia konsula z uśmiechem. Nie obawiał się, że ma w Edwardzie rywala, ale obecność Warwicka mogła zakłócić jego plany na ten wieczór.

- Nie musi pan wymieniać w zaproszeniach mojego nazwiska - zaznaczył. - Adres powinien wystarczyć. Proszę rozesłać je w imieniu konsulatu.

- Och, stokrotne dzięki, milordzie! - wykrzyknął sir Thomas, niemal podskakując z wdzięczności. - Jestem pewien, iż wszyscy goście bez trudu rozpoznają pański dom.

- Poznają się także na pańskiej gościnności, sir. - Odstawiwszy kieliszek, gość podniósł się z miejsca. Nawet jeśli Diana i jej guwernantka słyszały o Palazzo di Prosperi, nie skojarzą nazwiska jego matki z uroczym Antoniem di Randolfo. - A zatem do zobaczenia w piątek.

- Do zobaczenia, milordzie. Obiecuję wieczór niezapomnianych wrażeń - zapewnił konsul.

- Jeszcze szklaneczkę sherry? - Diana sięgnęła z zapałem po butelkę, chwytając się ostatniej szansy na zapewnienie guwernantce

długiej i głębokiej drzemki. - Pan Silvani nie szczędzi nam znakomitych trunków.

- Ani przedniego jadła - westchnęła z zadowoleniem panna Wood, po czym podsunęła wychowanicy pusty kieliszek. - Dzisiejsza pieczeń nie miała sobie równych.

Lady Farren z trudem powstrzymała się, by kolejny raz nie zerknąć na zegar. Było już prawie w pół do pierwszej. Musiała jak najszybciej wymknąć się niepostrzeżenie na spotkanie z Carneyem. Nie wiadomo, co gotów uczynić, gdyby się spóźniła lub nie przyszła. Wołała tego nie sprawdzać.

Uniósłszy dłonie, ziewnęła przeciągle.

- Czuję się dziś wyjątkowo znużona. A pani? Nie jest pani zmęczona?

- Mam nadzieję, iż nie trapi panienki jakaś choroba? Nie robiłyśmy rankiem niczego, co wymagałoby szczególnego wysiłku. Czytanie i pisanie listów nie powinno było aż tak panienki wyczerpać.

- Lektura bywa równie lub nawet bardziej wyczerpująca niż wycieczki po mieście.

- Doskonale rozumiem, milady. Nie od rzeczy będzie krótka drzemka. Oho, pewnie służba chce sprzątnąć ze stołu. Entrare!

Miał lokaja w drzwiach pojawił się jednak sam gospodarz. Ukłoniwszy się, podał Dianie list, który wniósł na srebrnej tacy.

- Dla jaśnie pani z konsulatu.

- Grazie - odrzekła i zaciekawiona natychmiast rozerwała pieczęć.

- W czym rzecz, milady? - zapytała guwernantka, niespiesznie sącząc wino.

Wychowanka podała jej pismo.

- Sir Thomas zaprasza nas na przyjęcie. Ma się odbyć w prywatnym pałacu jakiegoś angielskiego dżentelmena.

- To bardzo wspaniałomyślnie ze strony owego dżentelmena. Choć przyznam, iż piątek to dość niedaleki termin.

Porcelanowy zegar na kominku wybił w pół do pierwszej.

- Może omówimy to później, panno Wood? Obiecała mi pani

drzemkę - zaproponowała Diana.

- Niewiele tu do omawiania, milady. Naturalnie przyjmiemy zaproszenie. Nie godzi się odmówić konsulowi. Signore Silvani, zna pan to miejsce? Palazzo di Prosperi?

Gospodarz uniósł z namaszczeniem dłoń.

- Któż nie znałby Palazzo di Prosperi! - wykrzyknął niemal nabożnie. - Toż to jeden z największych i najpiękniejszych dworów w całym Rzymie!

- Tym bardziej wypada nam pójść. Jestem pewna, iż lord Edward i wielebny Patterson zechcą towarzyszyć nam w powozie.

- Wybacz pani - wtrącił nieśmiało Silvani. - Obawiam się jednak, iż posłaniec nie przyniósł zaproszeń dla ich lordowskich gości.

- O rety. - Panna Wood otworzyła szeroko oczy, nie kryjąc oburzenia. - Kto by pomyślał, że spotka ich taki despekt?

- Nie nam osądzać poczynania konsulatu - rzekła pośpiesznie panna Farren. - Sir Thomas zapewne miał jakieś ważne powody, by ich pominąć.

- Prawda - przyznała z namysłem opiekunka. - Pójdziemy na przyjęcie, musimy tylko pamiętać, by nie zdradzić się przed nimi. Poczuliby się urażeni.

Diana odsunęła krzesło i wstała od stołu.

- Potem, panno Wood, potem - powiedziała, przymykając ociężale powieki.

- Och, oczywiście, moje biedactwo! Ja tu paplam, a paniątka zasypia na stojąco. To wszystko, signore Silvani. Dziękujemy. Muszę dopilnować, by milady udała się na spoczynek.

Z niejakim poczuciem winy dziewczyna pozwoliła ułożyć się na kanapie w sypialni. Odkąd jej siostra wyszła za mąż i zostały tylko we dwie, guwernantka była względem niej szczególnie troskliwa. Nie powinna odpłacać jej za to oszustwem. Och, gdybyż tylko odważyła się wyjawić jej prawdę o Willu i o mieszanych uczuciach, jakie żywiła wobec Antonia i Edwarda! Gdybyż tylko mogła zwierzyć się pannie Wood ze wszystkich swych rozterek!

- Zawsze tak pani o nas dba - zaczęła łagodnie, gdy opiekunka

otuliła ją narzutą. - Mam nadzieję, że sama również teraz pani odpocznie?

- Mam taki zamiar. Proszę się zdrzemnąć. Potem zdecydujemy, co zrobić z resztą dnia.

Diana zamknęła posłusznie powieki i zaczekała, aż za panną Wood zamkną się drzwi. Po kilku minutach jej uszu dobiegło zza ściany cichutkie pochrapywanie.

Podniosła się ostrożnie i starając się nie narobić hałasu, zabrała kapelusz, rękawiczki oraz parasol i z butami w ręku wymknęła się na korytarz.

- Milady! - Silvani wychylił głowę zza futryny i spojrzał na nią zdumiony. - Czym mogę jaśnie pani służyć? Mam nadzieję, iż nie stało się nic złego?

- Absolutnie nie, signore - odparła szeptem. - Chciałabym skorzystać z pańskiego powozu, jeśli łaska.

- Z powozu? - Spojrzał wymownie na drzwi, za którymi spała guwernantka. - Czy panna Wood będzie pani towarzyszyć?

- Nie. - Lady Farren opuściła na twarz woalkę kapelusza i uniosła w wyniosłej pozie podbródek. - Proszę powiedzieć stangretowi, że jestem gotowa do wyjazdu.

- Jak jaśnie pani rozkaże. - Zawahał się i dodał: - Czy mogę mu zdradzić, dokąd się pani wybiera?

- Sama go o tym poinformuję.

Silvani poprzestał na potrząśnięciu głową i odeskortował ją do powozu.

- L'uomo che state andando venire a contatto di e un bastardo fortunata. - Uśmiechnął się protekcjonalnie. - Do widzenia, milady.

- Do widzenia - odrzekła, ignorując obraźliwą uwagę, którą uraczył ją na pożegnanie. Pomylił się, licząc na jej słabą znajomość włoskiego, gdyż bez trudu zrozumiała jego słowa: Prawdziwy szczęściarz z tego drania, z którym jedzie się pani spotkać.

Odczekawszy, aż ruszą i oddalą się od ciekawskiego gospodarza, rzuciła do stangreta:

- Fontana di Trevi. Znasz drogę?

Bez słowa skinął głową, pozwalając jej pogрузić się w niewesołych myślach.

- Niech mnie kule biją, wuju! - zawołał Edward, wyglądając przez okno. - Wzięła powóz! Do czarta! Pojechała zupełnie sama!

- Kto taki? - zainteresował się wielebny Patterson, nie odrywając wzroku od glinianego naczynia, które badał pod lupą.

- Jak to kto? Lady Diana, naturalnie. Gdzież się, u diabła, podziewa ta panna Wood? Jak mogła pozwolić jej wyjść bez opieki? Kiedy rozmawiałem z nią rano, twierdziła, że cały dzień upłynie im na pisaniu listów. Ładne mi listy! Do diaska!

- Dalibóg, siostrzeńcze, cóż to za niewybredny język? Pohamuj się nieco. Z takimi manierami nie zagrzejiesz miejsca na salonach.

- Pewnie wybiera się na schadzke z innym. Wiedziałem! Po cóż innego ukrywałaby twarz za woalką? Od samego początku podejrzewałem, że coś się święci. Teraz nareszcie mam dowód!

- Nie masz nawet cienia dowodu. - Duchowny skrzywił się z niesmakiem. - Szkalujesz Bogu ducha winną pannę bez najmniejszych przesłanek.

- A jakich to jeszcze potrzebuję przesłanek, twoim zdaniem? - Młodzian odwrócił się do krewnego, z trudem opanowując wzburzenie. Lady Farren miała nie tylko majątek, ale i urodę, co z rzadka idzie w parze. Starał się jak nigdy dotąd podbić jej serce. Można by go stawiać za wzór miłego i układnego dżentelmena. Sądził, że jest już blisko celu, aż do tej nieszczęsnej nocy w operze, kiedy bezceremonialnie go odtrąciła. Powodem, dla którego nagle zrobiła się taka zimna, mógł być jedynie inny mężczyzna. Jakiś łajdak, który zawrócił jej w głowie. - Po cóż wymykałaby się w ten sposób spod pieczy guwernantki - perorował dalej - jeśli nie po to, by spotkać się potajemnie z kochankiem? Jest jak każda inna urodziwa niewiasta. Nie ma ani krzty sumienia i szacunku dla nikogo poza sobą!

Odłożywszy na stół lupę, lord Patterson przyjrzał się uważnie siostrzeńcowi.

- Nie bądź śmieszny, Edwardzie. O ile niczego przede mną nie

ukryłeś, nie masz ani powodu, ani tym bardziej prawa zionąć gniewem z powodu lady Diany.

Panicz potrząsnął w milczeniu głową. Nie zamierzał opowiadać wujowi o tym, jak niełitościwie potraktowano jego umizgi.

- Zaloty to niełatwa rzecz, mój drogi. Dama pokroju lady Farren nie spadnie ci na kolana jak przejrzała śliwka. Jest córką księcia, arystokratką. Zna swoją wartość. Nie oczekuj, iż będzie zachęcać cię równie otwarcie, jak mleczarka albo modystka. Jeśli istotnie zamierzasz poprosić o jej rękę, musisz być cierpliwy i wytrwale czekać na stosowną okazję.

- Zaiste - mruknął pod nosem Warwick. - Cierpliwość to najlepszy sposób, by zdobyć zakłamaną latawicę.

- Co mówisz, chłopcze? Nie dosłyszałem.

- Mówię, że idę na przechadzkę. - Pokona ją jej własną bronią. Przyłapaną na gorącym uczynku, zacznie śpiewać na inną nutę. Przekona się, że podobne łajdactwa nie uchodzą na sucho. Oto jak ujarzmi serce wielkiej damy. Miałby zamiast tego jęczeć i wzdychać, całując rąbek jej sukni? Za nic.

Zatrzymawszy bryczkę na skraju placu, stangret wskazał biczem fontannę.

- Fontana di Trevi, mia donna.

Diana zmierzyła wzrokiem tłum w poszukiwaniu Willa Carneya.

- Grazzie.

Woźnica skinął głową, po czym usadowił się wygodnie i wyjął spod siedzenia zawiniątko z posiłkiem.

- Wiesz, która godzina? Quale ora?

- Due, mia donna.

Druga, a więc przybyła na czas. Obawiała się opuścić po wóz i ruszyć w umówione miejsce bez eskorty. Chłopak nie pozostawił jej jednak wyboru. Zaznaczył w liście, że ma być sama. Uszła zaledwie trzy kroki, gdy nagle wyrósł przed nią jak spod ziemi bosonogi, obdarty chłopiec.

- Lady, lady! - pokrzykiwał, uczepiwszy się jej rękawa. - Ja mówię po angielski.

- Precz, ty obszarpana małpo! - Potężna postać wdarła się między nich i odepchnęła malca, przewracając go na trotuar. - Ta dama jest ze mną!

- Will! - Diana spojrzała w oszołomieniu na przybysza. - Will... nie rozpoznałam cię w pierwszej chwili.

- Sam z trudem się rozpoznaję, złotko. - Stał tak blisko, że wyczuwała w jego nieświeżym oddechu alkohol. - Twój papcio tak mnie urządził.

Miał krzepkiego osiłka, jakiego zapamiętała z Aston Hall stał przed nią przygarbiony nędzarz. Brudne włosy opadały mu na twarz, miał na sobie podarte łachmany i buty związane kawałkami sznurka. Zatracił całą swą buńczuczność, w jej miejsce pojawiło się nieufne i przelęknione spojrzenie przekrwionych oczu, którymi wodził dookoła placu, jakby nie potrafił się na niczym skupić.

- Nie możesz winić mego ojca za to, iż wpadł w gniew - próbowała się bronić. - Wiem, że posłanie cię do marynarki nie było słuszne...

- Nie było słuszne? Tyle to dla ciebie znaczy? Tatuś się po prostu pomylił, co?

Wystraszona, cofnęła się o krok.

- Prosiłam go, by tego nie robił. Wstawiłam się za tobą. Błagałam, by cię oszczędził, ale nie chciał słuchać. Tłumaczyłam mu, że nie zasłużyłeś na taką karę.

- Pewnie, że nie zasłużyłem. Dobrze o tym wiesz! - Głos drżał mu od gniewu i goryczy. - Odebraliście mi życie! Jak psa zakuliście w kajdany i wrzuciliście na zatechłą łajbę, bym po kres dni obcował z bandą szaleńców i nikczemnym zbirem, jej kapitanem.

- Ale skoro tu jesteś, musieli cię przecie wypuścić. Roześmiał się szyderczo.

- Sam się uwolniłem. Zbiegłem ze statku w Neapolu i dotarłem aż tutaj, żeby cię odnaleźć.

Chwyił ją za łokieć i odciągnął na bok. Wskazując palcem na swą twarz, zmusił, by spojrzała na okropną bliznę w kształcie litery Z.

- Oto pamiątka, jaką zostawił mi twój wielmożny ojciec! Kazał naznaczyć mnie jako złodzieja, bo próbowałem skraść cnotę jego

niewinnej córce!

Diana wpatrywała się w niego oniemiała z przerażenia. Wiedziała, iż takie piętno skazuje go na los wiecznego banity, a każdy pojmany marynarz, który opuścił swój statek, zostaje natychmiast stracony. Była powodem całego zła, które mu wyrządzono. Wszystkie te krzywdy spotkały go wyłącznie dlatego, że pewnego letniego wieczoru dla głupiej zachcianki pozwoliła mu się pocałować.

- Wybacz mi, Will - szepnęła, szczerze mu współczując. - Naprawdę mi przykro.

- Do diabła z twoimi przeprosinami! Dawaj pieniądze! Przełknęła ślinę.

- Nie mam. Nie dysponuję aż tak dużą sumą.

- Nie czytałaś mego listu?! - krzyknął, wpijając jej palce w ramię. - Czy nie wyraziłem się dość jasno? Ostrzegałem, co zrobię, jeśli nie dostanę zapłaty. Tylko ty i ja wiemy, że niesłusznie wypalono mi znak złodzieja. Innym spodoba się opowieść stajennego o tym, jak chętnie książęca córka rozłożyła przed nim nogi.

- Proszę, Will. Miej litość. Zachowaj milczenie. Tylko na jakiś czas. Zdobędę dla ciebie pieniądze. Przysięgam! Spotkajmy się po moim powrocie do Anglii.

- Mam się z tobą spotkać w Anglii? Chcesz, żeby znów zakuli mnie w dyby albo powiesili? - Zaklął nieprzystojnie. - Nie, milady! Teraz jest pora zapłaty.

- Daj mi chociaż tydzień. Nie zawiodę cię. Dam ci to, czego się domagasz, tylko nikomu nie mów, błagam!

Spojrzał na nią z góry wzrokiem pełnym nienawiści.

- Jesteś gorsza niż zwykłe ulicznice. Te przynajmniej dają to, za co im się płaci.

Łkając bezgłośnie, próbowała się uwolnić, lecz trzymał ją w żelaznym uścisku.

- Znaj moją szczodrość. Daję ci dwa dni. Spotkamy się w tym samym miejscu. Jeśli nie dostanę tego, czego chcę, rozgłoszę, jaka z ciebie „wielka dama”.

Puścił ją tak gwałtownie, że wpadła na jakąś staruszkę, która stała

nieopodal z koszem owoców. Kobieta zaczęła wymachiwać rękoma, obrzucając ją stekiem wyzwisk.

- Scusa, scusa - wymamrotała Diana. Nim zdążyła się pozbierać, Will zniknął jej z oczu. Odetchnąwszy z ulgą, popędziła z powrotem do powozu.

Dwa dni. To zbyt krótko, by spełnić jego żądania. Ale jakież miała wybór. Przekonała się, że Carney bez wahania rzuci ją wilkom na pożarcie. Co gorsza ujawnienie prawdy zaszkodzi także jej ojcu. Angielscy arystokraci cieszą się wprawdzie ogromnym poważaniem, nie mają jednak prawa samowolnie wymierzać sprawiedliwości. Londyńskie gazety zaczną nawoływać do postawienia księcia Astona przed sądem, a jeśli dojdzie do procesu, cała jej rodzina zostanie wykluczona z towarzystwa.

Gnębiło ją ogromne poczucie wstydu. Wpadała w desperację na samą myśl o tym, iż ściągnęła na siebie i bliskich katastrofę jednym nieprzemyślanym rendez-vous ze służącym.

Edward nie dowierzał własnemu szczęściu. Ze świecą by szukać takich fortunnych splotów okoliczności. Może los nareszcie zaczął mu sprzyjać? Kiedy wybiegł rozsierzdony z gospody, odkrył ze zdziwieniem, że w oddali wciąż majaczy sylwetka powozu, którym odjechała Diana. Wiedziony impulsem, postanowił ją śledzić.

Wprawdzie liczył na to, że ujrzy rywala, nie sądził jednak, iż będzie świadkiem tak dramatycznej sceny. Kryjąc się w ciżbie ulicznych handlarzy, podkradł się na tyle blisko, by słyszeć niemal każde słowo żebraka, z którym spotkała się lady Farren.

Najwyraźniej łączyła ich w przeszłości jakaś zażyłość i psubrat próbował ją teraz szantażować.

Znakomita okazja, by zostać bohaterem, pomyślał, niemal zacierając ręce z uciechy. A gdyby tak pojawił się znikąd i obronił ją przed tym szubrawcem? Z pewnością byłaby mu wdzięczna i zachwyciłaby się jego bezprzykładnym męstwem. Nic tak nie roztkliwia dam, jak rycerskość.

Zamysł ów miał jednakowoż poważny mankament. Dręczyciel damy wyglądał na doprowadzonego do ostateczności desperata, a

tacy potrafili wykrzesać z siebie niezmierzone pokłady sił. Co, jeśli przeciwnik wyciągnie zza pazuchy pistolet lub nóż, albo co gorsza powali go na ziemię? Nie miał ochoty podejmować aż takiego ryzyka, tym bardziej że nie był pewien, iż spotka go za to oczekiwana nagroda.

Warto znaleźć bezpieczniejszy sposób pozyskania przychylności panny. Po cóż od razu narażać na szwank własne bezpieczeństwo? Szantażysta był zbiegiem, a królewska flota nie obchodzi się z dezertierami szczególnie łagodnie. Wiesza się ich bez wyjątku. Wystarczyło śledzić gagatka do pobliskiej tawerny, a potem wystąpić w roli oddanego patrioty i posłać go do admiralicji. Natychmiast by go pojmano i po kłopotcie. Szkopuł w tym, że choć dziewczyna pozbyłaby się na zawsze problemu, nie poznałaby imienia swego wybawcy. Z drugiej strony, znając jej grzeszki, Edward miałby nad nią władzę. Gdyby sprawy między nimi dwojgiem nie ułożyły się po jego myśli, mógłby zagrozić jej skandalem.

Zwabiony harmidrem, wychynął ze swej kryjówki i ujrzał grupkę żołnierzy piechoty morskiej. Pod eskortą oficera zmierzali w stronę fontanny, w otoczeniu małych uliczników i sfory zbłąkanych psów. Niebawem weszli do karczmy znajdującej się w odległości zaledwie kilku kroków od placu. Pod drzwiami natychmiast zrobiło się zbiegowisko. Głodni darmowej rozrywki przechodnie czekali na dalszy rozwój wypadków. Nie rozczarowali się. Wkrótce ze środka wywleczono zakutego w kajdany szantażystę lady Farren. Najwyraźniej nie obyło się bez walki; z warg więźnia obficie kapłała krew. Kilka minut później przedstawienie się skończyło, a cała grupa zniknęła za rogiem.

Warwick nie posiadał się z radości. Dni zbiega były policzone, a on nie musiał nawet przyłożyć do tego palca. Zdobył za to cenną wiedzę na temat Diany. Życie pełne jest miłych niespodzianek, pomyślał rozradowany, zmierzając w stronę Piazza di Spagna.

Rozdział dziewiąty

Anthony zawsze myślał o sobie bardziej jak o Włochu niż Angliku. Można by rzec, iż niemal we wszystkim przypominał matkę. Odziedziczył po niej nie tylko wygląd i zamiłowanie do sztuki, lecz także poczucie humoru oraz żywiołowy temperament.

A jednak to nie rzymianka, lecz Angielka bez reszty zawróciła mu w głowie. Dziewczyna z kraju jego ojca oczarowała go jak żadna dotąd. Niedorzeczne, jak twierdziła Lucia, ale prawdziwe. Nawet nie próbował wypierać się tego przed samym sobą. Wystarczyło, że o niej pomyślał, i już się uśmiechał. Dawno już przestało mu zależeć na wygranej w zakładzie i nie dbał o to. W zasadzie ostatnio obchodziła go niemal wyłącznie Diana.

- Wszystko gotowe, milordzie - oznajmił z powagą lokaj, który jak zwykle spisał się niezawodnie.

- Znakomicie, Carlo. Otworzyliście bramę na dziedzińcu?

- Tak, jaśnie panie. Godzinę temu, wedle życzenia.

- A mała komnata na górze przygotowana?

- Tak jak jaśnie pan rozkazał. Świece zapalone, stół nakryty do kolacji.

Pomieszczenie, o którym mówili, znajdowało się w najodleglejszym zakątku pałacu i stanowiło prawdziwy klejnot pośród innych pokoi. Ściany komnaty były wyściełane aksamitem, meble zdobione złotem, a ogromne łoże wsparte na rzeźbionych w drewnie wizerunkach jeleni. Wymarzone miejsce, by jeszcze tej nocy zakończyć pogoń za angielską boginią. Anthony nie mógł się doczekać chwili, gdy znów będą sami, choć obawiał się nieco reakcji dziewczyny na oczekującą ją niespodziankę.

Z dołu zaczynały dobiegać odgłosy rozmów i kobiece śmiechy. Przybyli pierwsi goście.

- Carlo, pójdźmy czynić honory - odezwał się, wyglądziwszy ostatni raz koronkowe mankiety.

Aż dziw, jaki był przejęty, by nie powiedzieć zdenerwowany.

Nawet nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuł się tak z powodu kobiety. Miał tylko nadzieję, że i ona poczuje to samo, gdy wreszcie zostaną sobie oficjalnie przedstawieni.

Zatrzymawszy się w przedsionku pałacu, Diana zaczerpnęła głęboko tchu. Czekwała, aż panna Wood poda jej nazwisko kamerdynerowi. Wiedziała, jak wiele znaczy dobre wejście, i miała je opanowane do perfekcji. Przez kilka następnych sekund wszystkie oczy będą zwrócone na nią, powinna zatem zapomnieć o lęku i zgryzocie, jakie zasiał w jej duszy Carney, i skupić się na reprezentowaniu rodziny.

Szczęściem nie musiała się obawiać o swój wygląd. Zdecydowała się nie pudrować włosów. Zamiast tego poleciła

Deborze starannie je uczesać i ułożyć na ramieniu w pojedynczy lok. Miała na sobie nową, szykowną suknię, uszytą według najmodniejszych francuskich wzorów.

- Lady Diana Farren - obwieścił uroczyście lokaj. Wyprostowała plecy, rozluźniła ramiona i splótłszy

wdzięcznie dłonie, ruszyła płynnym krokiem do oświetlonego kandelabrami salonu. Uśmiechała się pogodnie i czarująco, lecz nie przymilnie. Jej wzrok przesuwiał się powoli po zgromadzonych w sali osobach. Starła się porzucić ponure myśli o pogrózkach Willa i swej zagrożonej przyszłości. Nie mogła pozwolić, by przygnębienie odbiło się na jej twarzy.

Gospodarz przyjęcia i konsul w jednej osobie skłonił się nisko, gdy do niego podeszła.

- Milady - odezwał się, wysuwając z galanterią dłoń. - Jestem zaszczycony. Pani obecność uświetni dzisiejszy wieczór.

- Dziękuję, sir Thomasie. Bardzo pan miły. - Spuściwszy skromnie wzrok, dygnęła nieznacznie, choć jako córka arystokraty nie powinna czynić podobnych gestów w stronę zwykłego szlachcica. Wiedziała jednak, że sędziwi dżentelmeni wysoce sobie cenią takie dowody uprzejmości. Ponadto sir Thomas Howe okazał względem nich wielką życzliwość. - Ja również jestem rada, iż mogę być pana gościem. - Podała mu koniuszki palców.

- Za pozwoleniem, pragnę przedstawić pani dżentelmena, który użyczył nam swego olśniewającego domostwa. Milady, nasz gospodarz, lord Anthony Randolph.

Lord Anthony? Diana poderwała gwałtownie głowę. Wystudiowany spokój i pogoda ducha nagle ją opuściły. Oniemiała ze zdumienia, zacisnęła kurczowo dłoń wokół ręki sir Thomasa. Antonio - czy też Anthony - stał przed nią w całej swej okazałości. Miał na sobie niebywale elegancki i wyszukany strój w różnych odcieniach granatu i błękitu. Cóż z tego, że był ubrany jak lord, skoro w oku nadal tlił mu się szelmowski błysk. Najwyraźniej dla niego to tylko kolejny żart. Pannie Farren nie było jednak szczególnie do śmiechu.

Dlaczego nie powiedział jej, że jest Anglikiem? Na cóż była mu potrzebna ta maskarada? Czy doprawdy musiał odgrywać przed nią rzymskiego nicponia o wątpliwej reputacji? Czy nie prościej byłoby wyjawić, iż jest arystokratą z tytułem tudzież właścicielem imponującego pałacu? Boże drogi, zwyczajnie ją zwodził, próbując wciągnąć w swoje nieczne gierki. Niech piekło pochłonie jego i wszystkich mężczyzn! Wieczne utrapienie! Lepiej już cierpieć brak adoratorów, niż trafić na takiego zadowolonego z siebie łgarza i niecnotę!

- Milady? - zatroskał się sir Thomas. - Coś pani dolega?

- Proszę wybaczyć - odparła Diana już opanowanym głosem.

Uśmiechając się ciepło do konsula, całkowicie zignorowała Antonia. - Lord Randolph nieco mnie zaskoczył, to wszystko. W pierwszej chwili wydał mi się uderzająco podobny do pewnego dżentelmena, którego niegdyś znałam, teraz jednak widzę, iż nie mają ze sobą wiele wspólnego.

- Jestem ogromnie szczęśliwy, iż mogę panią poznać, milady - odpowiedział jej z uśmiechem Anthony.

- Pański pałac jest wyjątkowo okazały, milordzie - rzuciła kąśliwie. - Nie pojmuję, jakim sposobem udaje się panu trzymać go w ukryciu?

- Och, pozwolę sobie zaoponować - włączył się Thomas Howe. -

Palazzo di Prosperi jest znany w całym Rzymie. Większość mieszkańców stolicy zgadza się, iż dorównuje świetnością siedzibom rodów Farnese i Barbarini.

- Prosperi zawsze mieli wyśmienity gust - stwierdził Anthony ze wzrokiem utkwionym w Dianie. - Niejednokrotnie udowadnialiśmy, iż jesteśmy wytrawnymi znawcami nie tylko architektury i malarstwa, lecz również niewiast.

Howe odchrząknął z cicha, nie ważąc się w inny sposób wyrazić dezaprobaty wobec słów gospodarza.

- Zaiste, pańscy krewni zawarli na przestrzeni wieków wiele korzystnych związków.

- Moi przodkowie wybierali swe kobiety tak jak wszystko inne, sir Thomasie. Nie kierowali się potrzebą czy koniecznością, lecz uznaniem dla wybranki oraz pragnieniem szczęścia.

Panna Farren wiedziała, że to komplement dla niej, Antonio za bardzo ją jednak rozgniewał, by jego pochlebstwa robiły na niej wrażenie. Nie umknęło także jej uwagi, jak starannie unika słowa „żona”.

- Rozumiem, iż w Rzymie jest rzeczą naturalną zrównywać kobiety z obrazami wystawianymi na sprzedaż w galeriach - zauważyła cierpko. - Zapewniam, że angielscy dżentelmeni zwykli okazywać swym niewiastom więcej szacunku i poważania.

- Ależ jego lordowska mość sam jest Anglikiem - zaprotestował Howe. - Jego ojcem był hrabia Markham, wielce poważany i szlachetny dżentelmen, niechaj odpoczywa w pokoju. To za sprawą matki, przedstawicielki jednego z najstarszych rzymskich rodów, lord Randolph może uchodzić również za Włocha.

- Otóż to - podchwycił Anthony. - To dlatego jednego dnia mogę bez przeszkód przedstawiać się jako Anthony, drugiego zaś jako Antonio - wyjaśnił z irytującą swobodą. - Czyni to moje życie znacznie ciekawszym.

- Lub bardziej obłudnym - odparła uszczypliwie Diana. - Obawiam się, iż pańskie tłumaczenia niezbyt mnie przekonują.

W duchu musiała jednak przyznać, że wszystko nagle zaczyna

nabierać sensu. Nareszcie dało się wyjaśnić biegłość jego angielszczyzny oraz znajomość angielskich obyczajów. Nie dziwiła jej już również niezwykle trafność, z jaką potrafił przewidzieć jej poczynania.

- Ale to wszystko prawda - rzekł sir Thomas, świadom napięcia, jakie wytworzyło się między gospodarzem i jego gościem. - Sir Anthony łączy swą osobą najlepsze cechy rzymianina i Anglika.

- Bardzo pan łaskaw, sir, dziękuję. - Lord Randolph ujął z pietyzmem dłoń Diany i zamknął w swojej. - Jak przystało Anglikowi, darzę damy takie jak pani najwyższym szacunkiem. Dzięki domieszce włoskiej krwi natomiast potrafię docenić pani urodę, którą uważam za najdoskonalsze dzieło Stwórcy.

Nim zdążyła cokolwiek odrzec, uniósł jej palce do ust i musnął wargami. Zrobił to tak delikatnie, że zadrżała. Jej myśli w jednej chwili pobiegły ku ich pierwszemu pocałunkowi w Koloseum.

A niech go! Anglik czy Włoch, cóż on takiego w sobie ma, że udaje mu się bez trudu doprowadzić ją do tak nikczemnego stanu?

- Zręcznie powiedziane, milordzie. Winszuję. - Konsul postał obojgu szeroki uśmiech, jakby byli wzorowymi uczniami, którzy wykonali zadanie zasługujące na najwyższą notę. - Sama pani widzi, milady, iż trudno oprzeć się logice tego stwierdzenia. - Zerknął dyskretnie na zgromadzonych u wejścia gości. Ponieważ Diana była osobą stojącą najwyżej w hierarchii, pozostali musieli czekać, aż dokończy rozmowę, choćby miało jej to zająć całą noc. - Może zechce pani wraz z guwernantką obejrzeć kolekcję pałacowych dzieł sztuki? - podsunął zręcznie. - Jest z panią, prawda? Mam na myśli pannę...

- Wood - dopomogła mu, próbując odszukać wzrokiem opiekunkę, która jak na złość przepadła jak kamień w wodę. - Powinna być gdzieś w pobliżu...

- Chętnie sam pokażę pani obrazy - zaofiarował się Anthony. - W końcu należą do mojej rodziny. Któż więc zrobi to lepiej niż ja?

Zawahała się. Wpatrywał się w nią z uwagą niebieskimi oczami, rzucając jej zarazem wyzwanie. Nie wolno jej pozwolić sobie na słabość. Los dostatecznie pokarał ją już za nierozwagę. Czy sprawa z

Willem nie wystarczy jej za nauczkę?

- W rzeczy samej, milady - potwierdził sir Thomas, spoglądając wymownie w stronę westybulu. - Nie sposób o lepszego przewodnika niż lord Randolph.

- Szczera prawda. - Anthony uśmiechnął się bezwstydnie. Diana nie mogła się wprost nadziwić, że konsul nie dostrzegł w jego zachowaniu niczego niewłaściwego. - Daję słowo, iż w moim towarzystwie nigdy nie będzie się pani nudzić.

Szelma, zrobił to specjalnie. Odgadł, że ją tym zawstydzi, i nie pomylił się. Natychmiast przypomniała sobie, w jaki sposób zabawiał ją wcześniej, i poczuła, że oblewa się gorącym rumieńcem. Serce zaczęło jej bić mocniej, jak zwykle gdy był w pobliżu.

- Lady Diano, błagam - rzekł konsul. Nie mógł dopuścić, by reszta gości posądziła go o brak manier. - Mogę posłać kogoś, by odnalazł pannę Wood, albo może pani...

- Być dzielna i pójść ze mną - dokończył za niego lord Randolph. - Ale jeśli woli pani pozostać tchórzem...

- Niczego się nie boję - odparła wyniośle. - I nie jestem tchórzem. Chodźmy, proszę pokazać mi te swoje przekłete obrazy. Natychmiast!

Wyraźnie zgorszony sir Thomas otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Anthony natomiast skwitował jej reakcję śmiechem i ułożył sobie jej dłoń na ramieniu.

- Co tylko pani rozkaże. Nie przechwalałem się, twierdząc, iż moja rodzina ma doskonały gust. Malowidła, które znajdują się w tym pałacu, zaliczane są do najwspanialszych w Rzymie. Doszły mnie słuchy, iż sam Jego Świątobliwość zazdrości mi pewnego płótna Rafaela, które wisi w bibliotece.

- Papież zazdrości panu obrazu? - zapytała podejrzliwie, kiedy poprowadził ją do galerii. Wciąż znajdowali się w zasięgu wzroku reszty zgromadzenia. - Trudno w to uwierzyć, milordzie, choć może nie powinnam się dziwić. Przekonałam się, iż nie warto dawać wiary pańskim słowom.

- Anthony - poprawił ją - lub Antonio. Jak wolisz.

- Dlaczego nie powiedział mi pan, że jego ojciec był Anglikiem? - zapytała z wyrzutem.

Wzruszył nonszalancko ramionami.

- Wydawało mi się to nieistotne.

- Nieistotne?! Kazał mi pan sądzić, że jest kimś... kim nie jest.

- Nic podobnego, moja słodka. Wierzyłaś w to, w co chciałaś wierzyć. Używam obu imion i nikomu w całym Rzymie nie wydaje się to dziwne. Ale dość już między nami tych ceremonii, proszę, nie po tym co...

Spasowała i odwróciła wzrok. Patrzyła wprost przed siebie, nie widząc niczego dookoła.

- Nie musi mi pan przypominać, co zaszło podczas naszego poprzedniego spotkania. Doskonale o tym pamiętam i nie zamierzam pozwolić, by to się kiedykolwiek powtórzyło.

- Jakże to? - zdumiał się. - Jestem zdruzgotany. Powiedz, cara, czy nie tego chciałaś? Czyż nie dałem ci rozkoszy?

- Nie o to idzie - przerwała mu pospiesznie, oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt nie słyszy. - Nie jestem nawet pewna, czy to, co zrobiłeś, było przyjemne... - zająknęła się, widząc na jego twarzy powątpiewanie. - Myślałam, że tylko się pocałujemy - próbowała wyjaśnić. - Nigdy bym... Nigdy nie...

- Nie kochał cię przedtem żaden mężczyzna?

Obróciła się gwałtownie, by ukryć łzy, które niespodziewanie napłynęły jej do oczu. Nie chciała się przy nim rozplakać.

Pochodziła z dobrego domu, była piękna i bogata. Podziwiano ją i zazdrozczono jej wszędzie, gdzie się pojawiała. Ledwie pamiętała licznych mężczyzn, którzy przewinęli się przez jej krótkie życie, ich niezdarne pieszczoty i skradzione pocałunki. Pozwalała im na nie, bo łaknęła miłości i akceptacji, o której ją zapewniali.

A jednak z nich wszystkich tylko Anthony przedkładał jej pragnienia ponad swoje. On jedyny chciał dawać, a nie tylko brać. Jako młoda arystokratka i dziewczyna nie powinna była pozwalać mu na taką zuchwałość, lecz jako kobieta... cóż... Nie znajdowała właściwych słów, by opisać, jakie wzbudzał w niej uczucia.

Nic dziwnego, że od początku wydawał jej się inny, że tęskniła za jego widokiem, a zarazem obawiała się zostać z nim sama. Nic dziwnego, że nie potrafiła odpowiedzieć na jego pytanie.

„Nie kochał cię przedtem żaden mężczyzna?”

- To nic. Nieważne - rzekł w końcu, przerywając długie milczenie. - Dajmy temu pokój.

Obejrzała się, niepewna, co ma na myśli. Przyglądał jej się z uwagą, lecz wcześniejsze powątpiewanie na jego twarzy zamieniło się w coś zgoła innego. Zrozumienie, a może nawet tkliwość.

Uciekła spojrzeniem w bok i utkwiała oczy w oprawionym w złotą ramę obrazie przedstawiającym skąpo odzianą, urodziwą kobietę. Bez trudu rozpoznała w niej egipską królową, Kleopatę. Obok niej w cieniu palm zasiadały dwórki oraz uwiązane srebrnymi łańcuchami leopardy i krokodyle.

- Ten... ten obraz dorównuje rozmiarami małemu domowi - odezwała się, próbując ukryć drżenie głosu. Wiedziała, że jeśli się rozpłaczę, nie będzie potrafiła przestać. - Gdyby była z nami moja siostra, Mary, od razu powiedziałyby mi, kto go namalował.

- To dzieło Tintoretta. I rzeczywiście, cara, płótno jest ogromne, ponieważ zostało zamówione specjalnie na tę ścianę.

- Ach, tak. - Powoli zaczynała zapominać o łzach. - Tintoretto musiał być wielce uradowany z tak dużego zamówienia.

- Podejrzewam, że istotnie był. - Anthony zaśmiał się. - Zwłaszcza, jeśli naliczał zapłatę zależnie od wielkości ramy. Naprawdę nazywał się Jacopo Robusti, ale przyłgnęło do niego przezwisko il tintoretto, mały farbiarz, od zawodu jego ojca który zajmował się w Wenecji barwieniem tkanin.

Diana kiwnęła z zapalem głową i podeszła do kolejnego obrazu.

- To przypomina mi innego artystę. Widziałam już gdzieś jego dzieła, nie mogę tylko przypomnieć sobie jego nazwiska... Też zaczynało się na T.

- Tycjan? - podsunął.

- Tak! Tycjan! - wykrzyknęła uradowana. - Malowidło, o którym myślę, przedstawiało scenę biblijną, bodaj gody w Kanie Galilejskiej,

dostrzegam jednak wyraźne podobieństwa.

- Tycjan był wielkim mistrzem. Podobnie jak Tintorette pochodził z Wenecji, choć spędził kilka lat w Rzymie, przybywając na specjalne zaproszenie papieża. Swego czasu na malował kilka portretów moich przodków.

- Doprawdy? - W jej ojczyźnie mężczyźni gotowi byli się pojedynkować dla szkicu Tycjana, lecz żaden angielski dżentelmen nie mógł się pochwalić wizerunkami krewnych, które wyszłyby spod ręki weneckiego maestra, żaden z wyjątkiem Anthony'ego.

- Owszem - odparł, jakby nic sobie nie robił z tego, że jego dom pełen jest tak cennych skarbów. - My, Prosperi, nie pod damy się bez walki. Wiemy, jak zabiegać o upragniony cel.

- My? Sądziłam, że twój ojciec był Anglikiem?

- Anglikiem z krwi i kości - zapewnił z uśmiechem. - Sądzę jednak, iż w mych żyłach płynie więcej krwi Prosperich. Wystarczy rzucić okiem na te portrety. Przekonaj się sama. Spójrz tylko w te błękitne oczęta, a od razu dojdiesz do wniosku, że moi zacni antenaci to zgraja starych rozpustników.

- Czy ich oczy nie są przypadkiem podobne do twoich?

- Tak powiadają, ale dodają też, że moje są nieco łagodniejsze.

- Możliwe. - Ukryła uśmiech za wachlarzem. - Możliwe.

Za sprawą Antonia poczuła się mądrzejsza i bardziej pewna siebie, a nie tylko piękna. Gdy rozmawiali o obrazach, nie pouczał jej ani nie prawił kazań. Nie zakładał, jak Edward, że ma pusto w głowie. Przeciwnie, był ciekaw jej opinii i słuchał uważnie, gdy je wygłaszała. Ta niespotykana u mężczyzn cecha spodobała jej się znacznie bardziej niż peany na cześć urody, jakich zwykła wysłuchiwać od innych.

- A nie mówiłem, cara? Obiecywałem, że spodobają ci się moje obrazy i dotrzymałem słowa. Ja przynajmniej nie zaciągnąłem cię siłą w kolejne ruiny. Zostawię to Warwickowi.

Przyjrzała mu się, przechyliwszy na bok głowę.

- To ty zabroniłeś sir Thomasowi zaprosić Edwarda i jego wuja, prawda?

- Niczego mu nie zabraniałem. Dałem jedynie do zrozumienia, by tego nie robił. Lubię, gdy moi goście potrafią mnie zabawić i rozweselić, a lord Warwick jest bodaj najmniej zabawną osobą w całym Rzymie.

- To niezbyt miłe z pańskiej strony, milordzie - rzekła oficjalnym tonem, postanawiając nieco mu podokuczać. - Nie spodziewałam się po panu takiego braku taktu. Poprosił pan o przybycie całe angielskie towarzystwo z wyjątkiem tych dwóch dżentelmenów.

- Anthony, moja słodka. - Włożył sobie jej rękę pod ramię i nachylił głowę, by szeptem ponowić prośbę. - Pamiętaj, by zwracać się do mnie po imieniu.

- Anthony - powtórzyła posłusznie. Jakże mogłaby odmówić? Opowieściami o Kleopatrze i Tintoreczie pomógł jej przecież zapomnieć o łzach. Domyślała się, dlaczego tak postąpił. Wyczuł i zrozumiał jej zmieszanie, a to czyniło go zupełnie wyjątkowym. Najwspanialszym z mężczyzn, jakich znała. Przesunęła czule dłonią po jego rękawie. Nie potrafiła sobie odmówić choćby tak niewinnego dotyku.

- Edward poczuł się głęboko dotknięty brakiem zaproszenia. Ciężko mu było przyjąć do wiadomości, iż został pominięty, czemu się zresztą nie dziwił.

- Palazzo to mój dom. Mam prawo zapraszać, kogo mi się podoba. - Zbliżył twarz do jej ucha. - Ty na przykład, droga Diano, nadzwyczaj mi się podobasz.

Z rozmysłem nie podziękowała za komplement. Milczała jak zaklęta, bo tak było bezpieczniej. Oddalili się od pozostałych na bardzo długo. Za długo. Powinni jak najrychlej wrócić, w przeciwnym razie zaczną ich szukać. Mimo to nie chciała jeszcze przerywać słodkiego tete-a-tete.

Randolph zmarszczył brwi, wyraźnie zatroskany.

- Powiedz, cara, wolałabyś, żebym zaprosił Warwicka? Zrobiłem ci nieświadomie przykrość?

- Ależ skądże, bynajmniej - odparła łagodnie. Uznała, że pora przestać się drażnić. Nie pojmowała, jak mężczyzna taki jak on może

być zazdrosny o Edwarda? - Chciałbyś pokazać mi jeszcze inne obrazy?

- Tak. - Musnął palcami jej policzek. - Ale te najciekawsze są na górze. Trzymam je tam specjalnie dla siebie i najbliższych przyjaciół. Na pewno spodobałyby ci się bardziej niż Kleopatra.

Doskonale rozumiała, co mu chodzi po głowie. Kusił ją śmieiej i skuteczniej niż ktokolwiek dotąd.

- Na górze, powiadasz? - powtórzyła z wolna.

- Na górze. - Zerknął szybko za jej plecami na pozostałych gości. - Gdzie twoja guwernantka?

- Nie mam pojęcia. Zniknęła mi z oczu zaraz po tym, jak zostałam zapowiedziana.

- Nie chciałbym, żeby podniosła rwytes, gdyby nie mogła cię znaleźć.

- Nie obawiaj się. Nie zrobi tego. - W każdym razie do tej pory nigdy nie urządziła scen, choć Bóg świadkiem, że Diana dawała jej ku temu liczne powody. Mogła ewentualnie zacząć jej szukać, a i to we właściwy sobie dyskretny sposób. Wypełniała swe obowiązki dokładnie tak, jak tego oczekiwał jej chlebodawca. - Jeśli nie zabawimy zbyt długo.

- A zatem chodźmy. - Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę marmurowych schodów, jakby nie mieli chwili do stracenia. Gdy wspinali się na piętro, objął ją ramieniem, pilnując, by się nie potknęła. Mknęli tak szybko, że nie zdążyła dobrze się przyjrzeć mijanym korytarzom. Zauważyła jedynie, że niemal każdą ścianę domu zdobią imponujące malowidła.

Gdy dotarli na miejsce, otworzył drzwi i puścił ją przodem. Wchodząc do środka, panna Farren westchnęła w niemym podziwieniu. Nie widziała podobnej komnaty ani w Anglii, ani we Francji, ani też w żadnym z włoskich miast, które dotąd odwiedziła. W odróżnieniu od reszty pałacu ten pokój nie imponował olbrzymimi rozmiarami. Przeciwnie, był mały i przytulny. Intymną atmosferę podkreślał czerwony aksamit na ścianach oraz niezliczone świece, umieszczone w zdobnych świecznikach i kandelabrach. Niewielki stół nakryto do

kolacji. Wino czekało, by je rozlać do kryształowych kielichów.

Najbardziej jednak zachwyciło ją umieszczone pośrodku alkowy ogromne łóże, ustawione na podeście. Niemal naturalnych rozmiarów rzeźbione jelenie podtrzymywały mebel na swych grzbietach i porożu. Narzutę wykonano z pięknie wyszywanego czerwonego aksamitu, pościel natomiast kusiła nieskazitelną jedwabistą bielą.

W głowach łóżka wisiał olbrzymi obraz przedstawiający młodą kobietę odzianą w przeświecającą tunikę i srebrne sandały. W dłoniach trzymała łuk i strzałę, a jej złotowłosa głowę zdobił wysadzany brylantami diadem.

- Mówiłem, cara, iż chcę ci pokazać pewien wyjątkowy obraz autorstwa Tycjana. To z pewnością żaden z moich przodków, już prędzej twoja protoplastka. Ale rozpoznałaś chyba boginię łowów, Dianę?

- Tak, nawet ja potrafię rozpoznać swą imienniczkę - odparła, przyglądając się obrazowi z nabożnym podziwem. Był olśniewający.
- Jest piękna, Anthony.

- Tak jak ty. - Stał tuż za nią i objąwszy ją w tali, pochylił głowę, by ucałować jej szyję. - Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz na balkonie, natychmiast pomyślałem o tym obrazie. Nie znałem nawet twego imienia, a wiedziałem, że zostaniesz moją Tycjanowską boginią.

- Naprawdę? - Odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz. - Skąd mogłeś wiedzieć?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu wiedziałem. - Uniosła głowę i ich usta spotkały się, lekko i czule, jakby to było ślubowanie wzajemnego przywiązania, a nie obietnica wielkiej namiętności. - Ujrzałem cię i odtąd zagościłaś w moich myślach na zawsze. Dla kogóż innego tak bym się starał?

- Zrobiłeś to dla mnie? - zapytała z niedowierzaniem. - To łóże, obraz, cały ten pokój, to wszystko dla mnie?

- Wszystko z wyjątkiem łóżka. Legenda głosi, iż należało niegdyś do Katarzyny Medycejskiej. Ja jednak wolę wierzyć, że czekało cały

ten czas na moją własną księżniczkę.

- Och! - wyrwało się Dianie. Bliska łez, ukryła twarz na jego ramieniu. Żaden inny dżentelmen nie zrobił nigdy aż takiego wysiłku, by sprawić jej przyjemność.

Czy to znaczy, że serce Anthony'ego zabiło dla niej mocniej? I czy ona sama także się w nim zakochała? Czyż nie dlatego przyszła z nim tu, choć nie skrywał przed nią swych zamiarów?

- Spójrz na mnie, Diano. - Dotknął palcami jej podbródka, zmuszając, by na niego spojrzała. - Nie chowaj się przede mną. Chcę, byś mnie zapamiętała, tak jak ja zapamiętam ciebie i tę noc. Pragnę, by wyrył się w twojej pamięci każdy szczegół, mia dea di innocenza.

Zapatrzyła się w niego z drżącym uśmiechem.

- To nieuczciwe, że przemawiasz do mnie słowami, których nie rozumiem.

- A o czymże innym mógłbym ci mówić, jeśli nie o miłości? - szepnął z ustami tuż przy jej ustach. - Nazwałem cię swą Dianą, boginią niewinności.

Te czułe zapewnienia podziały na nią niczym kubeł zimnej wody. Daleko jej było do wzoru cnót, za jaki ją uważał. Wierzył, że jest czysta i niewinna, że nie zaznała dotyku żadnego innego mężczyzny. Dawał wiarę pozorom, uważał ją za taką, za jaką pragnęła uchodzić: płochliwą córkę angielskiego księcia. Jakże się mylił. W rzeczywistości nie była nikim innym niż rozwiązłą dziewczką, która pozwalała, by jej postępkami kierowały pokusy i namiętności. Co gorsza, stała teraz przed widmem szantażu lub zgubnego skandalu.

Anthony zaofiarował jej miłość, a ona mogła mu się zrewanżować jedynie fałszem i oszustwami.

- Czy aż tak cię to przeraża, cara mia? - zapytał na poły żartobliwie, na poły z niepokojem. - Czy to moje wyznania wprawiają cię w taki niepokój?

Wysunęła się z jego objęć. Bez względu na następstwa winna mu była szczerść. Gdyby był niefrasobliwym bawidamkiem, za jakiego miała go jeszcze wczoraj, jej przeszłość nie stanowiłaby żadnej

przeszkody. Teraz jednak, gdy wiedziała, że jest angielskim dżentelmenem, arystokratą i człowiekiem honoru, nie miała wyboru, musiała wyznać mu prawdę. To jedyny sposób, by zasłużyć na jego zaufanie i miłość.

Ale jakże znaleźć właściwe słowa? Jak opowiedzieć mu o Carneyu? Jeśli Will spełni swoje groźby, skandal zaszkodzi także i sir Randolphowi, a wtedy może zacząć spoglądać na nią z pogardą, na którą bez wątpienia zasługiwała.

- O co chodzi, Diano? - Znów ją objął. - Powiedz mi, proszę. Czy to myśl o miłości tak cię..

- Błagam, nie mów mi o miłości - załkała boleśnie, wyswobodziwszy się z jego rąk. - Och, Antonio, nie przemawiałbyś do mnie w ten sposób, gdybyś wiedział o mnie więcej.

- A cóż mnie obchodzą cudze sądy? - odparł, wyciągając ku niej ramiona. - Chodź do mnie, cara. Nie pozwól, by...

- Chodzi o... innego mężczyznę. Zamarł skonfundowany.

- O Warwicką?

- Nie - zaprzeczyła żałośnie. - To nikt, kogo znasz, ale on... ma nade mną władzę... Nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

- Spróbuj. Proszę, cara, daj mi szansę zrozumieć.

- Nie mogę - wyszeptała, obejmując się ramionami. - Za bardzo się lękam. Nie będę miała odwagi spojrzeć ci w twarz po tym, jak usłyszysz prawdę. Nie zasługuję na twoje uczucia, Antonio. Nie jestem cię warta.

Nim zdążył ją powstrzymać, nim sama zmieniła zdanie, obróciła się na pięcie i uciekła.

Rozdział dziesiąty

Anthony siedział pod markizą kawiarni ze wzrokiem utkwionym w fasadę gospody. Filiżanka kawy i gazeta spoczywały przed nim nietknięte na stoliku.

Wczorajszy wieczór zakończył się fiaskiem. Co gorsza, wciąż nie pojmował dlaczego. Był pewien, że Diana darzy go szczerą sympatią, ba, być może nawet kocha. Niejednokrotnie udowodniła swym zachowaniem, iż bez trudu pozwoliłaby mu się uwieść. Miał spore doświadczenie z kobietami i potrafił rozpoznawać wysyłane przez nie sygnały. Sam był nią nie mniej oczarowany niż ona nim. Przepadał za jej towarzystwem, bez względu na to, czy dyskutowali o malarstwie, czy droczyli się na temat błahostek. Uwielbiał jej śmiech, pocałunki i lotny umysł. Podobała mu się także ufność, z jaką poddawała się jego pieścizotom. Nie było na ziemi drugiej takiej jak ona.

Musiał przyznać przed samym sobą, że się zakochał, głęboko i bezgranicznie, choć był to dla niego stan zupełnie nowy i niepojęty. Nie był przygotowany na taką intensywność uczuć. Bywał już zadurzony, lecz nigdy do tego stopnia.

Swego czasu śmiał się i kpił, gdy matka przepowiadała, że i jego dosięgnie kiedyś strzała Amora. Przewidziała, iż kompiętnie straci głowę dla kobiety. Nie myliła się. Dopiero teraz zrozumiał, że miłość to nie harce i czcze gierki, lecz śmiertelnie poważna sprawa, kto wie, może nawet najważniejsza w życiu. Nie wątpił, że mama, gdyby żyła, potrafiłaby mu wytłumaczyć, czemu, choć darzą się oboje tak wielkim uczuciem, Diana nie chce tego przyznać.

Wpatrywał się w okno gospody, rozpaczliwie pragnąc ujrzeć choćby jej cień. Dlaczego wmówiła sobie, że obchodzą go mężczyźni, których niegdyś darzyła względami? Biorąc pod uwagę jej żywiołowy temperament, zdziwiłby się, gdyby nikogo przed nim nie było. Nie dbał o przeszłość. Liczyło się jedynie to, że teraz to jego nosiła w sercu. Pragnął pozostać w nim na zawsze. Nie dała mu

jednak sposobności, by jej o tym powiedział.

Kwiaty musiały już trafić do jej rąk. Posłał je na górę co najmniej przed kwadrans. Czy zanurzyła już twarz w płatkach, by napawać się do woli słodkim zapachem? Czy odnalazła ukryty we wstążce liścik i odczytała jego treść? „Wybacz, najmilsza, jeśli mimowolnie wyrządziłem Ci krzywdę”. Czy przyjmie jego przeprosiny i wybiegnie mu na spotkanie, jeśli zapuka do jej drzwi? Czy zapomni o przeszkodach, które powstrzymały ją wczoraj?

Wstyd i sromota! Kto to słyszał, żeby Randolph wysiadywał pod domem jak pies spragniony widoku swej pani? Szczęściem natura Prosperich zwyciężyła i kazała mu walczyć o swoje. Cóż bowiem może być ważniejszego od kochania? Duma i próżność nie zastąpią szczęścia, które może dać mu tylko Diana. Zdobędzie ją, choćby kazała mu na siebie czekać po kres życia.

- Jakie piękne! - zachwyciła się panna Wood, gdy pokojówka wręczyła jej podopiecznej bukiet. - Zwróciłaś może uwagę, czy posłaniec je doręczył?

- Miał na sobie liberię lorda Randolpha - odrzekła służąca. - Każdy rzymianin potrafi ją rozpoznać.

- To lord Anthony je przysłał? - zatrwożyła się Diana, odsuwając od siebie kwiaty, jakby zamieniły się w kłębowisko jadowitych węży.

- Na pewno załączył jakiś bilecik. - Guwernantka podeszła bliżej, zaglądając z zaciekawieniem pomiędzy pączki róż, po czym uśmiechnęła się promiennie do Edwarda i jego wuja, którzy nie wstali jeszcze od stołu po wspólnym posiłku. - Sir Randolph był wczoraj zauroczony lady Dianą. Osobiście pokazał jej pałacową galerię. Nie jestem zaskoczona, iż postanowił w ten sposób dać wyraz swemu zachwytowi.

- Ten człowiek to nikczemnik i łajdak - prychnął pogardliwie wielebny Patterson. - Szlachetne damy powinny unikać go jak ognia piekielnego. To wprost niepojęte, jakim prawem śmie mienić się Anglikiem? Wystarczy na niego spojrzeć, by stwierdzić, że nie jest jednym z nas. Wyznam, iż dziwi mnie, że przyjęły panie jego zaproszenie.

- My z pewnością byśmy nie przyjęli - wtrącił Edward, odsuwając krzesło. - Nawet gdyby nas zaproszono. Anthony obraca się wśród najgorszego motłochu. Upadłe kobiety i szarlatani to nie towarzystwo dla płochliwych niewiast.

- Zdumiewają mnie pańskie słowa, milordzie - rzekła panna Wood. - Wczorajsi goście lorda Randolpha i sir Thomasa dali się poznać z jak najlepszej strony. A Palazzo di Prosperi jest doprawdy imponujący. To jedna z najwspanialszych budowli, jakie widziałam.

- Krzykliwy przepych w watykańskim stylu - skwitował z lekceważeniem duchowny.

- Czy służący lorda Randolpha jest jeszcze na dole? - zwróciła się Diana do pokojówki.

- Tak, jaśnie pani. Przykazano mu poczekać na odpowiedź.

- W takim razie odnieś mu, proszę, bukiet i poproś, by oddał go swemu panu. - Choć pękało jej serce, wręczyła dziewczynie kwiaty z takim impetem, że płatki posypały się na podłogę. - Powiedz, że nie chcę więcej widzieć ani jego lordowskiej mości, ani jego podarunków.

- Dalibóg, milady! - oburzyła się opiekunka. - To przesadnie szorstkie słowa!

- Być może. Lecz biorąc pod uwagę, iż są prawdziwe, nie zamierzam ich cofać.

- Brawo, pani! - podekscytował się Edward. - Trafnie powiedziane! Niech ten włoski przybłąda i niegodziwiec dostanie, na co zasłużył.

Lady Farren odwróciła się gwałtownie, by rzucić mu rozjątrzone spojrzenie.

- Lord Anthony nie jest żadnym przybłądą, milordzie. Jego ojcem, podobnie jak pana, był angielski dżentelmen. Byłabym wdzięczna, gdyby nie oceniał pan w mojej obecności jego charakteru, zwłaszcza że wykazuje pan w tym względzie godną potępienia ignorancję.

Warwick zaczerwienił się po same uszy.

- Proszę o wybaczenie, milady. Chciałem jedynie...

- Pozwolą panowie, że ich zostawię - przerwała mu lodowatym tonem. - Jestem wyczerpana i zamierzam udać się na spoczynek.

Żegnam panów.

- Poobiednia drzemka to istotnie doskonały pomysł - stwierdził wyraźnie przybity Edward. - Mam nadzieję, iż niebawem poczuje się pani lepiej.

Wuj zawtórował mu kiwnięciem głowy.

- Powinna pani zebrać siły przed naszą jutrzejszą wyprawą do katakumb.

Diana wymaszerowała z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Gdy znalazła się w sypialni, natychmiast rzuciła się na łóżko i wtuliła twarz w poduszkę.

Dlaczego, na Boga, Anthony przysłał jej kwiaty? Nie zrozumiał tego, co tak rozpaczliwie próbowała mu wczoraj powiedzieć?

- Jaśnie panienko? - odezwała się panna Wood. - Czy wczorajszego wieczoru stało się coś złego? Czy jest coś, o czym chce mi panienka opowiedzieć?

- Proszę się nie obawiać. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Jeśli powiedziałam zbyt wiele o zachowaniu lorda Randolpha wobec panienki...

- Nie musi pani przeproszać. Nie ma takiej potrzeby. Materac ugiął się pod ciężarem guwernantki, gdy przysiadła na brzegu łóżka i położyła dłoń na ramieniu wychowanki.

- Podejrzewam, że jednak jest. Choć nie mam prawa prosić, by mi się panienka zwierzyła.

Dziewczyna milczała uparcie, nie wiedząc, od czego zacząć. Jakże miałyby wyjaśnić pannie Wood coś, czego nie potrafiła wytłumaczyć Anthony'emu?

- Nie powinna panienka żywić urazy do lorda Warwicka. Jestem pewna, że to, co powiedział, było jedynie wyrazem lęku. Zapewne obawia się, iż ma w lordzie Randolphie rywala, i chce wykpić go w pani oczach. Tacy są mężczyźni. Czasem zachowują się jak rozkapryszeni chłopcy.

W rzeczy samej, Edward był małym zepsutym chłopcem, w dodatku małostkowym i zawistnym, podczas gdy Antonio był nie

tylko prawdziwym mężczyzną, ale i dżentelmenem. Kochała go całym sercem, lecz nie miała nadziei, że kiedykolwiek odwzajemni jej uczucie.

Przez krótką chwilę gotowa była wyznać panie Wood prawdę o groźbach Carneya. Obawiała się jednak, że opiekunka będzie nalegać, by donieść o całej sprawie władzom. W Rzymie niczego nie dało się ukryć, przekonała się o tym wielokrotnie. Antonio w lot poznałby haniebne szczegóły jej występków, a tego by nie zniosła.

- Szczera rozmowa przynosi ulgę. Proszę o tym pamiętać. Jestem do usług, kiedy będzie panienka gotowa. Zdrzemnę się, ale proszę mnie zbudzić, gdyby chciała panienka pomówić.

Diana zaczekała w milczeniu, aż guwernantka zamknie za sobą drzwi. Niebawem w gospodzie zapanowała kompletna cisza. Upewniwszy się, że uda jej się wymknąć niepostrzeżenie, lady Farren zawinęła w chustkę całą biżuterię i udała się powozem na spotkanie z Carneyem. Pół godziny później stała w umówionym miejscu obok fontanny. Modliła się, by Will nie zorientował się, że „klejnoty”, które mu przyniosła, są jedynie bezwartościowymi świecidełkami. Nie miała nic innego, czym mogłaby zapłacić mu za milczenie.

Nie bacząc na to, że wyróżnia się z tłumu jasnymi włosami i alabastrową cerą, uniosła woalkę. Rozejrzawszy się dookoła, stwierdziła ze zdziwieniem, iż jej prześladowca się nie pojawił. Gdzież on może być? Przybyła na miejsce o umówionej porze.

Nie mogła przecież tkwić tu do wieczora. Panna Wood wkrótce zorientuje się, że jej nie ma.

A jeśli jakimś sposobem dowiedział się, że nie zdobyła dla niego pieniędzy? Może poszedł już ze swą okropną opowieścią do gazet, sir Thomasa albo, nie daj Boże, do Anthony'ego? Wyjęła z kieszeni malutki zegarek. Kwadrans po drugiej. Po-wróciwszy z wolna do bryczki, usiadła na kanapie, zastanawiając się, co począć.

Gdyby Carney tu był, dawno by ją odnalazł. Nie pozostawało jej nic innego niż wracać.

Edward wyjrzał chyłkiem z okna powozu. Cóż za satysfakcja. Nie

posiadał się z radości.

Lady Farren była tak zawzięta i zadufana w sobie, iż podejrzewał, że nie przybędzie na spotkanie z szantażystą. Strach wziął jednak górę nad jej wrodzoną hardością i stawiała się przy fontannie. Nigdy dotąd nie widział jej w tak żalonym stanie ducha. I dobrze. Zasłużyła na karę.

I pomyśleć, że ta kobieta jest właścicielką fortuny. Cóż za marnotrawstwo! Niewiasty są zbyt ograniczone, by potrafiły zrobić prawdziwy pożytek z pieniędzy. Ale nic to. Przejmie kontrolę nad majątkiem, gdy tylko zostanie jej mężem.

Zmarszczył brwi, przypomniawszy sobie, jak zaciekle broniła Randolpha. Nie spodziewał się po niej tak gwałtownej reakcji. Nie przypuszczał też, że ten rzymski dandys może zostać jego rywalem. Co gorsza, Anthony był ponoć tak bogaty, że gdyby poprosił o rękę Diany, książę Aston mógłby zechcieć przymknąć oko na jego cudzoziemskie pochodzenie i dać zgodę na ślub. Poza pochodzeniem swej matki Edward nie miał do zaoferowania nic, co mogłoby się równać z tym przeklętym Palazzo di Prosperi.

Pozostawał mu wszakże solidny atut, który miał zamiar wykorzystać. Uśmiechnął się do własnych myśli. Panna Farren wciąż krążyła niecierpliwie po placu. Jej niepokój rósł wraz z każdą minutą oczekiwania na dręczyciela, który miał się nigdy nie pojawić. Potrzebowała wybawcy bardziej niż tego włoskiego przybłądy.

Warwick zamierzał ją ocalić, choć po prawdzie nie było przed czym. Tym lepiej dla niego. Jutro w katakumbach nadarzy się ku temu znakomita okazja. A kiedy już zostanie jej rycerzem w lśniącej zbroi, Randolph nie będzie miał szans.

- Ze wszystkich rzymskich wspaniałości katakumby zawsze wydawały mi się najbardziej ekscytujące. - Panna Wood uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Nie mogę się wprost doczekać, kiedy zobaczę legendarne podziemia świętego Sebastiana. To bodaj najważniejsze dla chrześcijan miejsce w całej Italii. Co pan o tym sądzi, wielbny ojcze?

- Owszem, zgodzę się z tą opinią - odparł lord Patterson. Diana

przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu. Była przygaszona i przybita. Dwie noce nie zmrużyła oka. Jej serce usychało z tęsknoty za Antoniem, a nerwy były napięte jak postronki z obawy przed nagłym pojawieniem się Willa.

- Lęka się pani duchów, milady? - Siedzący naprzeciw niej Edward wyszczerzył zęby w złowieszczym uśmiechu. - Powiadają, iż podziemne cmentarzysko jest ich pełne.

- Nonsens, siostrzeńcze - zaprotestował duchowny. - Niepotrzebnie straszysz damy.

- Pobożni chrześcijanie nie muszą obawiać się zmarłych - przytaknęła ochoczo panna Wood.

Lady Farren wcale nie była tego taka pewna. Wszakże to miejsce pochówku tysięcy ciał, a w dodatku plątanina ciemnych i złowrogich tuneli. Wcale nie miała ochoty tam wchodzić.

- Posłaliśmy po przewodnika - odezwał się lord Patterson, gdy zatrzymali się u progu niepozornego kościółka. - To chyba on. Buongiorno, guida, eh?

Przygarbiony starzec w wysłużonym ubraniu przerwał zmiatanie chodnika i ruchem ręki kazał im pójść za sobą. Przeszedłszy przez kościół, zeszli po schodach do krypty pełnej ściennych malowideł oraz kamiennych sarkofagów. U szczytu kolejnych schodów przewodnik wręczył im świece w metalowych świecznikach.

Niewiele to da w tych egipskich ciemnościach, stwierdziła w duchu Diana.

- Będziemy bronić się przed duchami razem - szepnął jej do ucha Edward, chwytając ją za ramię. - Ochronię panią przed zjawami. Tymi prawdziwymi i tymi urojonymi.

- Nie wydaje mi się, bym potrzebowała ochrony - odrzekła i oswobodziła rękę. Niepokój kazał jej jednak trzymać się blisko niego. Nie miał wprawdzie tak imponującej tężyzny jak Anthony, ale był większy i silniejszy, od niej. W razie czego, być może, zdołałby odpędzić zbłąkane widma.

- Domostwo zmarłych, signore e signori - odezwał się starzec, gdy

po nieskończeniu długim schodzeniu w dół stanęli na płaskim gruncie. - W każdym z grobowców leżą jedno, dwa lub trzy ciała. Szlachetnie urodzonych, nędzarzy, dzieci, wojowników i męczenników.

Podeszli do rozwidlającego się korytarza. Diana zaczynała się czuć coraz bardziej nieswojo. Powietrze było przytłaczająco cuchnące i ciężkie, a przejście z każdym krokiem robiło się węższe, aż w końcu zaczęli dreptać jedno za drugim. Sufit wydawał się zawieszony tuż nad ich głowami.

Kurz i pajęczyny osiadały na ubraniu albo plątały się wokół twarzy, uszu zaś dobiegały raz po raz chrobotliwe dźwięki i popiskiwanie zamieszkujących podziemie gryzoni. Jakby tego było mało, cały czas towarzyszyła im ponura świadomość, że otaczają ich setki, tysiące zmarłych przed wiekami mieszkańców Rzymu. Diana, bliska paniki, ścisnęła kurczowo świecę, jakby wątpy płomień miał ją uchronić przed złem.

Panna Wood za to najwyraźniej odnalazła swój żywioł. Zatrzymawszy się przy jednej z krypt, jąła odczytywać w ciemnościach nagrobną inskrypcję.

- Iulia Filia Pacis. Julia, córka pokoju. Proszę spojrzeć, jaśnie panienko. To po łacinie.

Panna Farren nie miała najmniejszej ochoty rozmyślać o zmarłej kobiecie, której ciało spoczywało tuż pod ich nosami. Poczwała, że nie wytrzyma w tym okropnym miejscu ani chwili dłużej. Obróciła się na pięcie i ruszyła w głąb korytarza.

- Proszę się zatrzymać, signorina! - Przewodnik chwycił ją mocno za ramię. - Nie wolno się samemu oddalać. Jeśli się pani zgubi, przepadnie pani na wieki.

- Święte słowa, milady - ostrzegł wielebny Patterson. - Te tunele są jak labirynt. Kto nie zna drogi, nigdy się z nich nie wydostanie. Czy to prawda, guida, że nie ma stąd innych wyjść poza tym, którym się tu dostaliśmy?

- Są, jaśnie panie, ale tylko dla tych, którzy wiedzą, które do nich dotrzeć. Nie dla pana.

- Nawet mi się nie śni, by ich szukać - odparł duchowny - Sama pani widzi, milady, jak bardzo trzeba tu być ostrożnym. Nie chciałbym być tym, który przekaże jego wysokości pani ojcu, iż zgubiliśmy jego córkę w podziemiach Rzymu.

- Przypilnuję lady Diany, wuju - odezwał się Edward. - Nie możemy przecież dopuścić do jej utraty.

- Dziękuję - odparła sztywno, lecz tym razem nie odrzuciła jego ręki, gdy ta ścisnęła jej dłoń. Cóż było robić. Nie chciała zginąć marnie w takim miejscu.

Panna Wood była tak zaaferowana zwiedzaniem, że przestała zwracać na nią uwagę.

- Guida, czy mógłby nas pan zaprowadzić do części, w której spoczywają chrześcijańscy męczennicy? - zapytała z entuzjazmem.

- Wedle życzenia - odparł starzec i począł prowadzić ich w głąb korytarzy, które wiły się i zakręcały wiele razy. Nareszcie zatrzymali się przed pokrytą rdzą, żeliwną furtką.

- Tu zaczynają się groby pierwszych cierpiętników.

- Och! - Guwernantka odczytywała napisy na nagrobkach z równą gorliwością, jak jej podopieczna oglądała wystawy sklepów z kapeluszami. Jeden z grobowców udekorowany był dziwnymi rysunkami.

- To chrześcijańskie symbole - wyjaśniał przewodnik. - Baranek i krzyż oraz modlitwa.

- Dalibóg! Jakie piękne! Są jeszcze jakieś inne?

Diana miała szczerą nadzieję, że nie, lecz niestety, czekało ją srogie rozczarowanie.

- Owszem. Tędy. Proszę za mną.

- Idź z panną Wood, wuju - odezwał się Edward. - Lady Farren i ja dość już zobaczyliśmy. Zaczekamy tu do waszego powrotu.

Lord Henry zmarszczył brwi.

- Musisz mi obiecać, że nie ruszycie się stąd ani na krok.

- Ma pan moje słowo - zapewniła Diana. - Ale proszę, wracajcie szybko.

- Nie zabawimy długo, jaśnie panienko - obiecała panna Wood, po

czym zniknęła wraz z mężczyznami w głębi korytarza. Ich głosy niebawem umilkły, a bez świateł, które ze sobą zabrali, w okamgnieniu zrobiło się mroczno.

- Rad jestem, iż postanowiła pani zostać ze mną - rzekł Warwick, unosząc świecznik, by lepiej widzieć jej twarz. - Zaczynałem sądzić, że pani już o mnie nie dba.

- Na samą myśl, że miałabym zejść jeszcze niżej pod ziemię, zrobiło mi się słabo - wyznała szczerze.

Oboje wiedzieli, że nie to chciał usłyszeć.

- No cóż. - Odwrócił się, by utkwic wzrok w ściennych malowidłach, ukrywając rozczarowanie. - Niezadługo do nas dołączą, jak mniemam.

- Z pewnością. - Nie wiedząc, co jeszcze miałaby powiedzieć, zaczęła bawić się spływającym ze świecy woskiem. - Zastanawiam się, czemu pannie Wood to cmentarzysko wydaje się takie fascynujące? - dodała z westchnieniem.

Ku jej ogromnemu zdumieniu Edward nie zareagował, co było do niego zupełnie niepodobne. Uniósłszy głowę, odkryła, że - o zgrozo - jest sama!

Zostawiając za sobą komnatę męczenników, wybiegła pospiesznie na korytarz.

- Edwardzie? Nie baw się ze mną! Proszę, nie teraz! Nie tutaj! Edwardzie?!

Ani śladu. Wiedziała, że nie powinna panikować, lecz serce tłukło jej się ze strachu, jakby za moment miało wyskoczyć z piersi. Spokój. Musi zachować spokój. Nie wolno jej się oddalić ani niechcący zgasić świecy. Jeśli zostanie tam, gdzie ją opuścili panna Wood i wielebny Patterson, nic jej się nie stanie. Wróć po nią w umówione miejsce.

Jak Edward mógł ją zostawić? Wiedział przecie, jak bardzo lęka się tego miejsca.

Raptem ktoś chwycił ją od tyłu i wytrąciwszy z ręki świecę, oplótł żelaznym uściskiem. Pisnęła przeraźliwie, próbując się oswobodzić. Tymczasem wąty płomień zgasł i zapanowała przerażająca ciemność.

- Puść mnie! - wrzasnęła w niebogłosy. - Puszczaj, łajdaku! W tej chwili!

- Niby dlaczego miałbym cię puścić, ty przeklęta dziwko?

- Rozpoznała akcent i niewybredne słowa Willa, choć dyszał ciężko, a jego głos był przytłumiony, jakby włożył sobie coś w usta.

- Will! Na litość boską... Puść mnie...!

Zamiast tego obrócił ją i przycisnął twarzą do ściany. Krzyczała z całych sił, trzęsąc się ze strachu i nienawiści do szubrawca, który ośmielał się tak ją traktować. Usiłowała się uwolnić, lecz na próżno.

Nagle napastnik sam został zaatakowany. Przez Edwarda? Jego wuja? W ciemności nie zdołała odgadnąć tożsamości swego wybawcy.

Straciła równowagę i upadła na kolana. Za plecami słyszała szamotaninę, odgłosy ciosów, a w końcu jęk i uderzenie ciała o ziemię.

Jeśli to Warwick pokonał złoczyńcę, dlaczego się do niej nie odzywa? Dlaczego jej nie uspokoi? A może to on został powalony? Instynkt podpowiadał jej, że powinna zachować milczenie. Przesunęła się, natrafiając na ścianę, i oparła się o nią plecami. Siedziała cichutko jak myszka, wstrzymując oddech i modląc się w duchu, by nie zdradziło jej łomotanie serca.

Ciemność wyostrzyła jej słuch. Ktoś próbował wykrzesać ogień i zapalić świecę. Wkrótce ujrzała w jej świetle pozbawionego przytomności Edwarda. Głupi, biedny Edward, leżał jak długi z potarganymi włosami i stróżką krwi, która spływała mu z nosa i warg.

Westchnęła bezwiednie i natychmiast zakryła usta rękoma. Za późno. Drugi mężczyzna skierował płomień w jej stronę. Zamrugowała kilka razy, nim jej źrenice na nowo przywykły do światła.

- Cara - szepnął czule Anthony. - Najdroższa, co ten podlec ci zrobił?

Rozdział jedenasty

Siedziała skulona pod ścianą z miną przerażonego dziecka. W potargane włosy zaplątała jej się pajęczyna. Miała podarte utyłane spódnice i wielkie jak spodki oczy. Anthony nigdy nie widział jej w tak opłakanym stanie i poprzysiągł sobie, że jeśli będzie miał w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia, nigdy więcej do tego nie dopuści.

- Diano - odezwał się łagodnie, nie chcąc jeszcze bardziej jej wystraszyć. - Jesteś bezpieczna, moja słodka. On już cię nie skrzywdzi.

- To... to nie był Edward - odparła płaczliwie. - To... to Will. Will Carney.

- Will Carney? - Kim, u diabła, jest Will Carney? Czyżby od tych ciężkich przeżyć pomieszało jej się w głowie? A może istotnie w ciemnościach czaił się ktoś jeszcze? Choć podczas bójki wydawało mu się, że jest ich tylko dwóch, on i Warwick. - Cara, nie sądzę, by...

- Nie przywidziało mi się! - wykrzyknęła gorączkowo. - To Carney złapał mnie i przycisnął do ściany. Powiedział... Nazwał mnie... - Jej oczy zaszklily się łzami. Spuściła głowę i zakryła usta rękoma. Nie była w stanie mówić dalej.

Dla Anthony'ego to również było zbyt wiele. Nie mógł dłużej spokojnie patrzeć, jak jego ukochana cierpi. Zatknąwszy świecę w niszy na ścianie, podniósł ją z ziemi i przygarnął do piersi. Nieważne, kim jest ten Will i dlaczego sądziła, iż to on, a nie Warwick, ją zaatakował. Wyjaśni to sobie później. Najważniejsze, że nic jej nie grozi.

- Carissima - zaczął wzburzonym szeptem. Nie mógł sobie darować, że nie szedł za nimi szybciej. Gdyby był bliżej, oszczędziłby jej tylu cierpień. - Niebezpieczeństwo minęło. Jestem przy tobie.

Uniosła głowę, by spojrzeć mu w twarz.

- Ale skąd się tu wzięłeś, Antonio? - Po jej umorusanych policzkach wciąż spływały łzy. - Jak się znalazłeś w tym okropnym miejscu?

- Przeczuwałem, że będziesz mnie potrzebować. - Nie potrafił lepiej tego wytłumaczyć. Dawno temu nauczył się zawierzać instynktowi i intuicji. - Kiedy służąca z gospody zwracała mi kwiaty, powiedziała, że wybieracie się do katakumb. Postanowiłem śledzić was z daleka.

- Ale jak nas tu znalazłeś?

- Każdy rzymski wyrostek zna te podziemia. Od pacholęstwa ostrzega się chłopców, by nie bawili się w katakumbach. Zapewne właśnie dlatego jest to ulubione miejsce harców okolicznej dzieciarni. Da się stąd wyjść i wejść co najmniej kilkoma włączami. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie się znajdują.

Uśmiechnęła się niepewnym i drżącym, a zarazem najcudowniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widział. - I ty wiedziałeś?

- Wiedziałem. Pomyślałem, że będę ci potrzebny.

- I byłeś. - Wzdrygnęła się na samo wspomnienie tego, co ją spotkało. - Nigdy nie zdołam ci się za to odwdzięczyć.

- Nie oczekuję wdzięczności. Chciałem cię tylko ratować. Warwick poruszył się u ich stóp i zaczął pojękiwać.

- Chodź, musimy iść, zanim się ocknie.

- Nie możemy - zaprotestowała. - Nie powinniśmy go zostawiać po tym, jak próbował mnie ocalić.

- Nie byłbym taki pewien co do tego, czy rzeczywiście próbował przyjść ci z pomocą - stwierdził z powątpiewaniem Anthony, zapalając drugą świecę. - Nie jesteś tu bezpieczna. Zabiorę cię gdzieś, gdzie będę miał pewność, iż nic ci nie grozi.

- Ale co pomyśli panna Wood, gdy mnie tu nie zastanie?

- Zostawmy to Warwickowi. Niech się tłumaczy z tego, że nie umiał cię upilnować. - Wziął ją za rękę. - Jak tylko znajdziemy się na powierzchni, pošlę jej przez sir Thomasa wiadomość, że jesteś cała i zdrowa.

Zerknęła przelotnie na Edwarda. W jej oczach nie znać już było ani śladu strachu. Tlił się w nich za to zdecydowany zamiar.

- Ufam ci bezgranicznie, Antonio, ponieważ cię Kocham -

powiedziała śmieie. - I dlatego z tobą pójdę.

- Ja też cię kocham, cara - Uśmiechnął się cierpko, myśląc, że to wyjątkowo nieodpowiednie miejsce na takie wyznania. - Pospieszmy się. Nie chcę tu zostawać ani chwili dłużej niż to konieczne.

Edward uśmiechał się błogo przez sen. Był piękny wiosenny poranek, a on leżał z głową na kolanach swej pięknej żony

- Czy twój ojciec przepisał na mnie cały majątek? - mruknął sennie. - Jesteś pewna, że już to uczynił, moja droga?

- Naturalnie, najdroższy mężu. - Diana pochyliła się nad nim, pokazując głęboki dekolt. - Ma do ciebie całkowite zaufanie.

- Proszę spojrzeć, wielbny ojcze, budzi się wreszcie! - zawołała jakaś kobieta. - Och, Bogu dzięki, będzie żył!

- He? - Zmusił się, by unieść powieki. To nie cudna Diana pochyliła się nad nim troskliwie, lecz jej irytująca guwernantka, obok której stał jego puciołowaty wuj. - A gdzie lady Farren?

Panna Wood i duchowny wymienili zatrwożone spojrzenia, podczas gdy obszarpany guida przyglądał się całej scenie z nieskrywanym zaciekawieniem.

- O mój Boże! Biedny lord Edward. Mieliśmy nadzieję, że pan nam to powie.

- Lady Diana zniknęła - rzekł bez ogródek Patterson. - Powierzyliśmy ją twojej opiece, a po powrocie zastaliśmy cię powalonego bez przytomności na ziemię. Panny zaś ani widu, ani słychu. Nawet kundel, kiedy mu się każe, potrafi warować w miejscu.

- Ssz... milordzie. Nie tak porywczo. - Guwernantka delikatnie wsunęła rannemu dłoń pod głowę. - Pamięta pan cokolwiek? Czy pan i jaśnie panienka zostaliście napadnięci?

Wuj Henry prychnął lekceważąco.

- Już prędzej ona sama sprząła go za to, iż zbyt śmieie sobie poczynał.

- Wielbny ojcze! Bardzo proszę, niechże pan da pokój - uspokajała go panna Wood. - Proszę się dobrze zastanowić, milordzie - zwróciła się do Warwicka. - Od pańskiej odpowiedzi może zależeć życie lady Farren.

Nie musiała mu tego uświadamiać. Próbował przypomnieć sobie przebieg zdarzeń od chwili, gdy się ocknął. Próbował udawać Carneya, by móc „uratować” Dianę. Plan się powiódł, dziewczka płakała i błagała o litość swego prześladowcę. Był już niemal gotów wkroczyć do akcji i uwolnić ją od siebie samego, a raczej rzekomego Willa, gdy raptem... W tym miejscu jego pamięć zaczynała szwankować. Poza nimi dwojgiem w podziemiu miało nikogo nie być, a jednak pojawił się ktoś trzeci. Jakiś ogromny i zły człowiek bestia wymachujący zajadle pięściami.

Ale co się stało z Dianą? Czyżby tamten ją porwał? A może sama chętnie za nim poszła? Czy ta ladacznica nie rozumie, że miała zostać przy nim, swym przyszłym mężu?

Och, jego biedna głowa!

- Do pioruna, myślże, chłopcze! - wrzasnął wuj. - Co tu się wydarzyło? Gdzie się podziała lady Farren?

Poszkodowany podniósł się z wolna i usiadł, po czym kichnął, obryzgując krwią swą koszulę.

- Niełatwo mi zebrać myśli, wuju - odparł, wygrzebawszy z kieszeni chusteczkę. Grał na zwłokę. Nie był pewien, czy jego spreparowana historyjka zabrmi wiarygodnie. Szczęściem miał w zanadrzu nazwisko Willa Carneya. Guwernantka z pewnością je rozpoznała. - Czekaliśmy na was, nie ruszając się z miejsca, gdy raptem zaatakował nas jakiś zdiczały zbój. Próbowaliśmy go powstrzymać, ale był ode mnie silniejszy.

Panna Wood westchnęła z trwogą. Wielebny Patterson zdawał się mniej poruszony. Słowa siostrzeńca najwyraźniej nie wywarły na nim pożądanego wrażenia.

- A skądże niby to monstrum się tutaj wzięło? - zapytał zniecierpliwiony. - Słyszałeś, co mówił guida. Dla większości śmiertelników jest tu tylko jedno wejście, a zarazem wyjście. I gdzież, do pioruna, podziała się lady Diana?

- Zapewne jest z nim, wuju. Możecie sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy zorientowałem się, iż panna Farren zna tego człowieka. Nazywała go Willem. Czy nazwisko Will Carney coś pani

mówi, panno Wood?

Na twarzy opiekunki odmalował się nieopisany szok.

- Will Carney? Tutaj, w Rzymie? To niepodobna... Potężny młodzian z jasnymi włosami?

Edward skinął głową, przyplacając to bólem, który omal nie rozsadził mu czaszki.

- Nie zdołałem mu się porządnie przyjrzeć, ale wydaje mi się, iż mówimy o tym samym człowieku.

- Will Carney! Z moją panią! Musieli korespondować przez cały ten czas. I to tuż pod moim nosem.

Wielebny Patterson zmarszczył brwi.

- Czy... czy lady Farren i tego jegomościa coś niegdyś łączyło?

- Owszem, to smutna i przykra opowieść. Sądziłam, iż jasnie panią ma to już za sobą. Jak widać, myliłam się. Lordzie Warwick, ogromnie mi przykro, że z powodu jej nieroztropności ryzykował pan życie.

- Zrobiłem to dla niej.

- Rozchmurz się, chłopcze. Jeszcze możesz zwyciężyć w tej batalii.

- Wuj podał mu rękę i pomógł stanąć na nogi. - Zabierzemy cię do domu, doprowadzimy do ładu i zastanowimy się, jak odzyskać twą ukochaną.

- Tak - potwierdziła panna Wood. - Nie mamy chwili do stracenia. Obyśmy tylko zdążyli, nim będę zmuszona przekazać te przykre nowiny jego książęcej mości.

Diana nie wiedziała, dokąd zmierzają, i nie dbała o to. Postanowiła ufać Anthony'emu we wszystkim. Cieszyła się chwilą, nie myśląc o przyszłości. Jeśli tak się objawia miłość, to jest najwspanialszym uczuciem, jakiego kiedykolwiek doznała.

Miał do zamkniętego powozu, jakim zwykle poruszali się arystokraci, wsiedli do zgrabnej, wymalowanej na żółto i czerwono dwukółki. Nacisnąwszy na głowę kapelusz, lord Randolph ujął bat i lejce, po czym ruszył zaprzęgiem w stronę miasta.

Dziewczyna przylgnęła do jego ramienia, częściowo dla zachowania równowagi, lecz głównie po to, by mieć go jak najbliżej.

Nie rozmawiali wiele. Po okropnych przeżyciach w podziemiach słońce wydawało się świecić wyjątkowo jasno, odbijając się w rzece i w mijanych po drodze fontannach.

Dzięki Anthony'emu nadal mogła cieszyć się życiem i drobnymi przyjemnościami. Uniósłszy głowę ku niebu, zaśmiała się z radości, której nic nie było w stanie zmać.

- Nie ciekawi cię, dokąd jedziemy, cara?

- Nie bardzo - odparła, odgarniając z policzka zbłąkane pasmo włosów. - Najważniejsze, że jestem z tobą i z powrotem na powierzchni ziemi.

- Schlebia mi, iż przedkładasz mnie nad katakumby - zażartował.

- Wiesz dobrze, że nie to miałam na myśli. Kiedy wyobrażę sobie, co mogło się stać, gdybyś się nie pojawił...

- Nie rozpamiętuj tego. Lepiej patrzeć przed siebie, a nie w przeszłość.

Westchnęła, kuląc ramiona.

- Może jednak powinieneś powiedzieć mi, dokąd jedziemy. To nie jest droga do pałacu, prawda?

- Nie jedziemy do pałacu. Zabieram cię do mojej willi. Będziesz tam bezpieczna.

- Nie zwiedziłyśmy jeszcze żadnej prywatnej rezydencji. Panna Wood woli oglądać ruiny.

- Willi Prosperich z pewnością nie grozi zawalenie. Nie jest też szczególnie stara. Zaczęto ją wznosić zaledwie dwieście lat temu. Każde pokolenie dobudowywało coś nowego. Dzięki temu mamy mnóstwo casini.

- Casini?

- To takie małe domki, stawiane głównie w ogrodach. Wyglądają trochę jak altany, trochę jak maleńkie świątynie. Można je wykorzystywać na rozmaite sposoby. Latem, gdy w domu było za gorąco, matka często kazała podawać w nich kolację. Wiem, że wy, Anglicy, nie przepadacie za tego rodzaju architekturą.

- My, Anglicy? Sam też jesteś Anglikiem.

- Lepsza strona mej osobowości jest zdecydowanie włoska -

stwierdził, mrugając porozumiewawczo.

- Ja jestem Angielką z krwi i kości, czy ci się to podoba, czy nie.

- Oczywiście, że mi się podoba. - Ściszył głos niemal do szeptu. - Kocham cię, więc uwielbiam w tobie wszystko.

Zarumieniła się i zawstydzona, spuściła głowę. Kiedy wyznała mu miłość w katakumbach, nie zrobiła tego pod wpływem chwili czy wzburzonych emocji. Naprawdę tak czuła, nie była jednak pewna, czy on czuje to samo. Przekonała się na własnej skórze, iż mężczyźni często mówią niewiastom to, co te pragną od nich usłyszeć. Niekoniecznie dlatego, że sami odczuwają taką potrzebę. Nie kierują się - tak jak kobiety - sercem, lecz zgoła inną częścią swego ciała.

Choć Anthony nie zawsze był z nią szczery, wierzyła jego słowom. Zależało mu na niej na tyle, że zdecydował się pójść za głosem intuicji i śledzić ją aż do podziemi. Zwykłe bawidamki nie nadstawiają karku jedynie po to, by skraść pannie pocałunek

Jej ukochany był inny niż reszta męskiego rodu. Wiedziała to od samego początku. Mógł jej prawić nic nieznaczące gładkie słówka, lecz nie powiedziałby, że ją kocha, gdyby naprawdę tak nie było.

- Wybacz - odezwał się, źle odczytując jej milczenie. - Nie chciałem sprawić ci przykrości. Nie powinienem mówić tak otwarcie po tym, co wydarzyło się dziś rano.

- Och, nie! - zaprotestowała, przypominając sobie, jak wielką musiała zrobić mu przykrość, odsyłając kwiaty. - Ja tylko... myślałam o tym, jak bardzo pragnęłam usłyszeć od ciebie te słowa.

- Ach, tak. - Na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga. - W takim razie będę powtarzał je jak najczęściej, ale pod warunkiem, że zawsze mi się odwzajemnisz.

Przysunęła się bliżej i ucałowała go.

- Kocham cię, Antonio!

- A ja ciebie, Diano. - Uśmiechnął się szeroko. - Choć to nie w porządku, że całujesz mnie, gdy mam zajęte obie ręce. A ponoć wy, Anglicy, jesteście tacy dumni ze swego umiłowania uczciwej gry.

- Na wojnie i w miłości dozwolone jest wszystko. To słowa jednego z naszych najznamienszych rodaków, Szekspira.

Zmarszczył żartobliwie brwi.

- Hmm... Jaka to sztuka? Który akt i która scena? Uniosła dumnie głowę, gotowa zmyślać, by zachować twarz.

- Nie sądziłam, że chcesz, bym była taka uczona.

- Nie chcę, ale lubię, gdy ze mną rozmawiasz. Mógłbym cię słuchać bez końca. Jesteśmy na miejscu.

Porośnięta winoroślą żeliwna brama stała przed nimi otworem. Kiedy wjeżdżali na teren posiadłości, powitał ich odźwierny, kłaniając się nisko. Ku zdumieniu Diany nie zamknął za nimi wrót.

- Zawsze zostawiacie je otwarte?

- A czemuż by nie? - zdziwił się Anthony. - Nie znam nikogo, kto zamykałby swe ogrody. Każdy rzymianin może je zwiedzić, podobnie jak Bazylikę św. Piotra czy Koloseum. Miasto należy do wszystkich jego mieszkańców. Takie panują u nas obyczaje.

- Ale przecie to twój dom, twoje mienie... - odrzekła, pamiętając, że jej ojciec strzegł swych włości z niezwykłą wręcz dbałością.

- Jesteśmy w Rzymie, nie w Londynie, cara. - Uśmiechnął się pobłażliwie. - Chi si contenta gode. Jest takie włoskie porzekadło: człek zadowolony okazuje radość wszem i wobec.

Wciąż nie pojmowała, jak można podchodzić do poważnych kwestii z taką niefrasobliwością.

- A może nie czujesz się tu bezpieczna? - zatroskał się nagle. - O to chodzi? Nie obawiaj się. Ofiarowałem ci swój dom jako schronienie. Po tym, co się dziś stało, każę pozamykać bramy i zaryglować drzwi. Jeśli zechcesz, spuszczę psy. Cokolwiek rozkażesz, carissima.

- Póki jestem z tobą, nic mi nie grodzi. - Wtuliła się w niego, jakby znajdowała otuchę w tej bliskości.

- Zadbam o to. - Oplótł ją ramieniem, niemal sadzając sobie na kolanach. - Zostaniesz tak długo, jak będziesz chciała.

Gdy jej oczom ukazała się wreszcie okazała willa z przepięknymi kolumnami i łukowatymi galeriami, Diana zaniemówiła z zachwytu. W wystroju fasad dominowała złotawa żółć oraz biały marmur. Do wejścia prowadziły z podwórza schody, na których wylegiwały się dwa rozleniwione kocury. Z wnętrza domu dobiegały odgłosy

rozmów i śpiewy służących. Żadna znana jej angielska posiadłość nie tchnęła tak przyjazną i zachęcającą do wejścia atmosferą.

- Och, Antonio, jak tu cudnie! - zawołała, gdy zatrzymał kolaskę.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i zeskoczywszy na ziemię, pomógł jej wysiąść. Zamiast za rękę, chwycił ją w talii i uniósł wysoko w górę.

Westchnęła zdziwiona i zachwycona zarazem, opierając mu dłonie na ramionach odrobinę dłużej, niż to było konieczne.

- Dziękuję ci - powiedziała wzruszona, a do oczu napłynęły jej łzy. Była bezpieczna w ramionach ukochanego, a w dodatku znalazła się w jednym z najpiękniejszych miejsc, jakie widziała. Nie miała najmniejszych powodów do płaczu. A jednak. .. - Za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- Nie zrobiłem nic wielkiego. Dla ciebie uczyniłbym znacznie, znacznie więcej. Chodź, wejdźmy do środka.

Dwóch odźwiernych pospieszyło, by otworzyć im drzwi.

Gdy znaleźli się w holu, wybiegła im na spotkanie siwowłosa gospodyni, unosząc dłonie w geście powitania.

- Buon pomeriggio, il mio signore, buon pomeriggio! - Uśmiechała się tak promienie i szeroko, że pulchne policzki niemal całkowicie zasłaniały jej oczy. - Ma perche non avete trasmesso la parola che stesste venendo? Perche mi non avete avvertito, in modo da io potrebbe fare aspettare tutto appena mantre gradite?

Diana niewiele zrozumiała z potoku włoskich słów. Co gorsza, ze względu na Antonia zaczęła się wstydzić swego nieporządnego wyglądu. Służący doskonale potrafią rozpoznać, czy mają do czynienia z osobą niskiego, czy wysokiego urodzenia. W zniszczonym stroju i z umorusaną twarzą z pewnością nie wyglądała jak dama.

Lord Randolph bez trudu odgadł jej stan ducha.

- Po angielsku, Tereso, po angielsku - poleciał łagodnie gospodyni. - Moim gościem jest dziś dama z Anglii, córka księcia. Nie chcę, by czuła się nieswojo, słysząc, jak paplamy między sobą po włosku.

Z wdzięczności Dianie znów zebrało się na płacz. Naszłochała się

już dziś stanowczo zbyt wiele. Chciała być silna.

- Proszę o wybaczenie, milady. - Teresa dygnęła przed nią. - Z większością naszych gości rozmawiamy po włosku. Życzyłam jego lordowskiej mości udanego popołudnia i zapytałam, czemu nie powiadomił mnie o swym przybyciu, bym mogła poczynić stosowne przygotowania.

- Znasz moje zwyczaje, Tereso - wtrącił Anthony. - I nigdy nie potrzebujesz ostrzeżenia.

- Nie byłabym taka pewna, jaśnie panie - odparła, wznosząc oczy ku niebu. Diana zastanawiała się, czy był to wyraz matczynej przygany, czy raczej notorycznej kokieterii. - Czasem zupełnie nie wiem, czego się spodziewać. Pojawia się pan i znika, raz z całą kompanią, innym razem sam albo z jednym tylko gościem.

- Tak samo jak niegdyś moi rodzice, nieprawdaż? Jestem pewien, że uwielbiasz tę niepewność. Zaprowadź, proszę, lady Farren do pokoju, w którym mogłaby się umyć i wypocząć. Znajdź też dla milady jakieś czyste ubranie. Została dziś napadnięta w katakumbach. Szczęściem, w porę zdążyłem przyjść jej z pomocą.

- Święci Pańscy! - wykrzyknęła ze zgrozą służąca, dotykając zawieszonoego na szyi srebrnego krzyżyka. - To okropne, co spotkało milady. Te podziemia to przeklęte miejsce. W pół drogi do piekieł! Opatrzność czuwała nad panią, zsyłając na ratunek naszego jaśnie pana. Proszę pójść ze mną. Doprowadzimy panią do ładu. - Uśmiechnęła się zachęcająco.

Diana nie była z natury bojaźliwa, lecz po tym, co jej się przydarzyło, wciąż czuła się niepewnie. Wolała zostać u boku Anthony'ego. Nie skusił jej nawet czysty przyrodziewek.

- Dziękuję, ale wolałabym na razie pozostać z jego lordowską mością. To jest, jeśli pan, milordzie, nie ma nic przeciw temu. Nie chciałabym urazić pana swym zaniedbanym wyglądem.

- Nie mogłabyś mnie urazić, cara, nawet gdybyś chciała - odrzekł, posyłając jej zatroskane spojrzenie. - Tereso, będziemy w bawialni.

- Przepraszam - szepnęła płacząco. Kiedy prowadził ją korytarzem, ścisnęła kurczowo jego dłoń. - Powinnam była z nią

pójść, wiem, ale... nie chciałam się od ciebie oddalać.

Zatrzymał się i pocałował ją w czoło.

- Jesteś moim gościem, najdroższa. Możesz robić wszystko, na co tylko masz ochotę. Nie wyobrażam sobie, byś mogła mnie czymkolwiek urazić. Jeśli zechcesz, możesz nawet zrzucić odzienie i zatańczyć w fontannie. Jako godny gospodarz natychmiast do ciebie dołączę.

Uśmiechnęła się, czując, że pąsowieją jej policzki. Zapewne tego właśnie oczekiwał. Uniosła głowę i wycisnęła na jego ustach krótki, nieśmiały pocałunek, który znaczył znacznie więcej niż wszystkie poprzednie, o wiele bardziej gorące pieszczoty, na jakie sobie względem niego pozwoliła.

- Coś takiego - powiedział łagodnie, dotknąwszy palcem jej warg. - To nie był zwykły pocałunek wdzięczności.

- Bo ty nie jesteś zwykłym mężczyzną.

- Nie zaprzeczę - mruknął, pochylając głowę. Tym razem to on ją pocałował, długo i namiętnie. Wsunęła mu rękę pod poły surduta i mocno objęła.

Pozwoliła, by udzielił jej schronienia, rozumiała jednak, że jeśli zostanie w tym domu, świat uzna ją za jego nałożnicę. Nie wzbraniała się przed tym. Przeciwnie. Pragnęła kochać go nie tylko duszą, lecz także i ciałem. Całą sobą. To właśnie jego wybrała na mężczyznę, który uczyni z niej kobietę.

Postanowiła całkowicie zawierzyć swemu sercu.

Anthony naparł na nią mocniej, dając namacalny dowód swego pożądania. Nie przelękła się ani nie próbowała uciekać. Przeciwnie, przyłgnęła do niego jeszcze bardziej, chcąc mu pokazać, że ani teraz, ani nigdy nie będzie się go bać.

- Nie kuś mnie, Diano - szepnął, odsuwając się nieznacznie. W jego ochryłym głosie słychać było z trudem powściągane podniecenie. - Nie musisz mi się w ten sposób odwdzięczać za to, że wyrwałem cię z rąk opryszka. Nie jesteś mi nic winna.

Spojrzała na niego spod spuszczonej rzęs. Protestował na próżno i oboje o tym wiedzieli. Jej usta były gorące i nabrzmiące,

oczekiwały dalszych pieszczot, a nie pustych dyskusji. Zresztą, czy potrzebne były między nimi jeszcze jakieś słowa?

- Dannazione - zaklął, jak zwykle, kiedy był podenerwowany, po czym potrząsnął głową, jakby chciał przebudzić się ze snu. Chwilę później chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w głąb korytarza. - Gdybyś popatrzyła tak na mnie trochę dłużej, wziąłbym cię tam pod ścianą.

- Może powinieneś był to zrobić - wykrztusiła z trudem, łapiąc oddech. - Mogłam dziś zginąć, a wtedy nigdy nie poznałabym. .. nie poznałabym cię tak, jak kobieta poznaje mężczyznę.

- Nie mów tak.

- A czemu nie, skoro to prawda? Gdyby mnie zamordowano, tylko tego jednego bym żałowała.

- Dannazione, jesteś zbyt młoda i pełna życia, by czegokolwiek żałować.

- A ty, Antonio? Niczego nie żałujesz? Dlaczego po mnie nie sięgniesz? Pragniesz mnie przecież.

- Ale nie tak, Diano. Nie tu i nie w ten sposób. Przechodzili akurat obok okna i zobaczyła w promieniach słońca jego twarz. Malowały się na niej wszystkie tłumione myśli i uczucia. Widziała je jak na dłoni.

Jeśli nie teraz, pomyślała, to później. Jeszcze tego wieczoru albo tej nocy. Może nie tu, w holu, ale z pewnością w tym domu. W jego alkowie, w jego łóżu.

- Oprowadź mnie po domu - powiedziała, próbując zająć głowę czym innym. Wysunął rękę z jego dłoni, uniosła wyzywająco brodę. - Pokaż mi swoją willę, obrazy, rzeźby i co tam jeszcze masz. Spojrzał na nią, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

- Obrazy? - rzekł z wolna. - Życzysz sobie obejrzeć moje obrazy?

- Owszem. Kolekcja Prosperich ponoć nie ma sobie równych.

Wszyscy to powtarzają. Czyż nie po to przyjechałam do Rzymu? By oglądać rzadkie dzieła sztuki?

- W takim razie chodź. - Chwycił ją za ramię i pobiegli korytarzem. Diana zgarnęła wolną ręką spódnicę, by się o nie potykać. Spinka

wypadła jej z włosów i ciężkie jasne loki spłynęły kaskadą na ramiona. Anthony, nic sobie z tego nie robiąc, ciągnął ją dalej na oczach zadziwionej służby. Kiedy na schodach straciła równowagę, objął ją w talii, by chronić przed upadkiem. Gdyby się przewróciła, pewnie poniósłby ją dalej na rękach.

W końcu otworzył jakieś drzwi i znaleźli się w alkowie z ogromnym łóżem. Za wysokimi oknami rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na całe miasto. W oddali majaczyła pomarańczowa kopuła Bazyliki św. Piotra. Otwarte na oścież okiennice wpuszczały do środka ostatnie promienie słońca oraz powiew wieczornego wietrzyku.

- Proszę - wyszeptał Anthony, obejmując ją mocno. - Oto twoje obrazy, carissima. Nie zobaczysz takich w Londynie. Tylko ja mogę ci je pokazać.

Spojrzała i oniemiała ze zdziwienia.

- Czy to twoja komnata? - zapytała, zastanawiając się, jak może spać w otoczeniu takich scen.

- Nie. - Uśmiechnął się. - To pokój przeznaczony dla gości. Nadzwyczajnych gości, takich jak ty, dolce.

Diana nigdy jeszcze nie oglądała czegoś podobnego. Gdyby tu była panna Wood, niechybnie doznałaby wstrząsu i jak najszybciej zabrałaby ją z powrotem do Aston Hall.

Malowidła wykonano nie na płótnie, lecz bezpośrednio na ścianach. Przedstawiały skomplikowane kompozycje, a występujące na nich postaci były niemal naturalnych rozmiarów.

Freski znajdowały się również na suficie, który imitował niebo. Na białych obłoczkach baraszkowały skrzydlate amorki.

- To alegoria miłości - wyjaśnił gospodarz. - Wenus udziela błogosławieństwa kochankom na całej ziemi.

- Masz na myśli miłość cielesną - szepnęła, niezdolna powiedzieć więcej.

- Miłość między kobietą i mężczyzną, mia amorata. - Wsunął jej rękę za dekolt, sięgnął delikatnie do piersi. - Miłość, która trwa po wsze czasy.

Wenus nie miała na sobie nic poza klejnotami. Wyłaniała się na spienionych falach z morza. Na usianym kwiatami łądzie, u jej stóp, leżeli złączeni w pary rozbitkowie, tak samo nadzy, jak wielbiona przez nich bogini. Ich ciała splatały się w namiętnych uściskach, a twarze wykrzywiały ekstatyczne spazmy rozkoszy. Kobiety były piękne i dородne niczym sama Wenus, mężczyźni muskularni jak rzymscy bogowie i równie hojnie obdarowani przez naturę.

- Wiedziałem, że spodobają ci się te malowidła.

- Nigdy przedtem... czegoś takiego nie widziałam - odparła, z trudem łapiąc oddech.

Jej wzrok przykuwała w szczególności jedna z par. Kobieta z jasnymi jak jej własne włosami i mężczyzna uderzająco podobny do Antonia. Ona miała przymknięte powieki i lekko rozchylone usta. Siedziała na nim z szeroko rozsuniętymi nogami, on zaś, zatapiając się w niej głęboko, obejmował dłońmi jej biodra. Diana nie sądziła, że kobieta może zadowalać w ten sposób mężczyznę, lecz im dłużej im się przyglądała, tym bardziej wydawało jej się to naturalne i pragnęła robić to samo.

Anthony pocałował ją w kark. Jego ręce błądziły po jej ciele z coraz większą swobodą, doprowadzając ją do utraty tchu.

- Wiedziałem, że cię urzekną, tak samo jak śpiew Dandola.

Pamiętasz, co wówczas robiliśmy? Pamiętasz, jaką dałem ci rozkosz?

Pamiętała i chciała więcej. Znacznie więcej. Pragnęła także dawać, nie tylko brać. Tak jak kobieta na obrazie.

- Pamiętam, Antonio. - Westchnęła głośno, łaknąc jego dotyku. - Ale proszę. Nie chcę tak jak wtedy.

Obróciła się w jego ramionach i objawszy go ciasno, pocałowała zachłannie w usta. Wciąż mając przed oczami kobietę z fresku, wyciągnęła mu z bryczesów koszulę i śmiało pogładziła palcami gładką, ciepłą skórę.

Wstrzymał oddech i jęknął z zadowoleniem.

- Aj, dolce, jak możesz mi odmawiać, a potem robić coś takiego?

- Niczego ci nie odmawiam - odparła schrypniętym szeptem. - Pragnę tylko kochać cię tak samo, jak ty mnie.

Rozdział dwunasty

Kiedy na nią spojrział, jego oczy lśniły pożądaniem.

- Pragniesz mnie kochać? - zapytał z pobłażliwym uśmiechem. - Co w takim razie robiłaś do tej pory?

- Pozwalałam ci się uwieść - odparła srogo. - Nie próbuj zaprzeczać. Jesteś o wiele bardziej doświadczony niż ja. Wiesz, jak... jak mnie zadowolić, ale pamiętaj, że stale się uczę. A jeśli zechcę, potrafię być bardzo pojętną uczennicą.

- Doprawdy? - Rozsunął jej dekolt, by sięgnąć do biustu, i jął pieścić palcami sutki, aż stwardniały pod jego dotykiem. - Masz najcudowniejsze piersi na świecie, cara.

- Dziękuję. Ale sam widzisz, że nie mogę odwzajemnić komplementu. Mam szczerzy zamiar to zmienić.

Próbując nie zwracać uwagi na jego pieszczoty, zaczęła rozpinąć mu kamizelkę, po czym ściągnęła ją z niego wraz z surdudem.

Roześmiał się i wyciągnął ręce, by rozpięła mankiety.

- Proszę, signora cameriere.

- Jak mnie nazwałeś? - W okamgnieniu poradziła sobie z guzikami, zachwycając się przy okazji jego pięknymi dłońmi i nadgarstkami. Zastanawiała się, co będzie potem, kiedy odkryje znacznie ciekawsze partie ciała Antonia. - Chcesz mnie przy okazji nauczyć także swej mowy?

- Och, nie obawiaj się. To nie było nic zdroźnego. Nazwałem cię jedynie kamerdynerem, a może męską pokojówką, czy jak to się nazywa po angielsku. Chodź, czekam, aż zdejmiesz mi...

- Cii... - Ściągnawszy mu przez głowę koszulę, rzuciła ją na ziemię.

- Widzisz. Tak jest o wiele uczciwiej. Teraz i ja mogę ci powiedzieć, że masz piękny tors, godny... godny...

- Adonisa? - podsunął z uśmiechem.

- Właśnie. - W istocie był piękny. Ostatnio obejrzała wiele podobizn bogów, atletów i wojowników, ale widok prawdziwego męskiego ciała i mięśni nie mógł się z nimi równać. Stojący przed nią

mężczyzna miał szerokie barki i płaski brzuch, a jego pierś pokrywały ciemne włoski, które zwężającym się pasmem biegły ku dołowi i niknęły w bryczesach.

Wyciągnawszy dłoń, sięgnęła do jego ramienia i powiodła opuszkami palców po podłużnej bliźnie.

- Skąd to się wzięło?

- Pamiątka po pojedynku. Zamierzchłe czasy. Byłem wtedy młody i porywczy. Brałem za obrazę byle głupstwo. Szczęściem dawno z tego wyrosłem.

- Już się nie pojedynkujesz?

- Nie. Doszedłem do wniosku, że nie warto tracić czasu na bezsensowne utarczki. Życie jest krótkie i należy czerpać z niego jak najwięcej przyjemności. Ale... znów grasz nieuczciwie. Zostawiłaś mnie półnagię i każesz mi marznąć, mia dolce.

- Coś takiego? Nie wydaje mi się, byś marznął. - Choć powoli zapadał zmrok, w komnacie czuć było jeszcze popołudniowy upał. Skóra Antonia była tak ciepła, że jeśli drżał pod dotykiem jej palców, to z pewnością nie z zimna.

- Zdjęłaś mi surdut, kamizelkę i koszulę. Teraz ja mam prawo do trzech części twojego ubioru.

- Zgoda. - Pochyliła się i odpiąwszy podwiązki, ściągnęła po kolei pończochy. - Służę panu. - Posłała mu szeroki uśmiech. - Dwie pończochy, dwie podwiązki. Razem cztery sztuki. Nie możesz mi zarzucić, iż gram nieczysto.

- Owszem mogę. - Chwycił ją za ramię i obrócił plecami do siebie. - Pończochy i podwiązki to zabawki. Nie liczą się. Żądam gorsetu, spódnic i halek, moja pani.

Nie mogła powstrzymać się od śmiechu, gdy rozpiął jej suknię, a potem wraz ze spódnicami posłał ją na ziemię. Następnie w ruch poszły halki i niebawem u jej stóp leżał stos muślinów. Najdłużej zamarudził przy gorsecie. Ślamazarnie wyciągał sznurek z każdej dziurki, jakby to zadanie przerastało jego możliwości. A może umyślnie się z nią droczył? Nie mogła się doczekać, kiedy uwolni jej ciało z pęt.

- Grzebiesz się jak żółw - skarciła z wyrzutem, podskakując ze zniecierpliwienia. - Marna byłaby z ciebie pokojówka.

- Cierpliwości, cara. - Odgarnąwszy jej z karku włosy, pocałował ją w szyję. - Sądziłem, że chcesz zostać rzetelną adeptką sztuki miłosnej, a nie spieszyć się na złamanie karku.

- Mówiłam, że chcę dać ci przyjemność. - Czując, że skończył wywlekać sznurek z ostatniej dziurki, z ulgą strząsnęła z siebie gorset. Została jedynie w cieniutkiej lnianej koszulce która więcej odkrywała, niż przysłaniała. Odsunąwszy stopą stos ubrań, odwróciła się twarzą do Antonia i zarzuciła mu ramiona na szyję. Kiedy przyciągnęła go do siebie, jej niemal nieosłonięte piersi otarły się o jego tors.

- Potrzebuję praktycznej lekcji, a nie suchego wykładu, milordzie - oznajmiła rzeczowo.

Zachichotał, wodząc dłońmi po jej talii, biodrach i jędrnych pośladkach. Nigdy nie stała przed mężczyzną prawie naga. Sądziła, że będzie się wstydzić, krygować i wahać, ale nie. Była z człowiekiem, którego ukochała najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie. Odczuwała jedynie miłość, pożądanie i odrobinę rozwiązłości. Jej ciało zdawało się drgać i wibrować w radosnym oczekiwaniu. Tak jak owej pamiętnej nocy w operze.

- Nieposłuszne uczennice nie zasługują na lekcje - szepnął, całując ją w czoło, brwi, oczy, policzki, wszędzie, byle nie w usta. - Jak chcesz dać mi przyjemność, skoro myślisz tylko o sobie?

- Jeśli myślę o sobie, to tylko po to, by zadowolić ciebie - odparła rezolutnie i wplótłszy mu palce we włosy, naparła na niego biodrami. - To nazywasz samolubstwem? - zapytała, gdy jęknął z zadowoleniem.

- Skoro nadal tego nie pojmujesz, nie pozostaje mi nic innego, jak wykazać ci, w czym rzecz.

Nim zdążyła zaprotestować, porwał ją na ręce i zaniósł na łóżko.

- Udało ci się przenieść mnie kilka kroków - droczyła się z nim. - Czy to była demonstracja twojej męskiej siły?

- Cóż za zuchwała i krnąbrna uczennica! - Zaczął rozpinać spodnie.

- Pokażę ci męską siłę, ale tylko pod warunkiem, że obiecasz być mi posłuszna.

Otworzyła usta, lecz wnet zapomniała o dowcipnej ripocie, bo Anthony właśnie stanął przed nią jak go Pan Bóg stworzył. W jednej chwili stało się jasne, jak bardzo jej pragnie. Nigdy przedtem nie widziała mężczyzny w pełnej krasie. Widok był tak fascynujący i przerażający zarazem, że raptem straciła całą odwagę.

Dostrzegł jej wątpliwości i położywszy się na łóżku, czule ją ucałował.

- Mia colomba bella. Nie zrobię ci krzywdy. Musisz mi tylko zaufać.

- Jak mnie nazwałeś? - Spróbowała się uśmiechnąć.

- Moją piękną gołąbeczką - odparł, przesuwając dłonią po jej policzku i szyi, by w końcu dotrzeć do piersi.

Diana z trudem chwytiała oddech. Czując na sobie jego dłonie, niemal natychmiast zapomniała o swych lękach.

- Mogłeś... nazwać mnie... zupełnie inaczej i... nawet bym się nie zorientowała.

- Nie zrobiłbym czegoś takiego... - Wygięła się, gdy jego palec zatoczył koło wokół jej sutka. - La mia signora appassionata. Moja namiętna kobietka.

- Aj! - Jego ręka niespiesznie zawędrowała niżej, docierając do miejsca, które drażnił już kiedyś dotykiem w operze.

- La mia sirena de desiderio - mruzczał jej do ucha, podnosząc koszulkę.

- Tak, tak! - wykrzyknęła gorączkowo, bezwstydnie rozchylając uda.

- La fiamma cara alla mia anima. - Pochylił się, by ją pocałować, cały czas pieścąc dłonią najczulsze miejsce. - Płomień najdroższy mej duszy.

Przyciągnęła go do siebie. Wciąż było jej mało i rozpaczliwie pragnęła więcej. Anthony ułożył się między jej nogami i oplótł się nimi w pasie. Diana tak bardzo zatraciła się w rozkoszy, że prawie nie zauważyła, gdy zastąpił palce czymś znacznie większym i gorętszym. Wciągnęła głośno powietrze, instynktownie próbując

uciec. Przytrzymał ją jednak pod sobą, aż połączyli się w jedno.

Pisnęła bardziej z powodu niepewności niż na skutek bólu.

- Cii... Już dobrze, cara - wyszeptał ochryple. Jego twarz była pełna napięcia, a oddech tak samo urywany, jak jej własny. - Stało się. Tylko raz, nigdy więcej. Teraz czeka cię już tylko przyjemność.

Spojrzała mu w oczy, wciąż nieprzekonana. Nim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, znów ją zaskoczył. Przetoczywszy się na plecy, posadził ją sobie na biodrach z szeroko rozpostartymi kolanami i włosami spływającymi na ramiona.

- Chciałaś dać mi przyjemność, cara. Zrób przyjemność sobie, a uszczęśliwisz i mnie.

Skinęła głową i wzięła głęboki oddech. W ten sposób czuła się bardziej bezpieczna i pewna siebie. Spróbowała się lekko poruszyć i... było dobrze, coraz lepiej. Oparłszy dłonie na torsie kochanka, podnosiła się i opadała, podnosiła i opadała...

- O tak, Diano - szeptał, gładząc palcami jej uda i pośladki. - Pamiętasz kobietę z obrazu, który tak bardzo ci się spodobał? Pamiętasz, co robiła ze swoim mężczyzną?

- Pamiętam - szepnęła bez tchu. Zdjąwszy przez głowę pomiętą koszulę, odrzuciła ją na bok. Cóż jej teraz po fałszywej skromności. Idąc za głosem instynktu, poczęła unosić się coraz mocniej i szybciej.

- Pamiętam.

- To spójrz tam. Wyglądamy teraz jak oni.

Powiodła oczami za jego wzrokiem i wstrzymała oddech. Nie zauważyła wcześniej, że w komnacie jest lustro.

- To... To lepsze niż... najcudowniejszy obraz. Och, Antonio!

- Il fuoco dolce del... del mio lombo. Moja... Dannazione! Nie zniosę tego dłużej. Chodź do mnie, cara.

Po chwili leżała na plecach, czując na sobie jego ciężar i coraz większą, niewysłowioną rozkosz. Gdy w końcu wykrzyknęła jego imię i opadła bez sił na posłanie, przepełniała ją miłość i szczęście, jakich dotąd nie zaznała.

Potem długo odpoczywali, leżąc bez słów wtuleni w siebie. Przysłuchując się miarowemu biciu jego serca, Diana pomyślała o

tym, jak szybko Antonio stał się dla niej wszystkim. Był całym jej światem, jej życiem i miłością.

- Szczęśliwa? - zapytał, nawijając na palec pasemko jej; włosów. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Bardzo. A ty?

- Ja także, cara - odparł z czułym uśmiechem. - Il mio amore un allineare, il mio amore soprattutto altri. Moja miłości. Moja jedyna. Najdroższa ze wszystkich.

- Och, Antonio, nawet nie wiesz, jak cię kocham - szepnęła i pocałowała go w usta. Jej serce przepełniało tak wielkie, uczucie, iż miała wrażenie, że zaraz pęknie.

Jej ukochany. Najdroższy ze wszystkich, Antonio.

Edward leżał na łóżku w pół śnie, pół jawie, rozkoszując się słodkim lenistwem. Pierwszy raz w życiu zaznał przywilejów należnych dzielnemu bohaterowi i wciąż nie mógł się nimi nacieszyć. Co prawda nadal nie znał miejsca pobytu swej wybranki, był jednak przekonany, iż jest gdzieś w Rzymie i niedługo się ujawni, a kiedy to nastąpi, jej wdzięczność nie będzie miała granic. Oczami wyobraźni widział, jak dziękczynnie zarzuca mu ręce na szyję. Nie dbał o to, jakich dopuściła się grzechów. Jej nieobyczajne wybryki były mu właściwie na rękę. Zwiększały jego szanse jako pretendenta do jej ręki. Jak dla niego mogła mieć całą armię kochanków, od Londynu aż po Rzym. Nie był aż tak wybredny i małostkowy. Dopóki miała posag i tytuł po ojcu, gotów był ożenić się z nią choćby zaraz.

Uśmiechnął się, wkładając sobie pod głowę poduszkę. Kucharz Silvaniego sporządził z czosnku jakąś niebywale cuchnącą miksturę na jego ranę. O dziwo to plugastwo okazało się skuteczne i czuł się doskonale. Przynajmniej do chwili, gdy pod drzwiami rozległy się kroki i odgłosy rozmowy.

Zmarszczył brwi i nastawił ucha. Wuj Henry, panna Wood i ktoś jeszcze. Sir Thomas Howe? Czego, u diabła, może chcieć konsul?

Niewiele myśląc, ułożył płasko poduszki i zamknął oczy. Miał nadzieję, że wygląda należycie blado i słabowicie.

- Siostrzeńcze? - odezwał się nad wyraz łagodnie wielebny

Patterson, stając u wezgłowia. - Nie chciałbym przeszkadzać ci w drzemce, ale sir Thomas przybywa z dobrymi wieściami. Lady Diana się odnalazła. Jest cała i zdrowa.

- Dalibóg! - Edward był tak zaskoczony, że poderwał się na posłaniu, zapominając zupełnie o roli cierpiącego rekonwalescenta. - Bogu niech będą dzięki! - zawołał. - Jakie to szczęście, że milady jest znowu z nami.

- Nie do końca, sir - rzekł konsul. - Lady Farren istotnie jest bezpieczna, lecz nie została jeszcze odwieziona do domu.

Jak na posłańca przynoszącego radosne nowiny Howe sprawiał wrażenie niepomiernie podenerwowanego.

- Jaśnie panią jest w dobrych rękach - wyjaśniła panna Wood. - Czuwa nad nią lord Randolph.

- Randolph! - niemal wrzasnął Warwick. - Co u diabła... To jest, chciałem powiedzieć, jakim sposobem jego lordowska mość zaangażował się w tę sprawę?

- Nie mam co do tego pewności - przyznał sir Thomas. - Doręczono mi jedynie wiadomość, iż lady Diana jest pod jego opieką i że zabrał ją w bezpieczne miejsce, ponieważ sądzi, iż jej życiu nadal zagraża poważne niebezpieczeństwo.

- Muszę natychmiast udać się do jego pałacu i sprowadzić panią do domu - oznajmiła radośnie guwernantka. - Sir Thomasie, zechce mi pan towarzyszyć?

- Nie wydaje mi się, by lord Randolph i lady Farren przebywali w Palazzo di Prosperi. Udałem się tam rychło po otrzymaniu i jego listu, lecz służba zaprzeczyła, jakoby się tam zatrzymali.

- Skąd w takim razie możemy mieć pewność - zirytował się wilebny Patterson - że to nie jego lordowska mość ją porwał? Jego zła sława znana jest w całym Rzymie. Jeśli chodzi o kobiety, temu człowiekowi nie można ufać.

- Lordzie Patterson - przerwał mu ostro konsul. - Proszę powstrzymać się od nieuzasadnionych i przedwczesnych oskarżeń. Bez względu na plotki, jakie pan o nim zasłyszał, lord Anthony jest synem angielskiego arystokraty, a jego matka była przedstawicielką

starego, wielce szanowanego w tym mieście rodu. Zaręczam, iż może zapewnić lady Dianie znacznie lepszą ochronę niż rzymskie władze.

- A kto ochroni ją przed nim samym? - zapytał Edward, udając troskę i osłabienie.

Howe zmarszczył ponuro brwi.

- Rozumiem pańskie obawy, milordzie, lecz...

- Zapewne pan tego nie wie, ale mam wobec panny Farren pewne zamiary. Dlatego jej dobro bardzo leży mi na sercu. Zrozumie pan, jeśli powiem, iż bardziej niż komukolwiek zależy mi także na jej cnocie.

- Upewniam pana, iż cnocie lady Diany nie zagraża żadne niebezpieczeństwo! - wykrzyknęła ze świętym oburzeniem panna Wood. - Skoro żywi pan wobec niej szlachetne zamiary, powinien pan być ostatnim mężczyzną na ziemi, który rzucałby pod jej adresem podobne oszczerstwa.

- Nie miałem na myśli niczego złego - wycofał się w popłochu Warwick. - Nigdy nie rzekłbym przeciw niej złego słowa. Rzecz w tym, że ów Randolph to człowiek, który prowadzi się z kobietami lekkich obyczajów.

- Ma pan czelność przyrównywać panienkę do... do... Jak pan śmie?!

- Zechce pani wybaczyć memu siostrzeńcowi te nierozważne słowa - interweniował wielebny Patterson, spojrzeniem nakazując Edwardowi milczenie. - Jestem pewien, iż nie miał złych intencji. Jak my wszyscy martwi się o los pani podopiecznej. Sir Thomasie, ufam, iż czyni pan wszystko, co w pańskiej mocy, by ustalić miejsce pobytu lady Farren i lorda Randolpha?

- Naturalnie. Posłałem umyślnych do wszystkich miejsc, w które mogli się udać. Spodziewam się rychłych wieści. Jestem przekonany, iż lady Diana niebawem do państwa powróci.

Panna Wood ochoczo kiwnęła głową, najwyraźniej znajdując w słowach konsula pociechę.

- Każdy niezonaty mężczyzna musi liczyć się z niepochlebnyimi plotkami na swój temat - stwierdziła dobitnie. - Nasza krótka

znajomość z lordem Randolphem utwierdza mnie jednak w przekonaniu, iż to szlachetny dżentelmen, a ponadto dzielny obrońca mojej jaśnie panienki.

- W rzeczy samej - mruknął sir Thomas. - Jeśli chodzi o mężczyznę, którego podejrzewają państwo o napaść na lady Farren - William Carney, tak bodaj brzmiało jego nazwisko - cóż, obawiam się, iż nie dysponuję żadnymi istotnymi informacjami na jego temat. Sądzę jednak, że dzięki szczegółowemu opisowi rzymskie władze wkrótce go odnajdą.

Albo i nie, pomyślał z niekłamaną satysfakcją Edward. Przy odrobinie szczęścia Carney jest już daleko stąd, pod czułą opieką władz królewskiej marynarki. Nie dane mu będzie ujawnić, iż nie mógł być dziś rano w katakumbach.

Gdybyż tak jeszcze Randolph bezpowrotnie zniknął z horyzontu.

Następnego dnia Anthony stał przy oknie, popijając kawę i przeglądając listy, które lokaj przyniósł wraz ze śniadaniem. Szczęściem, żaden nie wymagał pilnej odpowiedzi. Mógł poświęcić cały dzień Dianie.

Podszedłszy do łóżka, począł przyglądać się pogrążonej we śnie ukochanej. Nie zmrużyli oka niemal do świtu. Słodkie dziewczę, musi być wyczerpana po długiej, upojnej nocy. On sam nie czuł zmęczenia. Przeciwnie, czuł się zaspokojony i uszczęśliwiony, lecz cóż, dla niego to nie była nowość. Tak jak przewidywał, panna Farren okazała się kobietą namiętą i skłoną do eksperymentowania. Nie miała żadnych zahamowań, co, jak przypuszczał, wśród jej wysoko urodzonych rodaczek należało do rzadkości. Dziwne, lecz wydawało mu się, iż zna ją od zawsze, a nie zaledwie od dwóch tygodni. Stokroć dziwniejsze, że właśnie w niej odnalazł tę jedną jedyną, którą ukochał ponad wszystko, tak jak kiedyś przepowiadała mu matka.

Usiadł na posłaniu, jakby nie potrafił nazbyt długo trzymać się od niej z daleka. Miała zaróżowione policzki i nabrzmiałe od pocałunków usta. Mógł ją podziwiać w pełnej okazałości. Leżała naga wśród pomiętej pościeli, niczym pogańska nimfa, stworzona specjalnie po to, by cieszyć swym widokiem jego oczy. Piękności z

obrazów żadną miarą nie mogły się z nią równać.

Jego cudowna, najdroższa Diana.

Nie przypuszczał, że kiedykolwiek pokocha kogoś z całej duszy, tak jak ją. Gdyby mógł, zatrzymałby ją przy sobie na zawsze i nie odstępował na krok.

Zasługiwała jednak na więcej, a on zamierzał uczynić wszystko, by ją uszczęśliwić. Pochylił się i pocałował ją w ramię.

- Antonio, kochany - mruknęła, ocierając się twarzą o poduszkę. - Już rano? - zapytała, uniósłszy z wolna powieki.

- Właściwie południe, cara. - Musnął wargami jej usta.

- Południe? - Poderwała się i wyjrzała zdziwiona przez otwarte okno. - Jak to? Nie może być!

- Może. Po nocy zawsze jest rano, a potem nadchodzi południe. Kawa czy herbata? Kazałem podać jedno i drugie.

- Przynieśli ją służący? - zatrwożyła się i poniewczasie, chwyciwszy pościel, zakryła obnażone piersi. - Weszli tu?

- Och, nie obawiaj się. Są bardzo dyskretni. Przysięgną, że nikogo i niczego nie widzieli. Tak jak wczoraj wieczór, gdy pytał o ciebie posłaniec sir Thomasa. Mimo że zapewniłem go w liście, że jesteś bezpieczna, zdecydował się przysłać umyślnego. Zapewne za namową twojej guwernantki.

- Biedna panna Wood. Pewnie umiera z niepokoju. Powinnam jak najszybciej do niej wracać, prawda? Nie musisz odpowiadać. Sama wiem, że muszę. - Westchnęła cicho. - Och, Antonio, tak bardzo chciałabym z tobą zostać!

- Ja także niczego bardziej nie pragnę - odparł i znów ją pocałował. - Obawiam się jednak, że masz rację. Musimy wrócić do miasta i stawić czoło twojej opiekunce i znajomym.

Postawił przed nią tacę ze śniadaniem i gdy wskazała dzbanek z herbatą, napełnił dla niej filiżankę.

- Mówiłaś wczoraj, że groził ci mężczyzna o imieniu Will Carney. Kim on jest dla ciebie? Mam powód, by o to pytać.

- Will. - Stropiła się i spuściła wzrok. - Był stajennym w Aston Hall. Schlebiał mi i nadskakiwał. Pewnego razu poszłam do stajni, by z

nim porozmawiać i przyłapał nas ojciec. Tak się rozzłościł, że zamiast posłać mnie do Londynu, kazał mi wraz z panną Wood zwiedzać kontynent.

- W takim razie winien jestem owemu Carneyowi podziękowania.
- Uśmiechnął się, usiłując poprawić jej nastrój. - Gdyby nie on, byłabyś już pewnie żoną jakiegoś gamoniowatego dziedzica i nigdy bym cię nie poznał. To już koniec tej historii?

Potrząsnęła głową, odgarniając sobie włosy za ucho.

- Ojciec srodze ukarał także i Willa. Gdybyż tylko zwolnił go ze służby i przegnał, ale nie. To mu nie wystarczyło. Kazał naznaczyć go jako złodzieja i zesłał na dożywotnią służbę w marynarce. Sam widzisz, że lepiej nie narażać się na gniew księcia Astona.

- W rzeczy samej - odparł oschle, zastanawiając się, co by powiedział jej mściwy rodzic, gdyby zobaczył ich minionej nocy.

- Ojciec nie jest złym człowiekiem - zapewniła Diana z lojalnością oddanej córki. - Ma jednak wybuchowy temperament i nie znosi, gdy ktoś mu się przeciwstawia. Jest bardzo dumny ze swego tytułu i pozycji.

- Podobnie jak wszyscy angielscy diukowie, jak mniemam - odparł chłodno Anthony. Wyniosły księżę zapewne na samym wstępie uznałby go za zdziczałego przybłędę i odrzucił, nie bacząc na to, iż korzenie rodu Prosperich sięgają czasów cesarskich, kiedy to dzisiejsi angielscy arystokraci byli jeszcze zwykłymi pastuchami. Spotkał już w życiu jemu podobnych wielkich panów i nie miał ochoty z nim obcować. - Skoro Will został zesłany do marynarki, czemu sądziłaś, że był wczoraj w katakumbach?

Spojrzała na niego z zaciśniętymi ustami.

- Odnalazł mnie w Rzymie. Zbiegł ze statku i postanowił mnie szantażować. Groził, że jeśli nie zapłacę mu żądanej sumy, rozgłosi wszem i wobec, jakobym była niegdyś jego... kochanką. Choć to oczywiście nieprawda.

- Wiem, cara. Nie dałaś mu chyba żadnych pieniędzy?

- Nie dałam, bo ich nie miałam. Panna Wood trzyma pieczę nad naszymi finansami. Podejrzewałaby coś, gdybym poprosiła ją o tak

znaczną kwotę.

- Możesz być spokojna. - Wyciągnął dłoń i pogłaskał ją po policzku. - Carney nie będzie cię więcej nękał, ani w tej, ani żadnej innej kwestii. To nie on zaatakował cię w podziemiach. Moi ludzie dowiedzieli się, że jeszcze w ubiegłym tygodniu został pojmany przez grupę stacjonujących w mieście brytyjskich marynarzy. Wtrącono go do więzienia, gdzie oczekuje na wyrok.

Potrząsnęła głową, jakby nie dowierzała jego słowom.

- Kim w takim razie był napastnik? Och, Antonio, jego słowa... ..
Mówił zupełnie jak Will.

- Nie wiem, kto to mógł być - odparł, choć miał na tę sprawę jasny pogląd. Jeszcze nim dowiedział się o aresztowaniu Carneya, podejrzewał, że to Edward napastował Dianę w katakumbach. Teraz nabrał co do tego pewności. Przy najbliższej okazji zamierzał dać Warwickowi do zrozumienia, iż wie o jego haniebnym postępku, i upewnić się, że ten tchórzliwy nikczemnik nigdy więcej nie zbliży się do lady Farren. - Jakiś Cygan, żebrak albo inny przybłęda - dodał kojąco. Nie chciał wyjawiać jej prawdy, uważając, że i bez tego zbyt wiele przeszła.

- Wybacz mi, Anthony, że nie jestem tak niewinna, za jaką mnie miałeś - powiedziała drżącym głosem, wpatrując się z oczami pełnymi łez w filizankę. - Wybacz, że nim cię poznałam.

- Już dobrze... - Uciszył ją pocałunkiem. - Nie dbam o twoją przeszłość. Kocham cię i chcę spędzić z tobą ten i każdy kolejny dzień. Czy to ci wystarczy?

- Och, tak, kochany. Niczego więcej nie pragnę.

Trzy godziny później zmiertzali powozem w stronę Piazza di Spagna. Dianie wydawało się, że od wczorajszego ranka odmienił się cały świat. Z każdą minutą ogarniała ją jednak coraz większa niepewność.

Rzecz jasna, nawet przez chwilę nie zwątpiła w Antonia ani jego uczucie. Jakże by mogła? Nie po tym, co wydarzyło się minionej nocy. A była to najcudowniejsza noc w jej życiu. Martwiły ją kwestie znacznie bardziej przyziemne. Obawiała się reakcji panny Wood, a

nade wszystko gniewu ojca.

- Jesteśmy na miejscu, cara - odezwał się Anthony, zatrzymując powóz przed gospodą. Zeskoczywszy na ziemię, podał jej rękę i pomógł wysiąść. - Wyglądasz przepięknie, bellissima amore.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Uwielbiała, gdy przemawiał do niej czule w swoim języku.

Signor Silvani wybiegł im na spotkanie, radując się tak głośno, że wkrótce, zwabiona hałasem, dołączyła do niego reszta służby.

Nim pokonali schody, także panna Wood usłyszała harmider i wypadła z pokoju, by uściskać podopieczną. Zachowywała się, jakby Diana zniknęła na długie tygodnie, a nie zaledwie na jeden dzień. Obie zalały się łzami, choć niewątpliwie każda płakała z innego powodu.

- Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo się cieszę, że wraca panienka cała i zdrowa. - Wyswobodziwszy się z objęć dziewczyny, guwernantka skłoniła się Anthony'emu. - Lordzie Randolph, dziękuję z całego serca za pańską pomoc. Oddał nam pan ogromną przysługę. Zapraszam do nas.

- Będę zaszczycony, pani. - Ujął ponownie dłoń ukochanej i mrugnął do niej za plecami opiekunki. Uśmiechnęła się w odpowiedzi i ruszyli rażno na górę.

Wielebny Patterson i lord Warwick czekali na nich z zasepionymi minami.

Diana uzmysłowiła sobie, zawstydzona, że niemal całkiem zapomniała o Edwardzie. Szczęściem, poza bandażem na głowie wyglądał tak samo jak zwykle. W każdym razie nie znać było śladów poważnych obrażeń.

- Lordzie Patterson, lordzie Warwick - przywitał się sir Randolph, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

- Rad jestem panią widzieć, lady Farren - zignorował go ostentacyjnie Edward. - Czy nie doznała pani od tego człowieka jakiegoś uszczerbku?

- Lordzie Edwardzie! - wykrzyknęła Diana, oburzona brakiem manier młodego człowieka. - Muszę pana prosić, by wyrażał się pan

o lordzie Randolphie z szacunkiem.

- Dajmy temu pokój, cara - powstrzymał ją łagodnie Anthony. - Warwick może sobie o mnie myśleć, co mu się żywnie podoba. Niemniej zamierzam zapobiec dalszym pytaniom i oszczędzić nam obojgu zgryzot - co powiedziawszy, obrócił się do niej twarzą i w obecności wszystkich klęknął na jedno kolano. Po jego uśmiechu poznała, czego się spodziewać, lecz wciąż nie mogła uwierzyć, że spotkało ją tak wielkie szczęście.

- Najdroższa Diano - zaczął uroczyście. - Uczyniłaś mi już zaszczyt, obdarowując swą miłością. Teraz biorę tu zgromadzonych na świadków i proszę, byś zgodziła się zostać moją żoną.

SR

Rozdział trzynasty

Stało się.

Wyznał Dianie, że ją kocha i poprosił o jej rękę. Niewiarygodne! A jednak prawdziwe. Poprzysiągł do końca swych dni miłować jedną tylko kobietę.

Cisza przedłużała się w nieskończoność. Ścisnął w dłoni jej palce, zaglądając w wielkie niebieskie oczy, które lśniły od wstrzymywanych łez.

Dannazione! Ofiarowywał jej przecie całego siebie. Czemu wciąż milczy jak zaklęta? Czemu nie odpowiada? Był pewien, że go przyjmie. Wczoraj wydawało mu się, że ją zdobył, całkowicie podbił jej serce, tak jak i ona jego. Do diaska, odkąd sięgał pamięcią, nigdy nie odmawiano mu tego, czego pragnął, a jej pragnął ponad wszystko, co było mu drogie na tym świecie.

Proszę, najdroższa, powiedz „tak”.

Ochłonawszy, uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Tak, Antonio - powiedziała czułym szeptem, przeznaczonym wyłącznie dla jego uszu. - Tak, zostanę twoją żoną - dodała głośno i wyraźnie, tak aby pozostali dobrze ją zrozumieli.

Objęła go za ramiona, a on chwycił ją w talii i poderwał do góry. Moja słodka, najdroższa Diana, pomyślał z twarzą wtuloną w jej włosy.

- Nie tak prędko, milady! - wykrzyknęła guwernantka. - Nie może panienska zdecydować o tym sama!

Anthony zerknął na nią przez ramię. Niemal trzęsła się ze wzburzenia, a jej policzki nabrały koloru purpury.

- Proszę natychmiast postawić lady Dianę na ziemię, milordzie - zwróciła się do niego, gdy spotkali się wzrokiem. - Nie jest jeszcze pańską żoną.

- Ale będę, panno Wood. - Diana obróciła się w ramionach ukochanego i spojrzała na opiekunkę. - Ceremonia odbędzie się jak najrychlej.

- Nie bez zgody ojca jaśnie panienki - upierała się tamta, próbując siłą wyrwać ją z objęć narzeczonego. - Musimy to omówić, milady. Nie może panienka nikogo poślubić bez aprobaty jego książęcej mości.

- Ale oczekiwanie na jego przyzwolenie może trwać miesiącami! Jestem pełnoletnia. Mam prawo decydować o swym losie.

- Niechże się pani miarkuje, milady - uznał za stosowne wtrącić wielebny Patterson. - Winna jest pani ojcu posłuszeństwo, zwłaszcza w tak ważkiej sprawie, jaką jest święty sakrament małżeństwa.

Lord Randolph przygarnął narzeczoną zaborczym gestem. Męczyła go ta dysputa. Dla niego ślub miał być jedynie dopełnieniem formalności. Już teraz traktował bowiem Dianę jak swą małżonkę i zamierzał jasno dać temu wyraz.

- Poślubię lady Farren bez względu na to, czy każecie mi czekać dziesięć dni, czy dziesięć lat - oznajmił dobitnie. - Pragnę jednak zaznaczyć, iż jego wysokość może żałować nazbyt długiej zwłoki. Domyślam się, że wolałby uniknąć skandalu.

Duchowny spojrział na niego wilkiem, przekrzywiając głowę.

- Co pan właściwie insynuuje, milordzie? Zechce mnie pan oświecić?

- Niczego nie insynuuje, wielebny ojcze. Po prostu nazywam rzeczy po imieniu. Lady Diana i ja spędziliśmy wczorajszą noc jak mąż i żona, ot co. Im szybciej ogłosimy światu nasz związek, tym mniej powstanie na nasz temat plotek. A może w Londynie panuje moda na to, by szlachetnie urodzone panny stawały przed ołtarzem z wielkim brzuchem?

- Jak śmiesz mówić w ten sposób o lady Farren? - wybuchnął Edward, - Nie zapominaj, że jest damą, a nie jedną z twoich dziwek.

- To ty się zapominasz, Warwick. Nie tobie oddała rękę. Odtąd to ja będę bronił jej honoru i czci.

- Czy to prawda, jaśnie panienko? - odezwała się panna Wood. W miejsce rumieńców na jej twarzy pojawiła się niezdrowa bladość. - Czy ubiegłej nocy... Czy panienka...

- Tak, panno Wood - odrzekła Diana z taką dumą, że Anthony

natychmiast zapragnął ją ucałować. - Przystałam na to bez lęku, ponieważ się kochamy.

Guwernantka wydała z siebie rozdzierające westchnienie.

- Boże w niebiesiech, jakże ja to powiem ojcu panienki?

Wychowanica podeszła do niej i położyła jej rękę na ramieniu.

- Ojciec zrozumie. Kiedy pojmie, jak bardzo jesteście zakochani...

- Zakochani! - przerwała jej gorzko panna Wood. - Ileż to smutków, zgryzot i cierpień ludzie ściągają na siebie w imię miłości!

Sir Randolph postąpił do przodu, by stanąć u boku narzeczonej. Chciał, by wiedziała, że może liczyć na jego wsparcie.

- Rozumiem, że to dla pani niejaki zaskoczenie, panno Wood, zapewniam jednak, że mam wobec lady Diany jak najszlachetniejsze zamiary.

- Wybacz pan, milordzie, ale usłyszałam aż nadto. Jaśnie panienko, proszę za mną. Mam z nią do pomówienia.

Skłoniwszy się mężczyznom, pociągnęła dziewczynę za sobą i wyszła.

Anthony zaczął tęsknić za Dianą natychmiast, gdy zamknęły się za nią drzwi.

- Ja również się pożegnam, milordzie - odezwał się z wymuszoną, uprzejmością wielebny Patterson. Jego siostrzeniec zaś kipiał wręcz z rozgoryczenia. Zupełnie nad sobą nie panując, zacisnął pięści i począł przestępować z nogi na nogę.

- Nie zasługujesz na nią, Randolph - zagrzmiał w końcu. Okrągła twarz niemal zzieleniała mu ze złości. - Nie jesteś jej wart.

- A jednak to mnie wybrała, czyż nie? - Anthony odwrócił się z zamiarem odejścia, lecz po chwili przystanął, jakby o czymś sobie przypomniał. - A, Warwick - rzekł z wystudiowaną nonszalancją. - Mam pewne wieści, które mogą cię zainteresować. Zdaje się, iż lady Diana jednak się myliła. Will Carney nie mógł być wczoraj w katakumbach. Dwa dni temu aresztowano go za dezercję.

Edward wytrzeszczył oczy i w przypiływie paniki przygryzł wargę.

- Carney... został... pojmany? Cóż, w takim razie to jakiś inny szubrawiec uderzył mnie, gdy próbowałem przyjść lady Farren z

pomocą.

- Być może. - Randolph uśmiechnął się. - Arrivederci, signore.

Arrivederci.

Panna Wood była zrozpaczona. Dianie nie udało się jej ułagodzić ani przeprosinami, ani skruchą, co zazwyczaj przynosiło pożądany skutek.

- Jest panienka skompromitowana. I może panienka winić za to wyłącznie siebie.

- Gdybym nadal pragnęła bywać na salonach w Londynie, owszem, byłabym skompromitowana, ale skoro moje życzenia się zmieniły...

- Życzenia panienki? A co z życzeniami innych? Tych, którzy lepiej wiedzą, co jest dla panienki dobre i stosowne? Czy pomyślała panienka o życzeniach tych, którzy naprawdę ją kochają? O tych, którym szczęście panienki leży na sercu?

Lady Farren uniosła hardo brodę.

- U boku lorda Randolpha z pewnością znajdę szczęście.

- Oczywiście! Wierzy panienka w to, w co chce wierzyć. Jak mogła panienka dać się zwieść perswazjom przebiegłego cudzoziemca, który nie dba ani o panienkę, ani o jej pozycję?

- Wierzę mu, gdy mówi, że mnie kocha, bo to prawda. Poza tym nie jest przebiegły i nie jest cudzoziemcem. Jego ojciec był takim samym Anglikiem jak mój własny.

- Jego wysokości nie spodobałyby się te słowa. Zastanawiała się panienka, co powie, gdy przedstawi mu pani zrodzonego z tego związku bękarta o śniadej skórze?

Diana poczuła, że się rumieni. Cudownie było zasypiać nago w ramionach Antonia, ale rozważać na głos konsekwencje upojnych chwili z zagniewaną guwernantką? To zupełnie co innego.

- Dlatego właśnie chcemy jak najszybciej się pobrać - powiedziała w końcu. - Kochamy się i z radością powitamy potomstwo, którym obdaruje nas Bóg.

- Znów zaczyna panienka tę żalosalną śpiewkę o miłości?

- To najwspanialsza pieśń na świecie! - Poderwawszy się z

krzesła, dziewczyna wyciągnęła ramiona, jakby chciała przekonać niewzruszoną opiekunkę do swoich racji. - Mój Anthony jest szlachetny, czuły, a w dodatku przystojny i zabawny. Czegóż można chcieć więcej od dobrego męża? Jego ród należy do najstarszych i najbardziej szanowanych w mieście. Ma ogromny majątek i cieszy się niekłamaną sympatią i poważaniem wszystkich, którzy go znają. A co najważniejsze, kocha mnie bardziej niż kogokolwiek na świecie, tak jak ja jego. Czy to tak trudno zrozumieć, panno Wood?!

Guwernantka dłuższą chwilę wpatrywała się w nią bez słowa, po czym opadła bez sił na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

- Straciłam panienkę, prawda? - powiedziała z bezbrzeżnym smutkiem. - Przez tę miłość, której nie potrafię zrozumieć, utraciłam najpierw siostrę panienki, a teraz panienkę. Kiedy jego wysokość dowie się o wszystkim, stracę także posadę i nikt mnie już nigdy nie przyjmie. Nie po tej hańbie, której nie potrafiłam zapobiec.

- Och, panno Wood! - Wiedziona poczuciem winy, Diana uklękła obok niej i położyła jej ręce na kolanach. - Przepraszam, tak bardzo mi przykro! Nie chciałam wyrządzić pani krzywdy. Ale nawet jeśli nie spotkałabym Anthony'ego, wróciłabym do Londynu i pewnie wkrótce zostałabym żoną kogoś innego, czyż nie?

- Tak, ale chodzi o to, jak srodze zawiodłam ojca panienki. Powierzył mej opiece los swych drogich córek, a ja aż dwa razy dopuściłam do katastrofy. Ściska mi się serce, gdy pomyślę o tym, jak marnie się spisałam.

- Nieprawda. To nie pani wina. Obie z siostrą odnalazłyśmy miłość i szczęście. Poza tym niebawem i tak wyrosłybyśmy z wieku, w którym dziewczęta potrzebują guwernantki. Znajdzie pani inną posadę. Jestem o tym przekonana. Jak ojciec mógłby winić panią za moje grzechy?

Opiekunka spojrzała na nią zdesperowanym wzrokiem. Obie miały świadomość tego, jak bardzo księżę będzie niezadowolony.

- Czy... czy to zauroczenie trwa, odkąd przybyłyśmy do Rzymu? Staralam się strzec panienki jak oka w głowie, ale zdaje się, że znów byłam ślepa.

- Nie, panno Wood, nie była pani ślepa. Po prostu... to wszystko potoczyło się bardzo szybko.

- A zatem jest panienka przekonana, iż lord Randolph potrafi panienkę uszczęśliwić? Nie chodzi mu tylko o miłość cielesną?

- Będę z nim najszczęśliwszą kobietą pod słońcem! - zapewniła solennie Diana. - Wczorajszej nocy, kiedy...

- Nie musi mi panienka o tym opowiadać. Niech to pozostanie między panienką a jej przyszłym mężem.

- Wobec tego zgadza się pani? Nie będzie nas pani próbowała powstrzymać?

- Obawiam się, że to nie jest w mojej mocy, nawet gdybym chciała - odrzekła z rezygnacją panna Wood, uśmiechając się blado.

- Och, dziękuję! - Uszczęśliwiona lady Farren zarzuciła jej ręce na szyję. - Jakże jestem pani wdzięczna! Z całego serca.

- Ma panienka moją zgodę. Ostrzegam jednak, iż to nie to samo co przyzwolenie ojca. Powinna się panienka przygotować na jego gniew i rozgoryczenie. Trzeba się liczyć z tym, że nie udzieli wam błogosławieństwa i być może odbierze panience posag.

- Anthony nie dba o mój posag.

- Mam nadzieję, że się panienka nie myli. Nie uda nam się urządzić tak wspaniałych zaślubin, jakie odbyłyby się w Aston Hall, ale postaramy się o stosowną i piękną ceremonię.

- Poślę po Anthony'ego. Chcę jak najszybciej podzielić się z nim dobrą nowiną. - Diana była już w połowie drogi do drzwi.

- Nie, proszę, niech panienka ze mną zostanie. Jeszcze tę jedną noc. Jakby wszystko było po staremu. Zrobi to dla mnie panienka?

Dziewczyna spojrzała na nią z uczuciem. Po śmierci matki to ona była dla niej i Mary najważniejszą kobietą w życiu. Teraz będą musiały się rozstać. Opiekunka nie miała zbyt wielu powodów do radości. Zamążpójście młodszej panny Farren będzie stanowiło dla niej kres, a nie nowy, wspaniały początek.

- Droga, kochana panno Wood. - Diana zawróciła i podeszła, aby ją objąć. - Naturalnie, że możemy zaczekać do jutra, skoro to panią uszczęśliwi. Rankiem powiadomimy Antonia i ogłosimy nasze

zaręczyny. Cóż może stać między nami w ciągu jednego dnia?

Tego samego wieczoru Anthony oczekiwał w salonie na Lucię. Bywały dni, a także noce, gdy wchodził niezapowiedziany do jej alkowy. Te czasy należały jednak do przeszłości. Kto wie, być może jego dzisiejsza wizyta będzie ostatnią? Według wszelkiego prawdopodobieństwa mógł nigdy więcej nie przestąpić progów tego domu.

Zerknął w wiszące nad kominkiem zwierciadło i przyjrzał się swemu odbiciu. Wyglądał tak samo jak zwykle, a jednak był zupełnie innym człowiekiem. Zastanawiał się, czy dawna przyjaciółka dostrzeże w nim jakieś zmiany. Tak czy owak, chciał, by dowiedziała się o wszystkim bezpośrednio od niego. Przez wzgląd na to, co ich niegdyś łączyło, zasługiwała na lojalność. Choć znając jej charakter, przypuszczał, że odczyta jego intencje zupełnie na opak.

Schodząc po schodach, podśpiewywała jakąś radosną pieśń. Dobry znak, pomyślał. Jest w pogodnym nastroju. Jak dotąd jego sprawy układały się dziś nadspodziewanie pomyślnie. Oby i tym razem nie opuściło go szczęście.

- Antonio! - zawołała od progu, sunąc ku niemu z wyciągniętymi ramionami. Miała na sobie jedynie jedwabny peniuar, spod którego wyzierały bujne kształty. - Nie dostanę całusa?

Pochylił głowę i zamiast w wystawione do pocałunku usta, musnął ją lekko w policzek.

- Ładnie to tak traktować starą przyjaciółkę? - Zrobiła obrażoną minę i ująwszy go pod ramię, otarła się o niego biustem.

- Nie przyszedłem z powodu dawnych sentymentów, lecz w interesach - odparł chłodno, po czym uwolnił się z jej uścisku i wyjął z kieszeni skórzaną sakiewkę. - Przyznaję się do porażki. Wygrałaś.

- Wygrałam? - Przymknęła podejrzliwie powieki, spoglądając na mieszek w jego dłoni. - Co takiego wygrałam, mój drogi?

- Sto złotych weneckich monet. - Położył jej na dłoni woreczek z pieniędzmi. - Twoja wygrana. Poprosiłem lady Farren o rękę, a ona mnie przyjęła. Pobierzemy się, gdy tylko dopełnimy stosownych formalności.

- To kłamstwo - wyrzekła z wolna, jakby nie pojmowała sensu jego słów. A może zwyczajnie nie chciała się z nimi pogodzić. - Nie możesz się z nią ożenić. Robisz mi na złość, prawda? Cóż mam uczynić, by odwieść cię od tego szalonego pomysłu?

- Nie zdołasz mnie od niego odwieść. Nikt mnie od niego nie odwiedzie. Jeśli chcesz, bym zaśpiewał, tak jak się umawialiśmy.

- Ach, to teraz nieistotne - odparła poirytowana. - Nie wierzę własnym uszom. Jak możesz chcieć się ożenić z tą bladą dziewczyną?

- Nie jest już dziewczyną, Lucio. - Zamknął jej palce wokół sakiewki. - I to ona uwiodła mnie, a nie na odwrót. Zostanie moją żoną, czy ci się to podoba, czy nie.

- Żoną?! - wycedziła, zaciskając dłonie w pięści. Drżała na całym ciele, a kiedy zwróciła ku niemu twarz, po policzkach spływały jej łzy.

- Przykro mi, Lucio - powiedział łagodnie, nie chcąc jej ranić. Naprawdę było mu przykro. Choć miał dla niej wiele uczucia, nigdy nie był w niej zakochany. Współczuł jej, że życie skazało ją na los wiecznej utrzymanki, lecz nigdy żony.

Zamachnęła się zniechęta i wycelowała w niego mieczem. Ledwie zdążył się uchylić. Monety rozsypały się z brzękiem i potoczyły po podłodze.

- Więc ożeń się z nią, skoro tak ją kochasz - syknęła jadowitym szeptem. - I niech was oboje piekło pochłonie!

Odwróciła się i uciekła na górę. Pozwolił jej odejść, po czym sam skierował się do wyjścia i zamknął za sobą drzwi.

Edward siedział z posępną miną w tawernie, sącząc ostatnią szklankę wina, na jaką było go stać. Został całkowitym bankrutem.

Nigdy nie miał u lady Farren najmniejszych szans. Od samego początku wmawiał sobie, że udało mu się zyskać jej przychylność. Spartaczył nawet nieszczęsną próbę zostania bohaterem, umożliwiając Dianie ucieczkę wprost w ramiona tego podleca Randolpha.

Wykrzywił usta, mamrocząc pod nosem obelgi. Panna nawet przez chwilę o niego nie dbała. Gdyby zdobył się na odwagę i

poprosił ją o rękę, najpewniej roześmiałyby mu się w twarz.

Gdy tak siedział, pogrążony w ponurych rozmyślaniach, do tawerny wkroczyła nagle w eskorcie lokaja jakaś kobieta. Jej pojawienie się wywołało wśród zebranych powszechne poruszenie. Wszyscy bez wyjątku wlepili w nią oczy niczym w obraz.

Oto niewiasta, w ramionach której warto umrzeć, pomyślał Warwick, obserwując, jak przeciska się między stołami. Miała modny strój, gustowną i kosztowną biżuterię, a jednak było w niej coś, co sprawiło, iż nabrał przekonania, że nie jest prawdziwą damą.

Jakież było jego zdumienie, gdy spostrzegł, że zmierza w jego stronę.

- Buona sera, signorina — wymamrotał, poderwawszy się raptownie z krzesła, które runęło z impetem na podłogę.

- Proszę się nie kłopotać, drogi lordzie Edwardzie. Mówię po angielsku. Pozwoli pan, że zajmę mu chwilę?

- Naturalnie. Zechce pani spocząć.

- Przejdę od razu do rzeczy. Otóż pragnę podzielić się z panem pewnymi informacjami, które, mam nadzieję, odpowiednio pan wykorzysta.

Uśmiechnął się głupkowato. Chyba był bardziej pijany, niż sądził, inaczej nie szczyrzyłby tak idiotycznie zębów.

- A zatem słucham.

- Doznał pan zawodu miłosnego, mam rację? Odrzuciła pana lady Farren?

- Owszem - odrzekł zaskoczony. - Wybrała innego, kłamliwa suka. Nieznajoma pochyliła się nad stołem i położyła mu rękę na ramieniu.

- To on jest kłamliwym łotrem, milordzie. Antonio Randolph. Lady Diana jest dla niego jedynie zabawką. Uwiódł ją z powodu zakładu.

- Zakładu?! Skąd pani o tym wie?

- Wiem, mój zacny lordzie, bo to ze mną się założył.

Warwick przypomniał sobie nagle, że gdzieś już kiedyś widział tę kobietę. W dniu, w którym poznał Dianę, przejeżdżała wraz z Randolphem powozem pod oknami gospody. A więc była jego

kochanką. Poczuł gwałtowne ukłucie zazdrości na myśl o tym, że ten łajdak ma tyle szczęścia. Po chwili jednak uzmysłowił sobie, jak wielką moc mają słowa, które właśnie usłyszał. Anthony założył się ze swą nałożnicą, że świadomie i z rozmysłem ograbi Dianę z dziewictwa. Słowa o rzekomej wielkiej miłości były częścią gadaniną, niczym więcej.

Może jeszcze nie wszystko stracone. Może uda mu się odzyskać lady Farren, a wraz z nią jej majątek? Nie będzie chciała spojrzeć na Randolpha, kiedy się dowie o jego oszustwie.

- Zrobi pan z tej wiedzy użytek, prawda?

- Na Boga, tak! - odparł z szerokim uśmiechem. - Może pani być spokojna.

- Jeszcze troszeczkę, moja ty łakomczuszko? - Anthony zatrzymał dłoń tuż przy rozchylonych ustach Diany.

- To ty zrobiłaś ze mnie łakomczucha. - Zaśmiała się. - Przedtem nie byłam taka łasa na przyjemności. - Chwyciwszy go za nadgarstek, sama włożyła sobie do buzi srebrną łyżeczkę i zlizwała z niej porcję lodów. - Mmm, pyszne. Musimy podać je na przyjęciu weselnym. Poproszę sir Thomasa, by przesłał nam przepis.

- Skoro tak bardzo w nich zasmakowałaś, dopilnuję, żeby zrobili dla ciebie zapas. - Pochylił się, by ją pocałować, a ona zachichotała z uciechy.

- Nie powinniśmy - powstrzymała go, zerkając w stronę stłoczonych w salonie gości. Ponieważ była z dala od domu, sir Thomas zgodził się zorganizować oficjalne przyjęcie zareczynowe w konsulacie. Mimo dużego pośpiechu i późnego powiadomienia, stawili się wszyscy zaproszeni Anglicy, którzy przebywali właśnie w Rzymie. - Obiecałam pannie Wood, że do dnia ślubu będę zachowywać się przyzwoicie. Och, nie możemy. Nie tutaj.

Anthony odstawił pucharek z lodami i wziął ją za rękę.

- Jeśli nie możemy tu, chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli.

- Nie, nie wolno nam - zaprotestowała, ale ruszyła za nim do ogrodu. - Mówię poważnie!

- Poważnie, poważnie - powtórzył, przedrzeźniając jej srogi ton,

po czym oparł ją plecami o ścianę domu tak, by zgromadzeni wewnątrz goście nie mogli ich widzieć.

- Jak najbardziej poważnie - szepnęła słabo i objęła go z całych sił.
- Och, jak bardzo się za tobą stęskniłam!

- Upłynął zaledwie jeden dzień, mio amore, a mnie się zdaje, jakby kazano mi na ciebie czekać całe życie - odparł i pocałował ją tak łapczywie, że zabrakło jej tchu. - Nie zobaczą nas, cara, musimy tylko być cicho.

Diana w lot zapomniała o obietnicach złożonych pannie Wood. Gdy uniósł jej suknię i poczuła na udach jego dotyk, natychmiast wyciągnęła dłoń, by odwzajemnić pieśczętę.

- Wznieśmy toast za narzeczonych! - rozległ się głos konsula. - Do dna, mili państwo, do dna! A gdzież to się podziewają nasze gołąbeczki? Czy ktoś widział lady Farren i lorda Randolpha?

- Dannazione - zaklął Anthony, wypuszczając z rąk jej spódnice. - Później, cara. Później.

- To dla mnie rzadka przyjemność - kontynuował sir Howe, gdy wrócili do salonu i stanęli u jego boku. - Tak się składa, że strzały Amora często dosięgają nas, Anglików, właśnie tu, w Rzymie. Dziś mam zaszczyt świętować wraz z państwem zrękowiny najcudowniejszej pary, jaką kiedykolwiek widziałem. Ich mariaż połączy dwie szlachetne i nobliwe rodziny. Wypijmy za szczęśliwe pożycie lady Diany i lorda Anthony'ego. Niechaj Bóg zachowa ich w dobrym zdrowiu i obdarzy wszelkimi łaskami!

- Zdrowie narzeczonych! - powtórzyli chóralnie goście.

Diana spojrzała na ukochanego i uśmiechnęła się promiennie, choć w jej oczach zaszklily się łzy wzruszenia. Nie przypuszczała, że można być aż tak szczęśliwym.

- Zdrowie moich przyjaciół! - odpowiedział sir Randolph, wzniosłszy kieliszek. - I tych z Rzymu, i tych z Anglii. Dziękuję wszystkim za szczere życzenia dla mnie i mej przyszłej żony. Dziękuję także opatrności, która, splatając nasze losy, pozwoliła nam odnaleźć wieczną miłość.

- To kłamstwo!

Podobnie jak pozostali, panna Farren wydała z siebie okrzyk zdumienia i zgrozy; odwróciła głowę, by sprawdzić, kto ośmielił się tak zuchwale przerwać jej narzeczonemu.

Edward bynajmniej nie próbował się ukryć. Przeciwnie, wkroczył do pokoju z determinacją człowieka bliskiego postradania zmysłów i zaciskając pięści, stanął naprzeciw niedawnego rywala.

- Poznałem prawdę o istocie twego związku z tą damą, Randolph - zaczął napastliwie. - Pora, aby i inni dowiedzieli się, jaki z ciebie oszust.

Przez tłum przebiegł szmer oburzenia. Anthony objął uspokajająco ramieniem zbitą z tropu Dianę.

- Upiłeś się, Warwick? Jeśli nie, lepiej żebyś miał dobry powód, dla którego zdecydowałeś się zakłócić tę uroczystość.

- Prawda to wystarczająco dobry powód! - wrzasnął tamten, kompletnie nad sobą nie panując. Z czoła spływał mu pot, a zaciśnięte dłonie trzęsły się jak w gorączce.

Wyraźnie zgorszony, sir Thomas przywołał gestem lokajów.

- Prawda jest taka, drogi panie, iż nie jest pan tu dłużej miłe widziany - zwrócił się oschle do lorda Warwicka. - Proszę natychmiast usunąć tego człowieka z budynku - nakazał służącym.

- Chwileczkę, sir Thomasie - odezwał się Anthony. - Nim wyjdzie, chciałbym się dowiedzieć, jakież to idiotyczne wymysły go tu sprowadziły.

- To żadne wymysły - oznajmił Edward. - Przyszedłem wyjawić lady Farren prawdę o tobie. Dowiedziałem się z pewnego źródła, milady, że ten łajdak, który mieni się twym narzeczonym i twierdzi, iż miłuje cię ponad życie, zwyczajnie łże. Jego zainteresowanie twą osobą wynika wyłącznie z niskich pobudek. Założył się ze swoją kochanką o to, że uda mu się uda mu się panią... uwieść.

Goście zareagowali kolejnym okrzykiem zgrozy. Diana natomiast nie potrafiła pojąć, czemu Warwick postanowił upokorzyć się w tak bezsensowny sposób.

- Edwardzie, na Boga, proszę nie opowiadać nonsensów!

- A jeśli to nie są nonsensy, milady? - upierał się, łypiąc z triumfem

na Anthony'ego. - Powiedz jej, że się mylę, Randolph. No proszę, powiedz, że to ja jestem kłamcą.

Panna Farren spojrzała wyczekująco na narzeczonego. Milczał jak zaklęty z zaciśniętymi ustami i twarzą wykrzywioną gniewem.

- Lucia - warknął. - Lucia ci to powiedziała, prawda?

- Kim jest Lucia? - spytała Diana, lecz żaden z nich jej nie słuchał.

- Tak, Randolph, twoja kochanka, Lucia. Postawiałeś sto złotych monet na to, że uda ci się uczynić z tej oto damy swą...

- Dostyc, Warwick! Starczy już tego.

- Nie. Jeszcze z tobą nie skończyłem. - Edward postąpił krok do przodu, zmniejszając dystans między nimi. - Splamiłeś honor damy, Randolph. W imieniu lady Diany wyzywam cię na pojedynek.

- Nie! - krzyknęła Diana, siłą wcisnąwszy się między mężczyzn. - Odjęto wam rozum? Nie chcę! Zabraniam wam!

Anthony ujął ją za ramiona i delikatnie odsunął na bok.

- Przyjmuję, Warwick. Jutro o świcie. Nie ma powodu zwlekać. Moi sekundanci odwiedzą cię jeszcze dziś wieczorem.

Sir Thomas wystąpił do przodu z uniesionymi pojednawczo dłońmi.

- Proszę, panowie, błagam, zechciejcie to jeszcze przemyśleć. Wasza pochopna decyzja może doprowadzić do tragedii.

Lord Randolph potrząsnął głową, głuchy na prośby konsula.

- Za późno na pojednanie. Dianie, chodź ze mną. Pociągnął ją za sobą do pustego holu.

- Powiedz, że tego nie zrobisz, Antonio! - domagała się bez tchu. - Nie pozwól, by Edward nakłonił cię do tego szaleństwa. Jak możesz bez powodu ryzykować życie?!

- Bez powodu? Chodzi o ciebie, cara, a to wystarczający powód. - Jego błękitnie oczy lśniły złością. - Poza tym nie nazwałbym tego ryzykiem. Trudno się obawiać tego zgnuśniałego tchórze.

- Może i jest tchórzem, ale jutro stanie przed tobą uzbrojony. - Objęła go, próbując ubłagać na wszelkie możliwe sposoby.

Uwielbiała jego płomienny charakter, nie sądziła jednak, że owa żarliwość i spontaniczność, które ukochała w nim najbardziej, mogą

zamienić się w zapalczywość i doprowadzić go do takiej furii. Niezłomna determinacja, jaka malowała się teraz na jego twarzy, przerażała ją nie mniej niż sam pojedynek. - Mówiłeś przecież, że skończyłeś z pojedynkami i młodzieńczą nierozwagą! - coraz bardziej przerażona podniosła głos. - Mówiłeś, że są w życiu ważniejsze rzeczy! Błagam cię, Antonio, nie rób tego. Przez wzgląd na mnie!

- Właśnie przez wzgląd na ciebie nie mam wyboru. - Ująwszy ją za ramiona, zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Wkrótce zostaniesz moją żoną, Diano. Mam obowiązek bronić cię przed obelgami i dbać o dobre imię oraz honor obu naszych rodzin.

- Ale nie w ten sposób!

- Posłuchaj mnie uważnie. To prawda, że Lucia Paolini była niegdyś moją kochanką, nie wypieram się tego. To było na długo przedtem, zanim poznałem ciebie. Przez ostatnich kilka lat łączyła nas jedynie przyjaźń, choć po tym co zrobiła, nie jestem pewien, czy chcę ją jeszcze kiedykolwiek oglądać. To było podłe, mściwe i niewybaczalne.

- Sądzisz, że jestem zazdrosna o jakąś kobietę z twojej przeszłości? - wykrzyknęła z niedowierzaniem. - Że pozwolę ci dać się przez nią zabić?

- Po tym jak zobaczyłem cię na balkonie - ciągnął, jakby w ogóle jej nie słyszał - jeszcze tego samego dnia rzeczywiście założyłem się z Lucią, ale ten idiotyczny zakład przestał się liczyć w chwili, gdy cię poznałem.

Ujęła jego twarz w dłonie i zbliżyła ją do swojej.

- Nie pozwólmy więc, żeby to stanęło między nami. Jeśli mnie kochasz, odwołaj pojedynek.

- Mia bella sposa. - Uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd Warwick zepsuł uroczystość swym nikczemnym wystąpieniem. Patrzył na nią z taką czułością, że poczuła na powiekach świeże łzy. Położył jej dłonie na policzkach i ucałował w usta. - Moja piękna narzeczono. Kocham cię ponad wszystko. Bardziej niż życie. - I ja cię kocham, Antonio - odparła ze szlochem, - Właśnie dlatego, cara, nie

mogę spełnić twej prośby. Pozwól mi teraz odejść. Muszę dopilnować kilku spraw przed jutrzejszym rankiem. Zobaczymy się, kiedy będzie po wszystkim.

Oniemiała i bezsilna, patrzyła jak odchodzi, zabierając ze sobą całą jej miłość, radość i szczęście.

SR

Rozdział czternasty

- Jest pan pewien, milordzie, iż właśnie taka jest pańska wola? -
Signor Franchetti, przyjrzał się lordowi Randolphowi sponad binokli.

- Zważywszy na krótką znajomość, okazał pan milady nadspodziewaną hojność.

- Zamierzam ożenić się jeszcze w tym tygodniu. Już teraz uważam lady Farren za swą żonę, dlatego pragnę zabezpieczyć zarówno ją, jak i dzieci, które mogą zrodzić się z naszego związku.

Rejent zmarszczył z namysłem brwi.

- Wybacz pan, ale czy to nie nazbyt przedwczesne prognozy?

- Bynajmniej, Franchetti. Proszę przygotować dokumenty. Chcę je jak najszybciej podpisać.

- Wedle życzenia, milordzie. - Radca chrząknął z dezaprobatą i zabrał się do spisywania nowego testamentu.

Podszedłszy do okna, Anthony spojrzał niewidzącym wzrokiem na rozgwieżdżone niebo. Wątpił, by Diana potrzebowała zabezpieczeń, które postanowił jej zagwarantować. Dzięki ojcu już teraz była niezwykle zamożną kobietą. Niemniej, na wypadek gdyby nosiła jego dziecko, w ostatniej woli, którą sporządzał właśnie Franchetti, uznał ją za prawowitą małżonkę i uczynił jedyną spadkobierczynią całego swego majątku. Nie życzył sobie, by powstały jakiegokolwiek wątpliwości co do ojcostwa ich potomka. Pragnął uczynić co w jego mocy, by ochronić cześć ukochanej.

Dopilnował wszystkiego. Osobiście sprawdził i oczyścił pistolety. Spotkał się z sekundantami, którzy jako starzy druhowie próbowali odwieść go od pojedynku. Wysłuchał również próśb sir Thomasa. Poczciwy konsul usiłował go przekonać, iż nie powinien stawać w szranki przez wzgląd na narzeczoną. Anthony zaś tłumaczył mu, że to właśnie z jej powodu przyjął wyzwanie Warwicka. Nie mógł pozwolić, by ktokolwiek twierdził, iż jej nie kocha i żeni się z nią z powodu nieszczęsnego zakładu.

Choć od pacholęcia uważał się za nieodrodnego syna matki, bez

wątpienia przejawiał także pewne cechy ojca. Jak typowy Anglik miał głęboko zakorzenione i niezachwiane poczucie godności oraz tego co dobre i prawe. Sprawiedliwość i honor, jako nieodzowne cechy dżentelmena, stanowiły dla niego najwyższe wartości. Skoro zakochał się w angielskiej damie z arystokratycznego rodu, zamierzał traktować ją z szacunkiem należnym jej pozycji. Jeśli miało to oznaczać śmierć z ręki innego mężczyzny, niech i tak będzie. Diana warta była tego, by ryzykować dla niej życie.

Miał przeczucie, że wygra pojedynek. Warwick nie sprawiał wrażenia człowieka obytego z bronią palną ani tym bardziej nie wyglądał na grzeszącego przesadnym męstwem. Gwoli prawdy trzeba jednak przyznać, iż pojedynki bywają nieprzewidywalne. Wszystko może się zdarzyć... Nie, lepiej o tym nie myśleć. Lepiej pomyśli o Dianie, o tym, jak cudnie wyglądała, śpiąc w jego łóżku po miłosnej nocy. Jakie będą ich dzieci? Jasnowłose i alabastrowe jak matka czy ciemnowłose i śniade jak ojciec? Posiadł w życiu wiele kobiet, lecz dopiero tym razem zapragnął potomka. Miał nadzieję, że jego ukochana jest w odmiennym stanie. Myśl o tym napawała go dumą. Los zazwyczaj szczerze obchodzi się z dziećmi poczętymi z wielkiej miłości.

- Gotowe, milordzie. - Podsunąwszy mu papiery, Franchet-ti przywołał gestem swego kancelistę oraz dwóch lokajów, którzy zostali zbudzeni i przywołani na miejsce, by posłużyć za świadków.

Lord Randolph przebiegł wzrokiem dokumenty, po czym złożył na nich podpis.

- Dziękuję, Franchetti. - Uśmiechnął się zadowolony, odkładając pióro. - Przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić.

- Pozostała jeszcze jedna kwestia. - Radca sięgnął do skórzanego futerału i wyjął z niego list. - W zaistniałych okolicznościach uznałem za stosowne przekazać go waszej lordowskiej mości już teraz.

Ku swemu zdumieniu Anthony natychmiast rozpoznał pieczęć oraz charakterystyczne pismo matki.

- Markiza poleciła mi wręczyć go panu w dniu ślubu - wyjaśnił notariusz. - Robię to może nieco przedwcześnie, lecz skoro w świetle

prawa uznał pan lady Dianę za swą małżonkę, mam powody przypuszczać, iż pańska matka nie miałaby nic przeciw temu.

Adresat listu obracał go w palcach z przedziwnym uczuciem. Przez moment wydawało mu się, że matka jest znów obok niego. Byli ze sobą bardzo zżyci. Hołubiła go ponad miarę, faworyzując pośród pozostałych synów. Zmarła ponad dziesięć lat temu, a wciąż powracał do niej myślami.

- Wie pan, co w nim jest, Franchetti?

- Nie, milordzie. Powiem jedynie, iż przechowuję go od wielu lat. Hrabina dała mi go rychło po pańskich narodzinach.

Sir Randolph wciąż przyglądał się pismu matki, jakby czegoś się obawiał.

- Czy mogę jeszcze czymś panu służyć? - wyrwał go z zadumy radca, zapewne z utęsknieniem czekający powrotu pod pierzynę.

- Nie, nie. To już wszystko. Dobrej nocy. Dziękuję, że zechciał pan pofatygować się do mnie o tak późnej porze.

- Do usług, sir.

Urzędnik pożegnał się i wyszedł, a wraz z nim służba. Anthony nareszcie został sam. Za młodu, gdy miał pstro w głowie, niejednokrotnie stawał do pojedynków i zawsze wychodził z nich obronną ręką. Noc poprzedzającą potyczkę spędzał zazwyczaj w towarzystwie przyjaciół na hulankach i pijaństwie. Tym razem miał za kompana list z za światów oraz wspomnienie zapłakanej narzeczonej, która rozpacza nad tym, że może nigdy więcej nie zobaczyć go żywego.

Zerwawszy pieczęć, Anthony rozwinął papier.

Najdroższy Tonio!

Skoro czytasz te słowa, nadszedł właśnie najszczęśliwszy dzień Twego życia. Ty jeden ze wszystkich mych dzieci ożenisz, się nie dla koneksji czy majątku, lecz z wielkiej miłości. Przeczuwałam to w sercu, odkąd przyszedłeś na świat. Błogosławię Twój związek i życzę Ci długich lat niezmaconego szczęścia.

Pragnę też, drogi synu, wyznać Ci coś bardzo ważnego. Żywię głęboką nadzieję, iż właśnie teraz, gdy sam odnalazłeś szczęście u

boku kobiety, zdołasz mnie zrozumieć.

Jakkolwiek drogi jest memu sercu Twój ojciec, wiedz, iż nie jest mą pierwszą miłością. Był przed nim ktoś inny, utalentowany artysta a zarazem mężczyzna, którego ukochałam ponad wszystkich innych. Jak się domyślasz, dziadek uznał, iż jest zbyt biedny, by zostać mężem córki Prosperich, i odmówił mu mej ręki. Ubiegłego lata los jednak znów skrzyżował nasze ścieżki i, ulegając wspomnieniom, spędziliśmy ze sobą noc, której Ty, drogi Tonio, jesteś owocem. Owocem nie grzechu, lecz pierwszej, najgorętszej miłości swej matki.

Dla mego ukochanego męża pozostanie to na zawsze tajemnicą. Nie chcę bowiem, by kochał Cię mniej niż Twych braci. W jego oczach zawsze będziesz rodzonym dzieckiem. Wyjawiam prawdę jedynie Tobie, synu, błagając o wyrozumiałość i modląc się, byś mi wybaczył.

Moc czułości, mój umiłowany aniele.

Mama

Anthony zmarszczył brwi, nie dowierzając własnym oczom. To musi być prawda. Matka nie miała powodu, by zmyślić taką historię.

Zakręciło mu się w głowie i poczuł ucisk w żołądku. Nigdy, przenigdy nie spodziewałby się czegoś podobnego. Najzacniejszy z ludzi, jakich znał, człowiek, który kochał go i wychował jak syna, w jednej chwili przestał być jego ojcem?

Romantyczna miłość rodziców okazała się zbrukana kłamstwem i zdradą. Utracił wszystko. Nie miał już braci, których tak ubóstwiał. Nazwisko, które nosił z dumą, nie było już jego.

Dom i spadek odziedziczył wprawdzie po Prosperich, marna to wszakże pociecha. Świat nadal będzie go uważał za lorda Randolpha. Ujawnienie prawdy niepotrzebnie splamiłoby pamięć matki, nikomu nie przynosząc niczego dobrego.

Ale czy będzie potrafił z tym żyć? Odebrano mu tożsamość oraz poczucie własnej wartości. Nic nie będzie już takie jak przedtem. Był bękartem, kukułką podrzuconą do gniazda hrabiego Markhama.

Największą rozpacz powodowała jednak świadomość, iż nie może zostać mężem Diany. Nie jest godzien ręki lady Farren, córki

dumnego i mściwego księcia Astona.

Diana nadal nie spała, gdy na dole rozległo się pukanie do drzwi gospody. Wkrótce potem zaspany pan Silvani zaczął wspinać się po schodach, mamrocząc coś pod nosem. To musiał być posłaniec, pomyślała. Pewnie przyniósł jakąś ważną wiadomość, która nie może czekać do rana.

Usiadła na łóżku i spojrzała na zegar. Dochodziła czwarta, niedługo zacznie świtać.

Gdzieś na przeciwległym krańcu miasta Antonio pewnie przygotowuje się do pojedynku. Może to wieści od niego, może postanowił odwołać ten absurd.

- Milady?

Chwyciwszy szal, okryła się nim i bosą przebiegła przez pokój.

- To dla pani. - Ledwie przytomny Silvani wręczył jej zapieczętowany papier.

- Dziękuję. - Otworzyła pospiesznie list i odczytała go w świetle świecy gospodarza.

Lady Diano!

Bez względu na to, co się dziś wydarzy, zwalniam Panią z danej mi obietnicy. Nie jestem tym, za kogo mnie Pani uważała.

Żegnaj, cara.

A.

Cóż to za nonsens? - pomyślała, wpatrując się z niedowierzaniem w równe rzędy liter. Skąd ten zimny i oficjalny ton? Gdyby nie znajomy włoski wyraz na końcu, nigdy by nie pomyślała, że te bezduszne słowa wyszły spod ręki Anthony'ego. Nie była obeznana z tym, jak mężczyźni szykują się na śmierć, lecz znała swego ukochanego. Takie postępowanie nie leżało w jego charakterze. Intuicja podpowiadała jej, iż musi chodzić o coś więcej niż tylko pojedynek. Stało się coś złego, coś, co zraniło go na tyle, by zdecydował się zerwać z nią znajomość.

Od razu wiedziała, co jej wypada uczynić. Nie dbała o to, że damy nigdy nie bywają świadkami pojedynków, ani o to, że panna Wood surowo jej tego zabroniła. Rozpacz, która wyzierała z listu

narzeczzonego, pomogła jej podjąć decyzję. Jej miejsce było przy nim.

- Proszę posłać po powóz - zwróciła się do właściciela gospody. - Jak najszybciej. Nie mam ani chwili do stracenia.

Lord Warwick siedział wraz z wujem w powozie nieopodal Forum Romanum.

- Trunek nie doda ci odwagi, mój chłopcze - odezwał się Henry, gdy siostrzeniec podniósł do ust butelkę. - Miast wlewać w siebie wino, powinieneś raczej dokonać rachunku sumienia i powierzyć swą duszę Panu.

- Dalibóg - skrzywił się ironicznie Edward - twe słowa tchnęły we mnie otuchę. Szczęściem, nikt nie strzela do sekundantów, nie musisz więc obawiać się o własną wieczność. Przynajmniej na razie.

- W rzeczy samej. Gdyby było inaczej, nigdy bym na to nie przystał. Nie godzi się człowiekowi Kościoła brać udziału w barbarzyńskich praktykach. Nie pozostawiłeś mi wyboru. W całym Rzymie nie znalazłbyś nikogo, kto zechciałby cię wspomóc.

- Zaiste wielka to pociecha - wymamrotał z niechęcią panicz. Odkąd krewny znalazł go o północy w tawernie, wciąż raczył go tym samym kazaniem. Edward miał już serdecznie dość zrzędlivych morałów i wymówek kaznodziei. - Twoim obowiązkiem jako duchownego jest wspierać mnie w obliczu śmierci, a nie bez ustanku zmywać mi głowę, czyż nie?

- A czemuż to nie miałbym zmywać ci głowy, skoro to właśnie ona, a raczej twój niewyparzony język ściągnął na ciebie to nieszczęście?

- Wielebny Patterson nawet nie starał się ukryć dezaprobaty. - Doszły mnie słuchy, że Randolph nigdy nie przegrał pojedynku. Ani razu. Z tego właśnie powodu od lat nikt go nie wyzwał.

- W takim razie najwyższa pora, żeby ktoś utarł mu nosa. Ufam swym umiejętnościom, nawet jeśli ty w nie wątpisz, wuju.

- Nie tylko o umiejętności tu idzie, drogi siostrzeńcze. Zastanawia mnie również twa wiara w to, iż uda ci się pozyskać względy lady Farren. Nie pojmuję, jakimż to sposobem twój nierozważny postępek miałby ją do ciebie przekonać.

- Niewiasty wielbią mężczyzn zdolnych do heroiczych czynów -

odparł z przekonaniem Edward. Nie porzucił jeszcze nadziei na ożenek z Dianą. Wciąż widział ją oczyma duszy, wpatrzoną w niego jak w obraz. Z tym samym zachwytem, z jakim wpatrywała się w Randolpha.

- Zapewne - zgodził się łaskawie duchowny. - Skłaniają się jednak ku żywym, a nie poległym śmiałkom. Tego, jak miemam, nie wzięłeś pod rozwagę?

W odpowiedzi młodzian tylko się uśmiechnął. Nie wybierał się na tamten świat. Miał szczerzy zamiar uczynić wszystko, by pozostać przy życiu.

- No cóż, oto i początek końca - odezwał się Henry, wyrzawszy przez okno. - Nadjeżdża powóz Randolpha. Gotuj się do walki, chłopcze. Choć raz w życiu pokaż, że jesteś mężczyzną.

Anthony stanął pomiędzy kolumnami starożytnej świątyni Kastora i Polluksa. Walczył tu już co najmniej kilkakrotnie. Miejsce było na tyle odosobnione i ponure, że zazwyczaj służyło za scenerię honorowych pojedynków. Poprzednie potyczki powoli zacierały się w pamięci lorda Randolpha, wiedział jednak, iż tej, która rozegra się już za chwilę, nie zapomni do końca swych dni.

- Jeszcze czas, Antonio! - zawołał z daleka jego kuzyn, a zarazem sekundant. - Wracaj do powozu. Zmarzniesz na kość.

- Nic mi nie będzie, Gianni! - Zbył go machnięciem ręki.

Nie miał ochoty na towarzystwo. Nie teraz. List matki spoczywał bezpiecznie tam, gdzie go zostawił, w kieszeni surduta. Odnajdą go, jeśli zginie, a Diana dowie się o wszystkim i daj Boże, zrozumie jego intencje oraz wybaczy mu to, jak się z nią obszedł.

Spojrzał na obłoki. Wysoko na niebie majaczyły ciemne sylwetki pustułek. Jak by to było zamienić się z nimi miejscami? - pomyślał z melancholią. Unieść się ku słońcu i wolności, zostawiając za sobą ziemskie troski? Kiedyś zwrócił wzrok ku tęczycy i jego oczy napotkały złotowłosą Dianę. Ileż by teraz dał za to, by nadlecieć do okna ukochanej i raz jeszcze ujrzeć na poduszce jej uśpioną twarz.

Obejrzał się przez ramię. Warwick i jego wuj przybyli już na miejsce wraz z medykiem. Stosownie do ponurej okazji wszyscy

trzej przywdziali czerń. Dołączył do nich niespiesznie.

Trzymając w dłoniach futerał z pistoletami, Gianni skłonił się przybyłym na powitanie. Wuj Edwarda przyciskał do boku Biblię. Anthony'emu wypadło z głowy, że lord Patterson jest anglikańskim duchownym. Przyda się, jeśli potrzebne będzie ostatecznie namaszczenie.

- Witam czcigodnych panów - odezwał się Gianni. - Nim zaczniemy, wypada mi zapytać, czy jego lordowska mość zechce odstąpić od wyzwania i zaniechać pojedynku?

- Niestety, nie - odrzekł Patterson, spoglądając wymownie na siostrzeńca. - Lord Warwick postanowił wytrwać w postanowieniu.

- A zatem czyńmy naszą powinność. Niechaj zwycięży honor. Panowie, proszę wybrać pistolety.

Edward rzucił się do pudełka jak dziecko, jakby się lękał, że rywal zabierze mu lepszą zabawkę. Zupełnie niepotrzebnie. Randolph osobiście sprawdził broń i wiedział, że oba egzemplarze są jednakowe.

- Ostatni raz wzywam panów, byście darowali sobie winy i poniechali walki - zaapelował z powagą Henry Patterson. - Siostrzeńcze, przez wzgląd na twoją matkę, zaklinam cię, porzuć swój pochopny zamiar.

- Mężczyzna, który zakłada się z byle kim o cnotę damy, nie jest godzien jej ręki. Oto moja odpowiedź.

- Odmawiam pojednania - oświadczył zwięźle Anthony. Duchowny, poklepawszy Edwarda po ramieniu, odszedł na bok, zwieszając głowę nad Biblią.

- Niechaj Bóg się nad wami ulituje.

- Panowie - odezwał się Gianni - proszę zająć pozycje. Randolph i Warwick stanęli plecami do siebie z uniesionymi w górę wylotami pistoletów.

- Zrobicie, panowie, pięć kroków. Potem proszę odwrócić się twarzą do przeciwnika.

W oddali słychać było zbliżającą się bryczkę. Jej koła stukotały raz po raz po nierównym gruncie. Antonio obejrzał się, choć wiedział,

kogo ujrzy.

- Och, nie, cara - wyrwało mu się z piersi. - Nie możesz tu być. Nie powinnaś tego oglądać.

Powóz zatrzymał się nieopodal na wzgórzu. Diana wstała z miejsca. Nie wpadła w histerię, nie krzyczała ani nie próbowała ich powstrzymać. Po prostu tkwiła nieruchomo w miejscu, cała w zwiewnej bieli niczym anioł o poranku.

- Wielkie nieba! - przeraził się lord Henry. - Toż to lady Farren! Musimy ją czym prędzej odesłać. To nie widok dla jej niewieścich oczu.

- Nie! - zaprotestował ostro Edward. - Niech ogląda. Niech zobaczy, który z nas ma więcej odwagi.

Przeciwnik rzucił mu zdumione, a zarazem wściekłe spojrzenie.

- Na litość boską, Warwick! Dla ciebie to tylko próba sił, co? Nie widzisz, że tu idzie o coś więcej niż rywalizację?

- Nie przyjechałaby, gdyby nie chciała tego oglądać. Kobiety lubują się w krwawych rozrywkach. Zapewne wie, czego się spodziewać.

- Bodajś szczeł razem ze swą głupotą! Skąd niby ma to wiedzieć? - Skąd jego niewinne dziewczę ma wiedzieć, co może uczynić ciału ołowiana kula? Ile krwi może utoczyć jeden postrzał. - W najgorszych koszmarach nie śniło jej się to, co tu się wydarzy, ty durniu!

- Panowie - interweniował Gianni - przypominam, iż broń jest naładowana. Jeśli nie macie życzenia kontynuować...

- Kontynuujmy - warknął Anthony, spoglądając ostatni raz na ukochaną. Wpatrywała się weń przerażona, z ustami zakrytymi dłońią. Modlisz się za mnie, mój aniele? - pomyślał ze ściśniętym sercem.

- Pięć kroków, panowie.

Będąc tu, wytrącała mu z ręki oręż. Nie był w stanie skoncentrować się na walce. Potrafił myśleć jedynie o tym, jak bardzo chciałby leżeć z nią teraz w ogromnym łożu, rozkoszować się jej ciepłem, wdychać do woli słodki zapach jej skóry... Dość! Zginie, jeśli natychmiast nie przestanie roić i nie wyrzuci z umysłu tych

wizji.

Odliczył powoli kroki i odwróciwszy się, zajął w pozbawione wyrazu oczy Warwicka. Diano, cara mia, nadal patrzysz na nas z oddali?

- Policzę do pięciu: raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Po odliczeniu mogą panowie wystrzelić. Gotowi? Raz, dwa...

Kocham cię ponad wszystko, moja gołąbeczko. Nawet jeśli zginę, będę cię kochał w zaświatach.

- ...trzy, cztery...

To nie powinno się tak skończyć. Nie tego chciałem. Pragnąłem życia i miłości, którą mnie obdarowałaś. Dannazione, muszę uważać na to, co robi Warwick.

Huk wystrzału rozległ się jakieś pół sekundy wcześniej, niż z ust Gianniego padło ostatnie „pięć”. Anthony nie zdążył pociągnąć za spust.

Za późno, by myśleć o Dianie... Przeciwnik oszukał, wypalił przedwcześnie, a jemu przyjdzie za to zapłacić. Poczł ukłucie, a potem nieznośny ból w ramieniu. Strużka krwi zaczęła spływać mu z rękawa na ziemię. Dał się podejść jak niedoświadczony młokos. Zmełł w ustach przekleństwo, nie wypuszczając z ręki pistoletu. Kości i ścięgna pozostały nienaruszone. Gotował się na śmierć, a został ledwie draśnięty. Edward stał przed nim z poszarzałym obliczem i ustami ściągniętymi przerażeniem.

- Dokończ, Antonio! - krzyknął oburzony Gianni. - Poślij do diabła tego tchórzliwego oszusta!

Warwick padł przed nim na kolana, trzęsąc się ze strachu jak osika i błagając o litość.

Randolph nie chciał zabijać. Przybył tu po własną śmierć. Powitałby ją ze spokojem, bo pragnął uwolnić od siebie narzeczoną.

Jego myśli natychmiast pobiegły ku ukochanej. Czy wciąż przyglądała się tej pożałowania godnej scenie? Czy wylewała za nim łzy, sądząc, iż ciężko ucierpiał? Nie pozwoli, żeby płakała z jego powodu.

Opuściwszy z trudem broń, skrzywił się z bólu i wypalił w ziemię.

- Proszę... oto... moja satysfakcja - wyrzekł z trudem i odwrócił się w stronę Diany. Była jego życiem, jego wybawieniem.

Diana nie potrafiła się zmusić, by oderwać wzrok od zebranych w dole mężczyzn.

Wiedziała, że Anthony może zginąć, lecz mimo to trwała niewzruszona na swoim miejscu. Widok tej okrutnej sceny mógł ją prześladować po kres żywota, a jednak patrzyła. Jakże miałyby nie patrzeć? Stawką było życie jej ukochanego, mężczyzny, z którym na zawsze związała swój los.

Gdy spojrział na nią z daleka, odczuła to jak najczulszą pieśczętę. W jej serce wstąpiła nowa nadzieja. Pragnęła z całej duszy, by wybrał ją i jej miłość. Przez moment łudziła się nawet, że odstąpi od rozstrzygnięcia sporu z Edwardem.

Ale czyż miłość może stawać w szranki z honorem i obowiązkiem? Potrząsnął tylko głową, odrzucając jej nieme błaganie, a potem odmierzwszy kroki, stanął twarzą w twarz z przeciwnikiem.

Raz, dwa...

Poczęła odmawiać wszystkie znane modlitwy, błagając Stwórcę, by zachował Antonia przy życiu.

Trzy...

Boże, to nie może się tak skończyć. Jej najdroższy, jedyny, umiłowany Antonio. Cokolwiek się zdarzy, będzie go kochała do końca swych dni.

Cztery...

Czas włókł się w nieskończoność. Nie! Nie zniesie tego ani sekundy dłużej. Odwróciła się z łkaniem w tej samej chwili, gdy padł strzał i rozległy się oburzone głosy.

- Boże drogi, tylko nie to!

- Jaśnie pani! - zaniepokoił się stangret. - Czy jaśnie pani zaniemogła?

- Och... mój... - szlochała bez opamiętania - mój narzeczony, lord Randolph...

- Wyszedł z pojedynku zwycięsko. Będzie żył, choć ten drugi grał nieczysto i wystrzelił przedwcześnie.

Poczuła, że kolana się pod nią uginają, i opadła z ulgą na siedzenie. Spojrzała ponownie w dolinę. Anthony wciąż stał wyprostowany i dumny naprzeciw wystraszonego Edwarda. Po chwili opuścił broń i wypalił w ziemię, a kiedy zwrócił się do niej przodem, zobaczyła, że jego biała koszula jest zbrukana krwią.

- Nie! Antonio! - Zgarnęła spódnicę i wyskoczywszy z powozu, ruszyła pędem w dół, potykając się raz po raz o kamienie.

Sekundant podtrzymał go ramieniem, a medyk zaczął już oglądać ranę.

- Antonio, kochany mój! - zawołała, gdy wreszcie do nich dobiegła.
- Najdroższy!

- Diano: - Był pobladły i słaby, lecz wciąż się do niej uśmiechał. - Widzisz, nie umarłem.

- Oczywiście, że nie - odparła przez łzy. Chciała go objąć, ucałować, upewnić się, że ta krew - o Boże, tyle krwi - to nic, że wszystko będzie dobrze. - Cii, kochany, pozwól im się opatryć.

Nie posłuchał jej. Wygrzebawszy z kieszeni pomięty zwitek papieru, wcisnął jej go do ręki.

- Przeczytaj to, aniele - wyrzekł z trudem. - Nie... jestem... tym, kim myślisz.

Diana otworzyła list i pospiesznie przebiegła po nim wzrokiem.

- To od twojej matki? - zapytała, wpatrując się w niego ze współczuciem. Teraz już rozumiała, dlaczego chciał ją od siebie uwolnić.

- Dowiedziałem się o wszystkim wczoraj. - Skrzywił się z bólu. - Nie jestem tym samym mężczyzną, z którym się zaręczyłaś...

- Ależ jesteś, Antonio! Mój jedyny. To ciebie ukochałam ponad wszystkich. To ty będziesz zawsze najdroższy memu sercu.

- Musimy jak najprędzej zabrać jego lordowską mość do miasta, milady - odezwał się lekarz. Na jego obliczu malowała się wyraźna troska. - Tutaj nie mogę się nim należycie zająć.

Ranny potrząsnął uparcie głową.

- Ale twój ojciec, cara... Twój ojciec nie pozwoli nam...

- Ani słowa więcej - uciszyła go i nie zważając na krew, która

splamiła jej białą suknię, ujęła jego twarz w dłonie. - Nie jestem niewolnicą swego ojca. Kocham cię, Antonio, i nic ani nikt tego nie zmieni.

- Ale jesteś przecież córką księcia... Twoja pozycja...

- Jest niczym w porównaniu z uczuciem, jakie mam dla ciebie. Jeśli trzeba będzie, chętnie się jej wyrzeknę. A teraz zaklinam cię, pozwól przyjacielom odwiedzić się do domu.

- Zostań moją żoną, kochana - odparł, nie ruszając się z miejsca.

- Kiedy tylko zechcesz, Antonio. - Rozpłakała się teraz na dobre. - Nigdy nie będzie nikogo prócz ciebie.

- Cara mia.

Pocałowała go pospiesznie i w asyście medyka oraz Gian-niego ruszyli razem do powozu.

- Diano, proszę! - Odwróciła się, słysząc za sobą głos War-wicka. Patrzył na nią błagalnie, jakby nie dowierzał temu, co się stało. - Broniełam twego honoru. Zrobiłam to dla ciebie.

Przypomniała sobie słowa stangreta. Tak niewiele brakowało, by odebrał życie Anthony'emu.

- Nie, Edwardzie. Wszystko co robiłam, robiłam wyłącznie dla siebie. Od samego początku.

Postąpił w jej stronę.

- Proszę, gdybyśmy zaczęli wszystko jeszcze raz...

- Nie! - przerwała mu ostro. - Dziękuj Bogu, że to nie ja trzymałam w dłoni broń po tym, jak wystrzeliłeś przed czasem. Wątpię, bym miała dla ciebie tyle miłosierdzia, ile okazał ci Anthony.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegła do powozu, gdzie czekał na nią narzeczony.

Villa di Prosperi, grudzień 1784 roku

Diana leżała pośrodku ogromnego łóża, wsparta plecami o stertę poduszek, trzymając porcelanowy talerzyk z cząstkami pomarańczy. W kominku wesoło strzaskał ogień, a ze ścian spoglądali na nią Wenus i jej roznamiętnieni poddani.

Po ślubie, zamiast głównej sypialni na parterze, wybrała na małżeńską łóżnicę tę właśnie komnatę, dowodząc, że woli towarzystwo rozwiązłych kochanków niż ponurych fresków.

- W Aston Hall spada o tej porze pierwszy śnieg.

- W Rzymie, szczęściem, nie musimy się go obawiać. - Anthony przysunął się do niej bliżej. - Przyznasz wszakże, iż warto było zamienić biały puch na pomarańcze.

- O, z pewnością - odrzekła, uśmiechając się leniwie. - A jeszcze lepiej było zamienić śnieg na takiego męża jak ty.

- Ja też za nic nie chciałbym innej żony, cara. Jesteś wspaniałą panią tego domu. - Pochylił się i ucałował ją w usta.

Zrobiła urażoną minkę i klepnęła go w ramię. Zdrowe ramię. Rana od strzału zagoiła się dobrze i w miarę szybko, lecz pozostała po niej brzydka blizna oraz nawracający ból, który czasem dawał o sobie znać. Trzy tygodnie po pojedynku Anthony czuł się na tyle zdrów, by stanąć przed ołtarzem. Ceremonia była skromna, przybyło zaledwie kilkunastu gości, ale oboje tego właśnie chcieli. Nie dbali o huczną uroczystość. Po tym jak Antonio otarł się o śmierć, liczyło się wyłącznie to, że mogli przysiąc sobie wierność przed Bogiem.

Pośpiech okazał się ze wszech miar wskazany. W dniu ślubu Diana od co najmniej dwóch miesięcy spodziewała się ich pierwszego potomka.

- Która godzina, najdroższa? - zapytał Anthony, kładąc rękę na zaokrąglonym brzuchu żony.

- Och, jeszcze wcześniej. - Wsunąwszy mu do ust ostatni kawałek pomarańczy, odstawiła na bok talerzyk. - Możemy zostać w łóżku następną godzinę, o ile zdołasz tak długo wytrzymać.

- Przez wzgląd na ciebie, postaram się jakoś to znieść. - Westchnął mężnie, biorąc ją w ramiona.

- Wyglądasz mi na zadowolonego. - Pocałowała go z uśmiechem.

- Dlaczegoż miałbym być niezadowolony? Leżę w ciepłym łóżu z najcudowniejszą kobietą na świecie. Mam jakieś powody do narzekań?

- Żadnych, najdroższy mężu. Kocham cię.

- A ja ciebie, cara. Chi si contenta gode, eh? Uśmiechnęła się radośnie. To jedno włoskie przysłowie znała na pamięć.

SR